

**Margit Sandemo**

# **STRACHY**

Saga o Królestwie Światła 11  
Z norweskiego przełożyła  
IWONA ZIMNICKA  
POL-NORDICA  
Otwock

Sol z Ludzi Lodu ma wreszcie szansę przeżyć prawdziwą miłość. Podczas wielkiej ekspedycji do Ciemności spotyka swego księcia z bajki: rycerza w zbroi z mieczem u pasa. Ale poza granicami Królestwa Światła nic nie jest takie, na jakie wygląda, a w dodatku Sol zaczyna się interesować ktoś inny, o wiele potężniejszy...

RODZINA CZARNOKSIĘŻNIKA

LUDZIE LODU

INNI

Ram, najwyższy dowódca Strażników  
Inni Strażnicy: Rok, Tell, Kiro, Goram  
Faron, potężny Obcy  
Oriana  
Thomas  
Helge, Wareg  
Gere i Freke, dwa wilki

Ponadto w Królestwie Światła mieszkają ludzie wywodzący się z rozmaitych epok, tajemniczy Obcy, Lemuryjczycy, Madragowie, duchy Móriego, duchy przodków Ludzi Lodu, elfy wraz z innymi duszkami przyrody, istoty zamieszkujące Starą Twierdzę oraz wiele różnych zwierząt.

Poza tym w południowej części Królestwa Światła żyją Atlantydzi. Istnieją też nieznanne plemiona w Królestwie Ciemności oraz to, co kryje się w Górach Czarnych, źródło pełnego skargi zawodzenia.

Wnętrze Ziemi  
(jedna połowa)

## STRESZCZENIE

Królestwo Światła znajduje się we wnętrzu Ziemi. Oświeśla je Święte Słońce, lecz za jego granicami rozciąga się nieznaną, przerażającą Ciemność.

Wielkim celem Obcych jest zaprowadzenie trwałego pokoju na Ziemi oraz uratowanie przed zagładą planety Tellus. Aby się to mogło udać, serca i charaktery ludzi muszą ulec gruntownej przemianie. Należy więc stworzyć eliksir, który usunie z ludzkich umysłów wszelkie zło i wrogie myśli.

Obcy, Lemuryjczycy, Madragowie i niektórzy ludzie z Królestwa Światła przygotowali już wszystko, co do przyrządzenia takiego eliksiru niezbędne. Brak tylko jednego składnika: jasnej wody, której źródło bije gdzieś w Górach Czarnych, siedzibie zła.

Ekspedycja w tamte rejony wyruszyła już z Królestwa Światła, właściwie jednak jest to wyprawa bez wielkich nadziei na powodzenie i na powrót do domu. Góry Czarne bowiem najzupełniej słusznie nazywa się też Górą Śmierci i ktoś, kto znajdzie się pod wpływem dominującego w nich zła, sam stanie się zły. Właśnie to najbardziej wszystkich przeraża.

Podróż rozpoczęła się, łagodnie mówiąc, niepomyślnie. Uczestnicy ekspedycji, jadący dwoma wielkimi pancernymi wozami, Juggernautami, J1 i J2, sforsowali już Ciemność przez Dolinę Róż, zdradliwą spiralną drogę, prowadzącą do Gór Czarnych. Nie obyło się przy tym bez fatalnych konsekwencji. Odnaleźli wejście, grotę w jednej z gór...

W skład ekspedycji wchodzi:

1. Faron - tajemniczy potężny Obcy, odnoszący się do pozostałych z wielką rezerwą.

2. Marco - księżę, wszechmocny, nieoceniony. Obecnie wycieńczony, gdyż poświęcił wszystkie siły na przemienienie zła w dobro i leczenie zranień nieszczęsnych istot, które napotkali w Dolinie Róż.
  3. Ram - nadzoruje wszystkich uczestników ekspedycji, do niego także należy podejmowanie najważniejszych decyzji. Kocha Indrę, z którą nie może się związać, jest bowiem Lemuryjczykiem, ona zaś człowiekiem.
  4. Dolg - strażnik świętych kamieni, których zbyt często musiał używać podczas tej podróży. On również jest bardzo zmęczony.
  5. Oko Nocy - Indianin, wybrany, który osobiście będzie musiał wykonać ostateczne, najważniejsze zadanie.
  6. Kiro - Strażnik, odpowiedzialny za zapasy.
  7. Armas - Strażnik, w połowie Obcy.
  8. Jori - Strażnik, pilot gondoli.
  9. Tsi-Tsungga - elf, istota natury. Zna obrzeża Gór Czarnych. Po ataku róż pogrążony w śpiączce. Nie ma wielkich nadziei na to, by przeżył. Kocha Siskę.
  10. Chor - Madrag, kierowca J1.
  11. Tich - Madrag, kierowca J2.
  12. Yorimoto - samuraj, wolno mu nosić broń.
  13. Cień - duch opiekuńczy, towarzysz Dolga.
  14. Shira z Ludzi Lodu - duch, bardzo ważna uczestniczka wyprawy. Była już kiedyś u źródła jasnej wody.
  15. Mar - duch, towarzysz Shiry, wolno mu nosić broń.
  16. Sol z Ludzi Lodu - czarownica, porusza się zarówno w świecie duchów, jak i ludzi.
  17. Heike z Ludzi Lodu - potężny duch.
  18. Siska - księżniczka z Ciemności. Zasiada w Najwyższej Radzie Królestwa Światła. Kocha Tsi-Tsunggę, który gotów był oddać za nią życie.
  19. Indra - pracownik do wszystkiego, zakochana w Ramie.
  20. Sassa - piętnastoletnia pasażerka na gapę, gorzko żałująca teraz swego postępuku.
- Freke i Gere - dwa wilki, które ekspedycja ocalała w Dolinie Róż, zbiegowie z Gór Czarnych.

Tom 10, „Czarne róże”, zakończył się wjazdem Juggernautów do groty. Nagle ryk syren alarmowych J2 kazał im się zatrzymać. J1 gwałtownie zahamował, część pasażerów z krzykiem usiłowała się schować. Wkrótce zrozumieli, co się stało, zorientowali się, że wpadli w pułapkę róż, tak jak obawiała się Indra. W jaki sposób zdołają się z niej wydostać?

1

Optymistycznie nastawieni wjechali do groty za drzewami różanymi. Wjazd przypominający tunel? Nareszcie znaleźli wejście do Gór Czarnych. A potem nastąpiła groza.

- Wycofuj się! - zawołał Tich do Chora, wykorzystując system komunikacji łączący oba pojazdy, a wielu uczestników ekspedycji uderzyło w krzyk, przerażonych i wzburzonych tym, co zobaczyło.

Ale na odwrót było już za późno. Za plecami przyjaciół rozległ się dudniący grzmot i huk, gdy gigantyczna lawina kamieni i ziemi ostatecznie odcięła im drogę.

Na moment zapadła cisza.

- I tak zakończyła się ta wyprawa - usłyszeli głos Joriego z J2.

To raczej nieudana próba żartu. W ich sytuacji nie bardzo było się z czego śmiać.

Zostali uwięzieni. Przestali również cokolwiek widzieć. Nawet reflektory Juggernautów nic nie dawały, bo nad pojazdami kłębił się rój czegoś, czego nie potrafili zidentyfikować, a co udaremniało wszelkie próby zorientowania się w sytuacji. Krótka chwila ciszy też zaraz definitywnie minęła. Przy wtórze strasznych trzasków i zgrzytów nieznane potwory zaczęły nadgryzać masywne panczerze pojazdów.

- Prędko! - ponaglał Ram. - Weźcie dziewczęta i rannego Tsi do schronu!

Indra bardzo chciała być tam, gdzie Ram, rozumiała jednak, że swoją obecnością przydałaby mu tylko zmartwienia. Zabrała więc Siskę i Sasse, wspólnymi siłami przetransportowały nosze, na których leżał Tsi, do pomieszczenia zwanego schronem. Nie spodziewali się, że tak prędko przyjdzie im z niego korzystać.

Z wieżyczki dobiegło wołanie Chora:

- Przegryzły się przez zewnętrzną powłokę! Jeden reflektor jest już zniszczony. Co robimy?

- Ruszaj naprzód! - nakazał Faron. - Spróbujemy je z siebie strząsnąć!

- Nie, zaczekajcie! - usłyszeli protest Joriego. - To one! One!

- Co masz na myśli?

- To te przypominające larwy potworki, które chciały pożreć mnie i Tsi tamtym razem na skałach. Właśnie zobaczyłem te ich przyssawki, to one! Ale jakie ich mnóstwo! Dobrze, że Tsi tego nie widzi, oszalałby na ten widok.

- Ten korytarz musi być ich gniazdem - stwierdził Chor. - Włączę teraz silniki, jeśli i one nie zostały już zniszczone.

- Freke - odezwał się Marco. - Co wiesz o tych stworzeniach?

Wilk, nerwowo krążący po wieżycy, odparł:

- Są niezwykle żarłoczne, rzucają się na wszystko, co tylko napotykają na swej drodze. Istoty uwięzione w Górach Czarnych panicznie się ich boją.

Marco podniósł rękę.

- Zaczekaj chwilę, Chor. Wiemy już sporo o mieszkańcach z Gór Czarnych, Sviłowie okazali się nadmiernie wyrosniętymi szczurami, wilkoludy przemienionymi wilkami i tak dalej. Tych larw nie widzimy teraz wprawdzie wyraźnie, lecz możemy chyba przypuszczać, że nie są niczym innym jak powiększonymi gąsienicami. Właśnie wśród gąsienic można spotkać nieprawdopodobnie żarłoczne gatunki. Ach, na miłość boską, jakże one hałasują!

- Rozumiem, o co ci chodzi, Marco - rzekł Chor, który wciąż wahał się, czy zapuścić silniki. - Ale czy starczy ci na to sił? Wyglądasz na strasznie zmęczonego, wiesz o tym?

- Nie wiem, ale czuję - uśmiechnął się Marco blado. - Ta wyprawa jest ciężka dla nas wszystkich.

- Zwłaszcza dla ciebie i dla Dolga - z powagą przyznał Ram. - Ale trzeba się spieszyć, a wydaje mi się, że jeśli po prostu ruszymy naprzód, niewiele wskóramy. W dodatku tak czyniąc, uśmiercimy kolejne żywe istoty, a tego nikt z nas nie chce. Potrzebna ci jakaś pomoc?

- Tak. Dolg! Cieniu! - zawołał Marco przez mikrofon.

- Słuchaliśmy cię - odezwał się Dolg z J2. - Jesteśmy do dyspozycji.

- Doskonale! Bardzo nam teraz brak twojego ojca, Dolgu. Już nie raz gorzko żalowaliśmy, że nie poprosiliśmy, aby nam towarzyszył. Chciałbym także, by pomogli nam Sol, Heike, Shira i Mar. Nie znają się zapewne tak dobrze na galdrach jak Móri, lecz na pewno okażą się przydatni.

- Jesteśmy przy tobie - zgłosiły się duchy, okrążając Marca.

Wiedziały, o co chodzi. Miały przywrócić potworom ich pierwotną postać.

- Zdołały się przedrzeć przy ramie okiennej! - krzyknął Chor. - Sytuacja zaczyna się robić krytyczna!

Yorimoto, Kiro i Oko Nocy otrzymali rozkaz powstrzymywania intruzów, jeśli to możliwe, bez zabijania. W tym czasie wszyscy w J1 znajdujący się na czarach rozpoczęli odmawianie zaklęć. Przez głośniki dochodziły do nich monotonne głosy Dolga i Cienia, którzy przyłączyli się do chóru. Nie było to jednogłośne zaklinanie, każdy z czarowników używał własnych słów i własnej techniki.

Ale zaklęcia podziały!

- Puszczają! - zawołał Kiro. - I zaczynają się zmniejszać!

- Nie przerywajcie - mruknął Marco do przyjaciół.

On sam nie wypowiadał zbyt wielu słów, jego siła bowiem polegała na niezwyklej umiejętności wczuwania się w najgłębsze mechanizmy przeciwnika, zarówno duchowe, jak i fizyczne.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że właśnie jego moc ma decydujące znaczenie, otrzymał jednak solidne wsparcie od innych. Później, gdy było już po wszystkim, stwierdził nawet, że nigdy jeszcze nie miał tak łatwej pracy. Szóstka pomocników przyjęła to stwierdzenie z dumą i wzruszeniem.

Przerośnięte larwy, wielkością dorównujące co najmniej dorosłemu człowiekowi, skurczyły się do swoich zwyczajnych rozmiarów. Uczestnicy wyprawy mogli znów teraz wyglądać przez okno, patrzyli, jak małe stworzonka w przerażeniu spelzają z pojazdów, choć dosłownie wypełniały całą grotę. Marco uczynił jeszcze kilka stanowczych, lecz życzliwych gestów, a małe stwory wycofały się ze środka i na jego rozkaz popęzły w górę skalnych ścian. Marco pragnął oszczędzić im życie. Wszystko to oczywiście trwało, lecz pojazdy czekały, aż larwy opuszczą drogę. Tymczasem Chor i Tich z pomocą wielu chętnych dłoni zabrali się do naprawy kadłubów. J1 okazał się bardziej uszkodzony, J2 lepiej dał sobie radę, ale też i zbudowano go z trwalszego materiału, a także wzmocniono po poprzedniej wyprawie w Ciemność. Teraz części zapasowe, które zabrali ze sobą, naprawę się przydały.

Marco zerknął w tył przez ramię.

- Są takie maleńkie, że mogą przedostać się przez szpary w usypisku kamieni - powiedział. - Postaram się naprowadzić ich myśli czy też instynkty na takie rozwiązanie. Sądzę, że lepiej dla nich będzie, jak wydostaną się spod władzy reżimu z Gór Czarnych. Tak, tak, niejeden wiele by dał za to, by dowiedzieć się, na czym ów reżim polega. A raczej woleliby tego nie wiedzieć. Skoro jednak ekspedycja zmierzała teraz ku wnętrzu gór, informacja taka bardzo by się przydała. Dobrze byłoby rozpoznać wroga, nie musieliby wtedy poruszać się na oślep tak jak teraz.

W grocie panował chłód. Indra opuściła upokarzające zamknięcie i usiłowała także do czegoś się przydać, biegała więc, przenosząc wiadomości między tymi, którzy uszczelniali dziury powstałe w J1. Przyrząd tak staroświecki jak spawarka nie istniał w świecie Madragów, posługiwali się o wiele łagodniejszymi metodami. Teraz wzmacniano słabe punkty, odkryte podczas ostatniego ataku. Wymieniono rozbite reflektory, skontrolowano każdy najdrobniejszy szczegół.

W tym czasie Sassa, bezpieczna w objęciach J1, nie mogła oderwać oczu od fascynującego, przypominającego przemarsz lemingów pochodzących małych larw, które kierowały się w stronę zasypanego wyjścia. Larwy pełzły najszybciej jak umiały, pragnąc wolności, a Sassa strasznie się bała, że ktoś we wnętrzu przerażających gór zorientuje się, co się stało, i zechce je powstrzymać.

- Spieszcie się, spieszcie, małe robaczki - szeptała. - Dolina Róż jest teraz wolna od zła, znajdziecie tam dobrą kryjówkę i nigdy już nie wpadniecie w szpony swoich prześladowców.

Były to raczej pobożne życzenia, choć nie do końca pozbawione podstaw. Marco, Dolg i Shira dokonali bowiem wielkiego dzieła w Dolinie Róż, złamali jej złą moc.

Sassa starała się nie pociągać nosem, była jednak bardzo wystraszona i nieszczęśliwa i nieustannie żałowała, że nie usłuchała ostrzeżeń i nie została w domu. Hubert Ambrozja... Gdy przypominała sobie ukochanego kota, z oczu znów popłynęły jej łzy, więc zmusiła się, by myśleć o czymś innym.

Siska została w schronie przy Tsi, skuliła się przy nim, by ogrzewać go swoją bliskością, dodawać sił. Marco nie czynił jej wielkich nadziei, teraz nic więcej nie mógł już zrobić dla Tsi. „Wydaje mi się, Sisko, że jedynie jasna woda może go uratować” - rzekł z powagą. - „Ciernie róż pokłuły go zbyt głęboko, a przesycone były do głębi żądzą niszczenia, liście zaś sparaliżowały jego oddech. Ale Tsi wywodzi się z silnego rodu i niemal całe swoje życie spędził w dobroczynnych promieniach Świętego Słońca. Bądź przy nim, on zapewne wyczuje twoją obecność i być może dzięki temu obudzi się w nim tęsknota za życiem”.

Siska nie odstępowała więc zielonobrunatnego leśnego elfa, szeptem prosząc, by wytrzymał do czasu, aż odnajdą źródło jasnej wody. Nie wiedziała, czy Tsi ją słyszy, wciąż jednak nie przestawała do niego przemawiać, głaskać po ukochanej fascynującej twarzy, wijących się zielonych włosach i całować zamknięte powieki.

Sol z Ludzi Lodu także postanowiła się do czegoś przydać. Kategoriecznie odmówiła pozostania w schronie. „Jestem przecież duchem, do diaska!” - zaprotestowała. „Owszem - zgodził się Marco - ale tylko częściowo, bądź więc ostrożna”. Sol w odpowiedzi jedynie prychnęła.

W grocie nieźle się bawiła. Próbowwała pomóc najpowolniejszym z małych larw, zupełnie zapominając o tym, że jeszcze przed chwilą były groteskowymi monstrami, większymi od niej samej, gotowymi zmiążyć ją żarłocznymi szczękami. Teraz stały się bezbronne i tylko to ją obchodziło. Chyba wolno trochę sobie z nimi pożartować? Delikatnie popychała je od tyłu, poganiała lekko, przemawiała do nich wesoło, zanosząc się przy tym śmiechem. Przenosiła też te, które nie zdążyły zejść z pojazdów, zwłaszcza z J1. J2 był już oczyszczony i gotów do dalszej drogi, lecz przy J1 wciąż pozostawało dużo do zrobienia.

Kiro i Armas reperowali pojazd tuż obok.

- Zamierzasz urządzić wyścigi larw, Sol? - zapytał Armas z uśmiechem.

Sol natychmiast podchwyciła:

- Oczywiście, stawiam na tego zielonego, ma coś w sobie.

- A może to ona?

- Na pewno on. Obstawiam tylko męskich uczestników. No, pospiesz się, nie widzisz, że ta biała kobitka zaraz cię wyprzedzi? „Dwa szybkie po wewnętrznej i koniec z nim”, jak mawiają norwescy łyżwiarze, tego nauczyła mnie Indra. Doskonale wyrażenie, użyteczne w wielu życiowych sytuacjach.

Kiro przyniósł w ręku jakąś larwę.

- Masz tu jeszcze jedną, wita się na grzbiecie w łóżysku J1.

Sol wzięła stworzonko do ręki, wbijając szelmowskie spojrzenie żółtych oczu w czarne oczy Strażnika. Armas popatrzył na parę z uśmiechem i zaraz wrócił do pracy przy uszczelnianiu spojenia.

- To chyba była ostatnia na J1. Poproś, żeby trochę przyspieszyła.

Sol zaniósła ostatnią gąsienicę do pochodu, który oddalał się wzdłuż skalnej ściany.

Wróciła i zapytała:

- W czym mogę teraz pomóc?

Armas, który miał największą ochotę powiedzieć, by trzymała się z daleka i nie plątała pod nogami, łaskawie przydzielił jej jednak funkcję instrumentariuszki. Sol przyjęła propozycję z takim zadowoleniem, że chłopak zawstydził się niewypowiedzianego życzenia. Kiedy zabrała się do pracy z wielkim skupieniem i powagą, i Armas, i Kiro wkrótce się zorientowali, że jej pomoc naprawdę im się przydaje. A ileż przy tym sprawia radości pięknej czarownicy z Ludzi Lodu!

Wróciwszy zakłębami olbrzymim larwom ich normalne niewielkie rozmiary i wyprowadziwszy je z tunelu, Marco poczuł, że osiągnął granicę. Jego samego to zaskoczyło. Nie przypuszczał, że jest zdolny do tak ludzkich reakcji, jak zmęczenie. Taka jednak była prawda. Dolg kazał mu się położyć i odpocząć, całej wyprawie mogły wszak już wkrótce przydać się jego zdolności. Marco usłuchał tej rady, zawsze zresztą był posłuszny Dolgowi.

Nagle zorientował się, jak niebiańsko cudownie jest móc wyciągnąć się na łóżku, zamknąć oczy i wyłączyć się ze wszystkiego. Może zbyt przejmował się spoczywającą na nim odpowiedzialnością, ale wiedział wszak, jak wielkim zaufaniem darzą go przyjaciele. Zawsze gdy jakiś problem wydawał się nierozwiązywalny, zwracali



się do niego albo do Dolga. Do syna czarnoksiężnika, który miał swe drogocenne szlachetne kamienie, i do Marca, obdarzonego magicznymi mocami. To bardzo przyjemne i budujące móc pomagać, właściwie ogromnie się cieszył ze swych niezwykłych zdolności, lecz nie w tej chwili.

Nagle uderzyła go niepokojąca myśl. Dlaczego poczuł się tak zmęczony akurat teraz, podczas tej wyprawy? Czy to dlatego, że zmierzali do samej twierdzy, do jądra zła? Czy kryją się tam siły potężniejsze od jego własnych, które, odgadując jego obecność, chcą go obezwładnić?

W takim razie marny los czeka całą wyprawę.

Z daleka, spoza pojazdu, dobiegał go wesoły głos Sol, w roztargnieniu uświadomił sobie, że żartuje z Armasem i Kirem.

Czy słusznie postąpił, wracając jej ludzkie życie?

Cóż, na razie stanowiła przypadek z pogranicza, była czymś w rodzaju bękarta, gdy zechciała, wciąż mogła być jeszcze duchem, przynajmniej częściowo.

Ale czy dobrze zrobił?

Eksperyment z Filipem zdecydowanie się nie powiódł, choć chłopiec może tak by tego nie osądził, on bowiem doskonale się czuł wśród duchów Ludzi Lodu. Nie obchodził go jednak świat ludzi, tak więc Gabriel, jego ojciec, nie doznał zbyt wiele radości z jego powrotu, przeciwnie, bardzo się rozczarował, a siostry, Indra i Miranda, dorastając oddaliły się od małego chłopca, którym wciąż był i na zawsze miał pozostać Filip.

Tamta próba sprawiła, że Marco stał się ostrożniejszy. Nie umiał odpowiedzieć na pytanie, co zrobi Sol. Jaką przyszłość dla siebie wybierze?

Na razie jednak wszystko wskazywało na to, że Sol doskonale się bawi.

Wreszcie rozległ się sygnał gotowości. Mogli jechać dalej.

Lecz jak daleko, tego nikt nie wiedział. A Faron zabronił wyprawiania się na zwiady pojedynczym osobom. Wszystkim nakazano przebywanie w pojazdach, nikt więc się nie orientował, czy znaleźli się po prostu w głębokiej grocie, czy też faktycznie był to tunel prowadzący przez góry.

Mieli jednak pewne podstawy, by sądzić, że znajdują się w przejściu. Po cóż bowiem umieszczono by tutaj te wielkie potwory?

Indra zeszła do schronu.

- Musisz wreszcie pójść do kuchni i coś zjeść, Sisko, całe wieki nie miałaś nic w ustach.

W tym czasie Sassa może zająć się Tsi, prawda, Sasso?

Indra tak surowo popatrzyła na dziewczynkę, że ta nie odważyła się kręcić nosem.

Przestraszona mocno pokiwała głową. Ratunku, powierzono jej opiekę nad chorym leśnym elfem?

Siska gwałtownie protestowała, nie była wcale głodna, nie chciała też sprawić zawodu Tsi. Bo co się stanie, jeśli on się obudzi, a jej przy nim nie będzie? Albo, co gorsza, jeśli w tym czasie umrze? Nie, nie może teraz myśleć o jedzeniu, i tak nie przełknęłaby ani kęsa.

- Jeśli nie będziesz jadła, do niczego nie przydasz się Tsi - argumentowała Indra, ciągnąc ją za sobą.

Sassa została więc sama, ze wzrokiem nieruchomo utkwionym w nieprzytomnego Tsi-Tsunggę.

Pojazdy bardzo wolno i ostrożnie zaczęły się toczyć krętym korytarzem akurat wtedy, gdy Indra z Siską wchodziły po schodach. Skalne podłoże było tu nierówne, bezustannie musiały się czegoś przytrzymywać, żeby nie spaść. Z oczu Siski wprost bił niepokój, twierdziła, że nie powinna odchodzić od Tsi, ale Indra ją uspokajała. Siska mogła przecież tylko wziąć z kuchni coś do zjedzenia i wrócić do rannego. Księżniczka uznała to za dobrą propozycję i przestała się tak strasznie martwić.

U szczytu schodów napotkały Sol, w oczach czarownicy płonął jakiś nowy blask. Co ona znowu wymyśliła?

2

Przed kompletnym załamaniem nerwowym ocalił Siskę Oko Nocy. Przynależ, że pomoże Sassie w opiece nad Tsi, dziewczęta mogły więc spokojnie zjeść posiłek w kuchni.

Często się zdarzało, że tam właśnie się zbierały na swoje dziewczynskie pogawędki.

Tym razem do omówienia aktualnych problemów przystąpiły Indra, Siska i Sol.

Przede wszystkim zainteresowały się Tsi. Pomimo iż J1 parł naprzód tak gwałtownie, że często aż podskakiwały na krzesłach, Indra zapalała chęcią poznania całej prawdy. Jak to się stało, że tak emocjonujący romans mógł trwać, a ona w niczym się nie zorientowała?

Sol uśmiechnęła się z tajemniczą miną. O, ona się domyślała, tak przynajmniej twierdziła. Indra niestety nic takiego powiedzieć nie mogła, bo nawet się jej nie śniło, żeby Tsi i Siska... Nie.

- Sądziłam, że on potrafi jedynie przyprawić o zmysłowe podniecenie - wyznała.

- Z początku i ja tak myślałam - odparła Siska. - Okropnie mnie irytował, bo wyprowadzał mnie z równowagi. Uważałam, że jest jak zwierzę, do którego nie wolno się zbliżać.

Myślałam, że jest niebezpieczny, nic nie wart i tak dalej. Strasznie byłam głupia.

- Ale od jak dawna to trwa?

- Ta irytacja, ta gorączka we krwi, to już stara historia. Ale tak naprawdę poznaliśmy się dopiero w Ciemności, gdy ratowaliśmy jelenie olbrzymie. Wtedy dopiero zrozumiałam, że Tsi jest wspaniałą istotą.

- Już wtedy?

- Tak. Od tamtej pory wspólnie zajmowaliśmy się lanią i jej cielęciami. Zawarliśmy też pewną umowę, o której nie chciałabym mówić, bo to zbyt osobista sprawa.

- Cóż - powiedziała Sol. - Zawsze trzeba sobie wyznaczyć granicę, ile prawdy zdradzi się o ukochanym. Doskonale to rozumiem.

- No dobrze - westchnęła Indra. - Mów dalej, Sisko! Czy wy... No, wiesz...

Sol i Siska roześmiały się. Indrę nie bardzo obchodziły granice.

Siska pochyliła głowę, nie chciała patrzeć na przyjaciółki.

- Mogę zdradzić przynajmniej tyle, że dopiero teraz, kiedy został śmiertelnie ranny, zrozumiałam, że żywię dla niego głębsze uczucia.

- Aha - westchnęła Indra ze zrozumieniem. Zadowolona ją ta odpowiedź. Zaspokoila swoją ciekawość.

Odwróciła się do Sol.

- No a ty? Uśmiechasz się tak zagadkowo. Cała promieniejesz? Co się z tobą dzieje?  
Sol ocknęła się.

- Rzeczywiście jest coś, o co chciałam cię spytać, Indro. Jak to jest związać się z Lemuryjczykiem?

Indra odchyliła się i usiadła wygodniej w krześle.

- Aha - powtórzyła.

- Nie, nie, żadne „aha”, po prostu pytam.

- No cóż, dziewczęta, to cudowne, fantastyczne i niebywałe. Och, do diabła, filizanka spadła na podłogę, czy oni nie mogą jechać trochę spokojniej? Najpierw muszę jednak wyznać, że my nigdy... nie byliśmy kochankami. Nie wolno nam...

- Nam chyba też nie - rozmarzonym głosem powiedziała Siska.

- Wy w każdym razie nie mieliście nad głowami miecza w postaci Talornina. Ale to, co fizyczne, nie jest takie ważne, przynajmniej na razie. Sol, oni są najlepszymi kochankami na świecie, przysięgam ci, że tak jest, choć my nie posunęliśmy się tak daleko. Może więc nie powinniśmy mówić o żadnym romansie, tylko o czystej miłości?

- Lenore też twierdziła, że są nadzwyczajnymi kochankami - Sol z nieobecny  
spojrzeniem pokiwała głową. - Sądziłam jednak, że tylko się przechwala.

- Też ją o to posądzałam, ale ona mówiła prawdę. A dlaczego o to pytasz? I tylko nie próbuj się wykręcać!

- Dobrze. Kiedy Kiro podał mi larwę, nasze dłonie przypadkiem się zetknęły, i to na dłuższą chwilę. Wtedy najwyraźniej dostałam się pod wpływ tego uroku, o którym mówisz.

Indra zamyślona pokiwała głową.

- Tak samo zaczęło się ze mną i z Ramem. On tylko przypadkiem pocałował mnie w policzek i już przepadłam. Okazało się, że moje uczucia są odwzajemnione, i, dziewczęta, nigdy wcześniej nie było mi tak cudownie jak teraz! Jak wspaniale jest czuć się kochaną i móc tęsknić! Ale ty, Sol, moim zdaniem powinnaś się zastanowić. Miłość do Lemuryjczyka łączy się z cierpieniem i... do licha, nie wolno z nimi igrzać!

- Wyobrażam to sobie! Nie mam zamiaru dać się złapać w żadną pułapkę. Co wiecie na temat Kira?

- Właściwie nic. Nie jest taki przystojny ani nie zajmuje równie wysokiej pozycji jak Ram, ale...

- No, no, patrzysz teraz na Rama oczami miłości. Kiro również świetnie się prezentuje, choć nie są do siebie bardzo podobni.

Siska im przerwała.

- Wiem tak bezwstydnie mało o Lemuryjczykach, mieszkają wszak osobno. Rok jest mężem Vidy, a Ram to kawaler, co natomiast z Kirem, Tellem i Goramem... No cóż, Tell zapewne nie jest żonaty, kochał się przecież w Lenore do czasu, gdy ukazała swoje prawdziwe oblicze. Chcesz, żebyśmy wypytały Kira, Sol? Najlepiej chyba by było, gdyby Indra się tym zajęła, wyglądałoby to bardziej naturalnie, skoro jest z Ramem.

- Mogę spytać Rama, tak będzie prościej - obiecała Indra, a Sol popatrzyła na nią z wdzięcznością. - Ale co z Armasem? - spytała Indra. - On jest przecież bardzo przystojny, nie masz ochoty na niego, Sol?

- Chyba nie - odparła Sol z wahaniem. - Armas jest inny, taki poważny. I coś jakby stawia mi opór.

- Czułam dokładnie to samo, kiedyś gdy snułam plany, by z nim poflirtować - z zapalem przyświadczyła Indra. - Wiecie zresztą, jak surowy jest Strażnik Góry, jego ojciec. Armas musi mieć narzeczoną z rodu Obcych, nikt inny nie będzie dla niego dostatecznie dobry. Au, J1, nie huśtaj tak!

Rozmowa rozplynęła się w śmiechu, a zaraz potem Siska skończyła jedzenie i na nowo zapragnęła powrócić do Tsi.

Sol i Indra wolno poszły za nią. Pojazd wciąż gwałtownie się kołysał, stapały więc bardzo niepewnie.

- Jesteś więc zdecydowana na jakiś drobny romansik? - spytała Indra.

- Niekoniecznie podczas tej wyprawy - odparła Sol. - Zamierzałam poczekać, aż będę miała większy wybór, ale to uczucie dla Kira bardzo mnie podnieciło. Postaram się mu oprzeć, rozumiem, że ono może sprawić kłopot.

- Niewątpliwie, ale jest też cudowne. O ile dobrze zrozumiałam, to właściwie za życia nigdy nie zdążyłaś nikogo pokochać.

- Owszem, to prawda. Właśnie dlatego poprosiłam Marca, żeby ofiarował mi jeszcze jedną szansę. Niemądre tylko, że muszę podjąć decyzję o swoim losie do czasu naszego powrotu. Będzie to właściwie niemożliwe, jeśli nie zakocham się podczas wyprawy. Ale czy my w ogóle wrócimy? To przecież bardzo wątpliwe.

- Oczywiście, że wrócimy - powiedziała Indra, lecz bez przekonania. - Ale rozumiem twój dylemat, w istocie jest się nad czym zastanawiać.

- No tak, nie szukam wcale jakiejś łóżkowej przygody. Chcę doświadczyć, jak to jest kochać i być kochaną.

Indra uścisnęła ją za rękę.

- Życzę ci powodzenia. Ojej! Ale co tu się dzieje?

Zeszły już na dół i zobaczyły, że nosze Tsi przeniesiono do dużego pomieszczenia.

Wokół niego zgromadziła się grupa osób.

- Nie podoba mi się jego stan - wyjaśnił Marco. - Zatrzymamy pojazdy i przetransportujemy go do izby chorych. Dolg i ja przyjrzymy mu się, a Tichowi potrzebna jest pomoc przy manewrowaniu J2, niewiele was więc tu zostanie.

- Na pewno damy sobie radę - obiecała Indra.

- Na pewno - przyświadczył Marco roztargniony. - Ale potrzebne nam jest teraz wsparcie duchów, przed nami rozpościera się czarna wełnista mgła, muszą więc wyjść przed J2 i spróbować poszukać jakiejś drogi.

- Sądziłam, że jest tylko jedna droga, coś w rodzaju tunelu.

- Owszem, ale nie chcemy chyba wjechać prosto w skałę albo w coś na podobieństwo roju olbrzymich larw. Ta ziemista mgła jest tak gęsta, że blask reflektorów nie jest w stanie przez nią przeniknąć. Nie, Sol, ty zostaniesz tutaj, nie możesz już uważać się za ducha w czystej postaci. Yorimoto i Oko Nocy także pozostaną w J1, Sassa też, ona nie lubi J2. Kiro, i ty tu zostań. Za to Gerego i Frekego chciałbym zabrać ze sobą. Możecie się nam przydać, pamiętajcie, będziemy was osłaniać. Przyślemy też do J1 Joriego, on jest taki pełen zapалу, otwarty, można na nim polegać.

I bałaganiarski, pomyślała Indra, ale zachowała to dla siebie. Z lękiem w głosie spytała natomiast:

- No a Ram?

- Zarówno Ram, jak i Faron przejdą do J2, to tam może dojść do kryzysu. Poza tym ten pojazd ma posuwać się jako pierwszy. Wy jesteście tylko na przyczepkę.

Indra skuliła się jak przekłuty balon.

- Może ja też...

- Nie, tam może być niebezpiecznie, nic przecież nie wiemy. Jesteśmy, prawdę powiedziawszy, do tego stopnia niepewni, że zbierzemy tutaj wszystkich, by podjąć pewne kroki bezpieczeństwa. No, nadchodzą pasażerowie z J2, możemy zaczynać. Wszyscy po kolei mieli wejść do malusieńkiego pomieszczenia w wieżycze J1 i tam poddać się naświetlaniu promieniami Świętego Słońca, by w ten sposób lepiej się przygotować na odparcie złych impulsów, na jakich działanie niewątpliwie zostaną narażeni tu, w Górach Czarnych. Nikt nie chciał, by spotkał go taki los jak Hannagara i Elję, z wdzięcznością więc przyjęto tę propozycję. Byli jednak tacy, którzy zaniepokoiili się nie na żarty...

- Czy ja jestem wystarczająco dobra? - z niedowierzaniem pytała Sol. - Pomyślcie tylko, co będzie, jeśli w blasku Świętego Słońca ujawnią się moje najgorsze cechy.

Marco odparł z powagą:

- Starannie przyjrzeliliśmy się każdemu z was i uważamy, że trzymacie miarę. Niemniej jednak Dolg najpierw wypróbuje niektórych z was niebieskim szafirem, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Dotyczy to tych duchów z Ludzi Lodu, na których ciążyło kiedyś przekleństwo, Heikego, Sol i Mara. Chcemy się też przyjrzeć Yorimoto i Cieniowi, mało wiemy o waszym pochodzeniu. No i Geremu i Frekemu. Mam nadzieję, że nikt z was nie poczuł się dotknięty.

Pokręcili głowami.

- Sami chcielibyśmy, aby poddano nas tej próbie - krótko oświadczył Cień.

- Doskonale, weź więc z sobą tych, których to dotyczy, Dolgu, i sprawdź, co mówi szafir. Dolg i wywołani zniknęli, pozostali zaś czekali w milczeniu. Wsłuchiwali się w duszną ciszę panującą na zewnątrz i starali się nie wyglądać przez okno.

Dolg wkrótce powrócił ze swym orszakiem.

- Doskonale poszło - uśmiechnął się. - Drobniuśka nieczystość przy wilkach, lecz czego innego można się spodziewać, gdy ktoś tak długo przebywał we wnętrzu Gór.

Wszyscy zostali zaakceptowani przez szafir.

Teraz po kolei mieli wchodzić do maleńkiego pokoiku. Gdy nadeszła kolej Sol, czarownica stwierdziła, że nerwy ma w strzępkach. Jestem dobra, jestem dobra, jestem dobra, dawno już przestałam być niegrzeczną dziewczynką, powtarzała w duchu.

Kochane Słońce, potraktuj mnie łaskawie, przeszłam wszak przez ucho igielne szafiru!

Usiadła na krześle stojącym w środku, drzwi zamknęły się za nią, została sama.

Blask światła w pomieszczeniu z wolna nabierał mocy, aż wreszcie rozpalił się, rozgorzał, zachowując jednocześnie łagodność, tak że nie drażnił oczu.

Teraz wszystko się rozstrzygnie. Jeśli zło we mnie dominuje, mogę stać się potworem.

Spięła się podświadomie, nie na żarty wystraszona, przejęta myślą o tym, co może się stać.

Nagle jednak ogarnęło ją ciepło, a ciało się rozluźniło. Poczwała się wesoła, szczęśliwa, życzliwie nastawiona do wszystkich.

Nadając się, pomyślała uradowana, jestem dobrym człowiekiem, Słońce przyjmuje mnie, jakbym była jego dzieckiem, i obdarza siłą, która przyda mi się w tej złej, zimnej krainie. Hura!

Ostatnie słowo, nie zdając sobie z tego sprawy, wykrzyknęła na głos, Dolg więc, który akurat zgasił Słońce i otworzył drzwi, wszystko usłyszał. Uśmiechnął się szeroko, gdy rzuciła mu się w ramiona, płacząc ze szczęścia.

Indra w oczekiwaniu na swoją kolej rozmawiała i żartowała z Jorim, by trochę rozluźnić atmosferę powagi, wynikającą z sytuacji, w jakiej się znaleźli. Jori nigdy nie odmawiał udziału w zabawie, pod tym względem nie różnili się z Indrą nawet na jotę.

Indra rozejrzała się za Ramem. Stał kawałek dalej, odwrócony do niej plecami.

- Ty się tu urodziłeś, Jori - powiedziała rozmarzonym głosem. - Ale ja widziałam świat na powierzchni. Są tam miejsca, które gorąco bym pragnęła pokazać Ramowi, gdyby tylko Obcy pozwolili, byśmy byli razem. Ale tak najwyraźniej się nie stanie.

- Po głosie poznaję, że masz na myśli jakieś konkretne miejsce.

- Tak, Islandię. Gjáin, dolinę elfów, i...

Nieoczekiwanie wybuchnęła śmiechem, tak serdecznym, że aż zgięła się w pół. Gdy wreszcie trochę się uspokoiła, wydusiła z siebie:

- Coś mi się przypomniało, choć nie ma to wcale związku z elfami ani z Ramem.

Posłuchaj tylko.

Jori już uśmiechał się z wyczekiwaniem. Zapomnieli o tym, co się dzieje dookoła, chcieli się troszkę zabawić. Poza tym kolejka przed nimi wciąż była dość długa.

- Widzisz, Jori, podróżowaliśmy samochodem przez kamienne pustynie w głąb lądu, woził nas Addi, bardzo doświadczony kierowca, znający islandzkie pustkowia. Często obwoził turystów i miał dla nich przygotowane mnóstwo atrakcji, takie jak wyścigi na skuterach śnieżnych po lodowcu, przejażdżki na konikach islandzkich, jazda na nartach za dżipem, spływ tratwami, wyprawy helikopterem, wspinaczka po lodowcu, łażenie po grotach, wycieczka do Geysiru, do kraterów wulkanów, kąpiel w gorących źródłach, szczególnie w Blue Lagoon, i tak dalej. Wspólnie z Mirandą wymyślałyśmy dla niego nowe atrakcje, świetnie się przy tym bawiąc.

- Co rozumiesz przez nowe atrakcje? - spytał Jori z błyskiem w oku. Znał specyficzne poczucie humoru Indry i wiedział, że jej rozbawienie zapowiada coś interesującego.

- Nie pamiętam już wszystkich propozycji, pewnie też nie każda była bardzo pomysłowa, a w dodatku układałyśmy je po angielsku, bo właśnie w tym języku była broszura Addiego, ale da się to chyba przetłumaczyć. Na przykład „horse-rafting” i „Geysir climbing”.

Jori cały się rozjaśnił.

- Spławianie koni tratwami i wspinaczka na Wielki Gejzer. Pojmuję, mów dalej.

- Co tam jeszcze było, zaraz, zaraz... Już wiem! „Rajd na skuterach śnieżnych po grotach”.

- Ja też coś mam - zapalił się Jori. - „Pływanie tratwą po gejzerze”.

- „Kąpiel w lawie o wschodzie słońca”.

- „Wyścigi rowerowe po lodowcu” - podsunął Jori.

- Specjalnie dla Francuzów „Tour de Myrdalsjökull”.

Indra roześmiała się.

- Akurat wtedy trochę się złościliśmy na Francuzów, doskonale więc to pasuje.

Przypominam też sobie, że na skraju jednego z kraterów weszła nam w drogę jakaś duża niemiecka grupa, a wtedy posypał się już prawdziwy grad propozycji. „Mistrzostwa Niemiec w skoku wzwyż do krateru - tylko jeden skok na uczestnika. Dopuszcza się następujące style: 1. podwójny bismarck z bratwurstem. 2. śruba w pikielhaubie. 3. potrójne salto z wypchnięciem. 4. skoki synchroniczne (zespołowo)”.

- „Helikopterowe polowanie na szwedzkich turystów”.

To była propozycja Joriego.

Kilka osób przysunęło się do nich, chcąc posłuchać, co tak ich bawi, wśród nich również Ram. Nie przerywał im, wiedział, że tuż obok czai się zapewne niebezpieczeństwo, a taka chwila bez troski doda wszystkim sił.

Indra miała coś jeszcze do powiedzenia:

- „Horse-shaving in Blue Lagoon”, to koniecznie chcieliśmy mu dopisać. I „Medley, czyli zawody w pływaniu stylem zmiennym, short-drinks in hot tubs”.

- To wcale nie jest zabawne, potrafisz lepiej.

Nietrudno było rzucić wyzwanie Indrze.

- A co powiesz na to? - spytała natychmiast. - „Skoki na linie z islandzkiego drzewa”?

- To o wiele lepsze, zwłaszcza że ich drzewa rzadko osiągają wysokość krzaków.

„Pływanie pod prąd w wodzie z lodowca”. E, to marne.

- Jeszcze jedno mi się przypomniało. Z Nesjar do Reykjavíku jest wodociąg z rur o metrowej średnicy, wymyśliliśmy więc: „Nurkowanie w wodociągu, wstrzymać oddech na osiem godzin”.

- „Jazda na nartach za islandzką owcą”.

- Nie, za bardzo odbiegamy od tematu! - wykrzyknął Ram, powstrzymując ich. Ale nie dało się powiedzieć, by miał na twarzy powagę.

- Jori, teraz twoja kolej. Postaraj się wyglądać choć trochę skromnie w obecności Słońca.

- Ja? - Jori obrzucił go najbardziej niewinnym spojrzeniem na świecie. - Przecież ja zawsze jestem skromny i cnotliwy.

Wszedł do pomieszczenia, a tym samym krótka chwila bez troski bezpowrotnie minęła.

Wszyscy jednak starali się zachować uśmiech na twarzy, nikt przecież nie wiedział, jak prędko znów nadarzy się podobna okazja.

Ale uśmiech na ustach Indry przygasł. Wiedziała, że nigdy nie zabierze Rama na Islandię, do Norwegii ani w żadne inne miejsce. Musi się cieszyć, że jest blisko niego tutaj, choć bardziej ponurego otoczenia nie dało się chyba wyobrazić i choć być może nie był im pisany powrót do domu.

Jori wyszedł dumny jak paw z tego, że Słońce go zaakceptowało.

- Widzicie, że wprost jaśnieję mdłą dobrocią?

- Owszem - chłodno przyznała Indra. - Wyglądasz, jakby cię zamarynowali w świętym oleju.

Mężczyźni przynieśli nosze z chorym Tsi, bo przecież jego także należało chronić, a być może zwłaszcza jego, narażony wszak został na atak zainfekowanych złem róż. Siska stała na zewnątrz, gryząc paznokcie ze strachu, ale Dolg zapewnił ją, że promienie Świętego Słońca tylko dobrze zrobią Tsi, wzmocnią jego system obronny, a ponadto zapewnią ochronę przed groźnymi mocami czyhającymi w górach. Siska jednak odzyskała równowagę dopiero wówczas, gdy nosze wyniesiono z powrotem. Przekonała się, że stan elfa przynajmniej się nie pogorszył. Na twarzy rysował mu się teraz spokój, co odczytała jako dobry znak. Można się w tym było dopatrzeć również spokoju śmierci, ona jednak nie chciała sięgać myślą tak daleko.

Indra wyszła z pomieszczenia Słońca z rozjaśnioną twarzą.

- Sprawdziłam się - oświadczyła rozpromieniona. - Nie wiedziałam, że jestem aż tak dobrym człowiekiem. Teraz za to stanę się nieznośna, bo będę się tym przechwalać co dzień.

- Dopóki nie zrobisz czegoś gorszego niż to, spróbujemy jakoś z tobą wytrzymać - zażartował z niej Armas.

Indra, stojąca w pobliżu Faron, rzuciła beztrąsko, lecz z tonem urazy w głosie:

- Mogłabym na przykład przyczepić się do Rama. Czy nie jest to najgorsza rzecz, jaką mogłabym zrobić, Faronie?

- O co ci chodzi? - cierpko spytał Faron.

- Dobrze wiesz. Wam, Obcym, nie podoba się przecież moja bliska przyjaźń z Ramem. O ile dobrze rozumiem, to wy chcecie wybrać dla niego towarzyszkę życia.

- Ram jest dostatecznie kompetentną osobą, by sam zdecydować. My się w takie sprawy nie wtrącamy.

Indra zapatrzyła się w niego zdumiona. Serce uderzyło jej mocniej. Czyżby on chciał powiedzieć, że...

Tak, na to właśnie wyglądało. Rozejrzała się w poszukiwaniu Rama, lecz on akurat przeszedł do J2. Ach, musi mu o tym powiedzieć, to prawdziwy cud!

Gdy nadeszła kolej wilków, Dolg przykazał im:

- Gdybyście poczuli, że zło w was zaczyna dominować, czym prędzej dajcie znać, szczeniście.

Obiecały, że tak zrobią. Gere jako łagodniejszy wszedł pierwszy, wszystko potoczyło się pomyślnie. Ale kiedy Freke zniknął w środku, napięcie stało się nieznośne. Co zrobią, jeśli próba się nie powiedzie?

Nic złego jednak się nie wydarzyło. Szafir, Dolg i Marco należycie go przygotowali. Sam Freke po wyjściu nie krył ulgi.

Zanim pojazdy znów ruszyły, wyszli rozejrzeć się po okolicy, niewiele jednak dało się zobaczyć. Było tak, jak mówił Marco. Gęsta mgła, niczym ziemistobrunatna kasza, unosiła się w skalnym korytarzu, w którym się znajdowali. Mieli nawet problemy z odnalezieniem powrotnej drogi do pojazdów, czym prędzej więc postanowili się w nich schronić.



Każdy bez wyjątku myślał zapewne o tym samym: W co myśmy się wplątali? Co czai się przed nami?

Siska oczywiście przeniosła się do J2 razem z Tsi, pozwolono jej na to. Przeszedł tam także Armas. W J1 pozostali więc Kiro, Indra, Sol, Oko Nocy, Yorimoto i Sassa. Zjawił się tu także Jori, nieszczerólnie zachwycony faktem, że „zesłano go” do mniej ważnego pojazdu, tego stanowiącego „przyczepkę” do J2.

Wszyscy weszli na wieżyczkę do Chora, który nie ruszał się ze stanowiska dowodzenia i utrzymywał łączność przez telefon z Tichem i Ramem. Ale odkąd wjechali we mgłę, jakość połączenia znacznie się pogorszyła.

- Jak myślisz, czemu tak jest, Chor? - dopytywała się Sol.

- Nie wiem - odparł Madrag. - I nawet nie śmiem zgadywać.

Usłyszeli nawoływania duchów przed J2, lecz nie rozróżniali słów, wiedzieli tylko, że składają raport z tego, co widzą. Wydawało się, że niewiele mają do powiedzenia.

- Teraz Tich rusza - oświadczył Chor. - Trzymajcie się mocno, bo strasznie tu nierówno. „Nierówno” okazało się bardzo łagodnym określeniem. Choć chwyтали się wszystkiego, co tylko znalazło się w zasięgu rąk, rzucało nimi tak, że chwilami widzieli podwójnie.

Wreszcie trochę się uspokoiło, podłoże stało się równiejsze, posuwali się jednak bardzo wolno, ślimak mógłby dotrzymać im kroku. Usłyszeli, że Tich wzywa duchy z powrotem do J2, który właściwie, można powiedzieć, zniknął im już z pola widzenia. Dostrzegali jedynie tylne światła w postaci niewyraźnych plam w gęstej ciemności.

Potem i one zniknęły.

- Do diabła! - zaklął Chor po madragijsku. - Chyba musimy trochę przyspieszyć. Nie sądzę wprawdzie abyśmy się pogubili tutaj, w tym wąskim tunelu, ale czuję się bezpieczniej, gdy mam z nimi kontakt.

- O, tak, bez wątpienia - przyznała Indra. - Jak myślisz, czy jedziemy wyschniętym korytem rzeki?

- Prawdopodobnie - odparł Chor.

Był taki spokojny, dawał tyle poczucia bezpieczeństwa.

Pozostali pasażerowie stali wokół stołu z instrumentami i próbowali przeniknąć wzrokiem nieprzenikniony mrok. Reflektory J1 nie dawały już żadnego światła. Wokół było ciemno jak w grobie, stracili też poczucie czasu.

Sol zaśmiała się nerwowo.

- Pomyślcie, co będzie, jeśli naprawdę natkniemy się na ścianę? Będziemy musieli się cofać, całą drogę z powrotem.

- Jasne widoki na przyszłość - mruknął Chor ze śmiechem.

Wezwał swego przyjaciela Ticha. Coś zaburczało w głośniku, lecz słowa drugiego Madraga do niego nie dotarły.

- Przestaliśmy was widzieć - powtórzył Chor. - Czy możecie na nas zaczekać?

Połączenie zostało niemal przerwane. Tylko czerwona lampka, migocząca na tablicy rozdzielczej, świadczyła o tym, że ktoś usiłuje się z nimi skontaktować.

A mgła na zewnątrz wciąż gęstniała. Była teraz tak gęsta jak sypka ziemia.

- Nie podoba mi się to - stwierdził Kiro.

Nigdy jeszcze siedem osób bardziej się z nim nie zgadzało.

W J2 Tich walczył z instrumentami, które nie chciały go słuchać. Wychwycił wezwanie Chora, lecz nie rozumiał, co przyjaciel usiłował mu przekazać. Ram doniósł, że przestali widzieć przednie światła T1, i z własnej inicjatywy zahamowali, żeby poczekać na drugi pojazd. Duchy znów wyszły, żeby zbadać teren przed nimi, lecz nie miały do przekazania nic nowego. Faron wysłał więc je do tyłu, by spróbowały bezpośrednio skontaktować się z J1.

Duchy powróciły, przynosząc niepokojące wieści.

- Nie możemy ich znaleźć - oświadczył Heike. - A przecież właściwie powinni nam wręcz deptać po piętach.

Niepokój ogarnął całą wieżę kontrolną, w której przebywała większość pasażerów. Tich ponowił próbę nawiązania łączności.

Ale teraz wszystkie instrumenty były jak martwe.

Popatrzyli po sobie, Tich zatrzymał pojazd, zapadła przykra cisza. Czuli się tak, jakby gęsta mgła usiłowała na nich patrzeć, a może nawet przedrzeć się przez jakąś szparę.

Oba Juggernauty jednak były teraz doskonale uszczelnione, nie dałoby się w nich znaleźć nawet najmniejszej dziurki. Członkowie załogi po szkodzie byli już mądrzy.

- Wezwijcie Marca i Dolga - oświadczył Faron martwym głosem.

Armas natychmiast zbiegł na dół i wezwał obu. Wprowadzono ich w sytuację, a potem Faron, tłumiąc wzburzenie, spytał:

- Z kim najłatwiej nawiązać kontakt telepatyczny?

- Z Sol - natychmiast odparł Marco. - Czy pomożecie mi, wy, którzy to potraficie?

Pokiwali głowami, skupili się. Posłali Sol prośbę, by dała im jakiś znak, potwierdziła, że dotarły do niej ich sygnały.

Po kilku minutach zrozumieli, że nie otrzymają odpowiedzi.

Głos Farona brzmiał bardzo niewyraźnie.

- Duchy, przenieście się natychmiast na pokład J1.

W ułamku sekundy wszystkie cztery duchy, Heike, Shira, Mar i Cień, zniknęły z wieży J2. Kiedy czekali na jakąś relację, Ram próbował dowiedzieć się czegoś od wilków, które również przebywały w wieżycy i z takim samym napięciem jak ludzie śledziły rozwój wydarzeń.

- Co wiecie o tym tunelu? - spytał.

- Nic nie wiemy o tej okolicy - odparł Freke. - Jest nam całkowicie nieznana, nigdy o niej nie słyszeliśmy.

- Rozumiem - pokiwał głową Ram.

Duchy wkrótce powróciły.

- I jak? - dopytywał się Faron.

Duchy nie kryły zaniepokojenia. Odpowiedział Cień:

- Nie możemy ich znaleźć.

- Nie możecie ich znaleźć?

- Nie. Nigdy nie przytrafiło nam się nic podobnego. Normalnie powinniśmy odszukać ich bez względu na to, gdzie są, wystarczy, abyśmy sobie tego zażyczyli, ale teraz się nie udało.

- Co wy mówicie? Niczego nie rozumiem - powtórzył Faron, a teraz strach i niepewność w jego z pozoru obojętnym głosie dały się już bez trudu wychwycić.

Wszyscy stłoczyli się wokół duchów. Niejednemu ścisnęło się serce.

W głosie Cienia brzmiało niezmiernie zmęczenie:

- Jest tylko jedna odpowiedź. J1 z ośmiorgiem pasażerów na pokładzie przestał istnieć.

3

Paraliżująca cisza trwała długo. Jedni usiłowali rozumieć, inni...

- Indra - wargi Rama ułożyły się w imię ukochanej. Nigdy jeszcze nie widzieli chyba takiego przerażenia jak to, które teraz malowało się na jego poblądłej, zdrętwiałej twarzy. Marco był równie sparaliżowany. Czuł się odpowiedzialny za Sassę, wnuczkę Nataniela i Ellen, ich jedyną potomkinię. Dolg myślał o swoim siostrzeńcu. Jak zareagują Taran i Uriel, kiedy wróci do domu i powie, że ich najukochańszy Jori po prostu zniknął w czarnych górach zła, przestał istnieć w jakiegokolwiek formie?

Tich drżał z lęku o los najbliższego przyjaciela, Chora. Madragów było przecież tak niewielu, żadnego nie mogli utracić.

I jak wrócą do domu, do Ptaka Burzy i wszystkich innych Indian bez Oka Nocy, nadziei i dumy plemienia?

Kiro, jeden z najlepszych Strażników... Jak zdołają wytłumaczyć jego zniknięcie w nicości? I Sol, tak bardzo kochana przez duchy i innych mieszkańców Królestwa Światła, a zwłaszcza przez uczestników ekspedycji?

Jedyna osoba, za którą nikt pewnie nie zatęskni, to Yorimoto, od niedawna bowiem przebywał w ich kręgu. Ci jednak, którzy brali udział w wyprawie, poznali go jako prawego człowieka, choć zamkniętego w sobie i spętanego więzami kultury, lecz mimo to obdarzonego wolą współdziałania i przyjaźni. Yorimoto gotów był zrezygnować ze swych samurajskich zasad, oddany i wierny tym, którzy go ocalili i zaakceptowali. Nie mógł zniknąć w nicości zapomniany przez wszystkich, jak to się stało udziałem większości ludzi na przestrzeni dziejów. Był przecież jednym z nich, uczestników tej nieszczęsnej ekspedycji.

Wreszcie odrętwienie wywołane wstrząsem ustąpiło.

- Nie! - zawołał Ram.

- Oni nie mogli tak po prostu zniknąć - jęknął Marco.

- Co się stało? Cieniu! Heike! Mieliście odszukać J1...

- ...którego nie było - zmęczonym głosem uzupełnił Heike. - Potrafimy w mgnieniu oka przenieść się w dowolny punkt, ale nic nie znaleźliśmy. J1 został unicestwiony, Marco. Pokręciliśmy się dookoła, rozdzieliliśmy się nawet, żeby móc spenetrować większy obszar, ale wszędzie było pusto. J1 już nie istnieje.

- To niemożliwe - szepnął Faron.

Spostrzegli, jak bardzo przygniata go ciężar odpowiedzialności. To była jego ekspedycja, to on pełnił funkcję głównodowodzącego. Teraz ośmioro z dwadzieściora dwojga uczestników zniknęło, niektórzy z nich byli bardzo ważni, lecz tylko jedna osoba wśród ósemki posiadała ponadnaturalne zdolności, Sol, którą na domiar złego Marco uczynił w połowie człowiekiem.

Czy można sobie wyobrazić bardziej beznadziejną sytuację?

Ram osunął się na krzesło, jakby całe życie, cała krew wyciekły mu z ciała. Indra, Indra przestała istnieć. To on nie pozwolił jej przenieść się do J2.

Faron siadł przy nim.

- Rozumiem, co czujesz, przyjacielu - powiedział cicho. - Właśnie rozmawiałem z Indrą, tuż przed opuszczeniem J1. Powiedziała coś, co mną wstrząsnęło. Podobno zabroniono wam być razem.

- To prawda - krótko odparł Ram. - Talornin stanowczo tego zakazał.

- Ale dlaczego?

Ram zapatrzył się w niego.

- Kto jak kto, ale chyba ty nie powinienes pytać! Mieszanie gatunków. Upadek Lemuryjczyków i tak dalej.

Faron przez długą chwilę milczał. Słyszeli, że Tich wycofuje J2 przez mroczny tunel, by w ten sposób odnaleźć J1. Wiedział, że wszyscy w pełni się zgadzają z jego decyzją.

- A wy podporządkowaliście się temu zakazowi?

- Nie było to łatwe - przyznał Ram. - Lecz jakoś się nam udało.

- Ależ to przecież straszne! - poderwał się Faron. - Talornin musi wiedzieć, że mieszanie ras i gatunków na przestrzeni dziejów zdarzało się bardzo często. Obcy-ludzie, Obcy-Lemuryjczycy, Lemuryjczycy-ludzie i wiele innych konstelacji. Indra przecież była... jest wspaniałą dziewczyną. Dlaczego on tak zrobił?

- Przypuszczam, że po części z powodów osobistych - stwierdził Ram. Był wzburzony i śmiertelnie zmęczony. - Nie wiedziałem, że wy, Obcy, tak różnie potraficie patrzeć na tę samą sprawę. To znaczy, że ty nie miałbyś nic przeciwko mojemu związkowi z Indrą?

- Nie, a dlaczego miałbym mieć? Powiedziałem jej nawet: Ram jest dostatecznie kompetentny, by móc zdecydować.

Ram z westchnieniem wypuścił powietrze z płuc.

- Gdybym tylko wiedział... Sądziłem jednak, że Talornin głosi wasze prawo.

- Talornin znacznie przekroczył swoje kompetencje. A w tej chwili utracił je wszystkie. Jeśli wrócimy do domu, osobiście dopilnuję, by go usunięto.

Ram zadrzał. W takiej sytuacji nie chciałby być w skórze Talornina.

Pojazdem zatrzęsło, gdy Tich wrzucił wsteczny bieg i nacisnął pedał gazu do deski. Ram podświadomie zarejestrował, że mgła w korytarzu zaczyna rzednąć, lecz i tak nie widzieli choćby cienia J1.

Faron popatrzył na niego badawczo.

- Rozumiem, że masz poważne zamiary wobec tej dziewczyny.

- Ona nie opuszcza moich myśli nawet na sekundę, gdy jestem przytomny - wyrwało się Ramowi z głębi serca. - Wieczorem śnię o niej na jawie, nocą w podświadomości. Tyle o niej myślę, że przez cały czas muszę się pilnować, by nie zapomnieć o mojej odpowiedzialności za całą ekspedycję.

- Rozumiem, że ci bardzo trudno.

- Tak. Po raz pierwszy w życiu kogoś kocham. Nie wiedziałem, że miłość potrafi mieć taką siłę.

Czuł, że może zwierzyć się Faronowi. Nigdy wcześniej nie mógł z nikim o tym porozmawiać, a dopiero teraz, kiedy Indra zniknęła...

Ciekawe, czy i w tej sytuacji Indra zachowa wrodzony optymizm, pomyślał zasmucony.

- Widzisz, Faronie, tak bardzo się raduję, kiedy ją widzę, wystarczy nawet, że o niej pomyślę. Ona jest obdarzona niesamowitym wprost poczuciem humoru, rozjaśnia moje życie. Ten szelmowski błysk w oczach... Tak bardzo chciałbym stać się dla niej opoką... Głos zaczął mu drżeć.

Miał wrażenie, że w serce wbijają mu się noże. Indra, ukochana, której pragnął ofiarować wszystko, lecz nie wolno mu było nawet na nią spojrzeć. A gdy dowiedział się, że to dozwolone, zniknęła. Jak on to wytrzyma?

Teraz jednak należało myśleć o J1, z Indrą i resztą pasażerów na pokładzie. Faron i Ram przeszli do Ticha, gdzie zebrali się niemal w komplecie.

- Nie mogę tego pojąć - powiedział Tich. - Gdzie się podziała mgła, która się tu unosiła? J2 wciąż się cofał, powoli, bo manewrowanie ciężkim kolosem posuwającym się do tyłu ciasnym, krętym korytarzem było ciężką pracą.

Ale Tich mówił prawdę. Ziemistobrunatna gęstość w powietrzu rozviała się. W blasku reflektorów wyraźnie dostrzegali skalne ściany. Widok ten nie napawał otuchą, ściany zbudowane były bowiem ze starych skał w rozmaitych odcieniach szarości i czerni.

- Cofnęliśmy się już za miejsce, w którym ostatnio widzieliśmy światła J1 - mruknął Tich.

- Jedź dalej! - bezgłośnie polecił Faron.

- Czyżby oni chcieli, żebyśmy opuścili tunel? - zastanawiał się Dolg. - Wrócili do Doliny Róż?

- Z wielką chęcią, jeśli tylko tam odnajdziemy J1! - wykrzyknął zapalczywie Ram.

- Może właśnie dlatego nie możemy ich odnaleźć - powiedział Armas, jakby chcąc pocieszyć siebie i innych. - Oni mogą już być poza Górami Czarnymi. Może to dwa światy, między którymi łączność jest niemożliwa.

Nikt nie odpowiedział. Nikt nie śmiał robić sobie płonnych nadziei.

Ram czuł, że twarz sztywnieje mu ze strachu. To zniknięcie było tak nieprzewidziane. Owszem, w Górach Czarnych można się było spodziewać najbardziej zaskakujących zjawisk, lecz nie tego! Wprawdzie nie dotarli jeszcze do jądra gór, lecz już teraz lepiej rozumiał, dlaczego żaden z poprzednich wysłanników z Królestwa Światła nigdy nie powrócił. Tu czyhało przecież tysiąc niebezpieczeństw, a ich wyprawa korzystwała zaledwie z jednej drogi prowadzącej do wnętrza.

Czy inni próbowali już przedrzeć się przez Dolinę Róż?

Chyba tak. Była wszak grupa, która opowiadała o wysokich, strzelistych drzewach i o różach.

Oni także przepadli gdzieś w Ciemności. Wątpił jednak, by zapuścili się aż tak daleko. Róże na pewno ich pochłonęły.

Dlaczego ta mroczna mgła zniknęła? Co się z nią stało?

- Zatrzymajcie się! - zawołał Ram, bliski utraty rozumu z rozpaczu.

Tich zahamował, Ram wyskoczył z J2. Podbiegł do skalnej ściany i gorączkowo ją obmacywał.

Nic.

Masywne, martwe kamienie, zimne, czarne, nieprzebyte.

Powrócił do pojazdu i bez słów dał Tichowi znak, by cofał się dalej.

Serce mu drżało. Przymknął oczy, wsłuchując się w równą pracę silnika. Nie tylko nad utratą Indry rozpacział. Zniknął wszak także Jori, wesoly, beztroski Jori. Mała Sassa, ach, co robić? Chor, przyjazny Madrag, Yorimoto, który akurat dostał nowe życie. Oko Nocy, młody chłopak, na którego stawiali wszystko. Sol, również obdarzona możliwością nowego życia, i Kiro, jego dobry przyjaciel.

Ram poczuł, jak żal ściska mu serce.

Przez cały czas słyszał głosy Ticha i Armasa nawołujących przyjaciół. Na próżno. Dolg i Marco wzywali ich na swój sposób, podobnie jak Heike, Mar i Shira.

Ale odpowiedzi nie otrzymał nikt. Wszędzie panowała martwa pustka.

- Możemy wierzyć jedynie w to, że powrócili do Doliny Róż - mruknął Cień przygnębiony.
- Tak - westchnęli inni. Uczepili się tej nadziei.

Wkrótce jednak i ona zgasła. Nieoczekiwanie, dramatycznie, budząc śmiertelne przerażenie.

Tich przycisnął wszystkie hamulce J2.

- Co się stało? - zawołał Faron.

Madrag popatrzył na niego oczyma pełnymi rezygnacji.

Faron podszedł do okna w tyle pojazdu i wyjrzał.

Reflektory świeciły w kierunku Doliny Róż. Objawiały straszną prawdę.

Tędy nie było wyjścia. Nie zbliżyli się nawet do kamiennego usypiska, które przy wielkim wysiłku zdołaliby pewnie jakoś usunąć.

Nie, znajdowali się wciąż gdzieś w jakimś miejscu w tunelu.

Lecz tunel, którym się cofali, kończył się tutaj. Mieli przed sobą jedynie gładką, twardą skałę.

Wielu wybiegło, żeby jej dotknąć, uderzyć w kamienną ścianę blokującą drogę. Była lita, nieprzenikniona.

- Cóż za przekłeta czarodziejska kraina - syknął Cień, a Ram gotów był przyznać mu rację.

Nigdy nie powinni byli podejmować próby dotarcia do źródła jasnej wody.

Nie mieli już żadnej drogi w tył. Tunel się kończył, właśnie tutaj.

Musieli posuwać się naprzód, ku środkowi Gór Czarnych. Droga ucieczki przez Dolinę Róż była odcięta. Przestała istnieć.

A po J1, który miał znajdować się gdzieś między nimi a usypiskiem kamieni, nie pozostał żaden ślad.

4

Ochryłym głosem mówienie przychodziło z trudem:

- Poradzili sobie z różaną pułapką.
- Tak, i z naszymi wysłannikami z obrzeży. Znów przemienili je w robaki.
- Są silni. Tak daleko nikomu nie udało się zejść, jeśli nie został naszym niewolnikiem.
- To tylko dlatego, że izolują się w tych żelaznych skrzyniach. Trzeba ich stamtąd wyciągnąć!
- Wydaje mi się, że i tak są silniejsi. Ale poradzimy sobie z nimi. Po kolei.
- Tak, trzeba zająć się każdym żelaznym pojazdem oddzielnie.
- Posłać na dół kolejny legion!

- Jeszcze nie. Wystawimy ich na kolejną próbę.
- Doskonały pomysł. Wpadną w pułapkę.

W drugim Juggernautcie wsłuchiowano się w wezwania rozplywające się w nicości. Nawet gdy sygnały całkiem już zanikły, nie przestawano wołać J2.

Ale to było jak wyrzucanie głosów w próżnię. Nie odpowiadało nawet echo.

- Nie podoba mi się to - powtórzył Kiro. - Dlaczego oni milczą? Gdzie oni są?

- Ja spytałbym raczej, gdzie my jesteśmy - cierpko zauważył Jori.

Nagle Chór oznajmił:

- Coś się zaczyna dziać.

Ziemisty mrok trochę się przerzedził. Daleko w głębi tunelu spostrzegli światło.

- Dotarliśmy na zewnątrz - stwierdził Kiro.

Wśród zebranych w wieżycy J1, Juggernauta, którego tak rozpaczliwe poszukiwał J2, poniosło się westchnienie ulgi. Chór trochę przyspieszył.

- Na pewno zaraz ich zobaczymy - rzekł z optymizmem. - Tich, Ram i Faron też się chyba zastanawiają, co się z nami stało. Ale już wkrótce się spotkamy.

Och, oby rzeczywiście tak było, pomyślała Indra. Nie zniosę tego dłużej. Gdzie jest J2, gdzie Ram? Tak bardzo chciałabym być teraz przy nim. Boję się i potrzebuję jego bliskości. Poza tym tyle mam mu do powiedzenia. O tym, co usłyszałam od Farona, mówił przecież, że Ram i ja możemy się ze sobą związać. Kochany, brzydki J2, pojaw się wreszcie, a uznam cię za najpiękniejszy pojazd na świecie! Ach, skończ już wreszcie te swoje nieustające piski, Sasso!

Sol także była nadzwyczaj spięta. Nie przywykła do utraty kontroli nad sytuacją. Z początku sądziła, że jej bezradność wynika z faktu, że stała się znów na poły człowiekiem, wkrótce jednak zrozumiała, iż kryje się za tym coś więcej. Oto otaczały ich moce, z którymi musieli toczyć twardą walkę. Złe, potężne moce. Akurat w tej chwili zdobyły nad nimi wyraźną przewagę.

Wydostali się jednak z mgły i wkrótce mieli opuścić tunel. Teraz wszystko już na pewno będzie dobrze.

Światło przed nimi powiększało się w miarę, jak zbliżali się do wyjścia z tunelu. Wreszcie podjechali tuż pod nie.

Chór gwałtownie zahamował. W ostatniej chwili, bo za moment stoczyliby się w przepaść.

Dopiero wtedy zdali sobie sprawę, że wokół nich jest jasno.

Jasno? W Górach Czarnych? W Ciemności? Z dala od Królestwa Światła?

Coś tu się nie zgadzało. Coś się tu ani trochę nie zgadzało.

- Czyżby to była dolina jasnego źródła? Tak prędko? - dziwiła się Indra, która czytała kroniki Ludzi Lodu i wiedziała, że jasna woda roztacza wokół siebie życiodajny blask i ciepło.

- To brzmi zbyt prosto - stwierdziła Sol.

Sassa przez cały czas popłakiwała. Jori pocieszał ją jak umiał.

Potrwało chwilę, zanim ich oczy przywykły do nieoczekiwanego światła.

Przed nimi roztaczała się nieduża dolina. Cudownie zielona i bujna niczym raj w miniaturze, podobna nawet do Gjáin, doliny elfów na Islandii, z tą tylko różnicą, że tutaj rosło o wiele więcej drzew. Strome zbocze nie było wcale przerażająco wysokie, lecz Juggernaut nigdy nie zdołałby z niego zjechać, nie dachując co najmniej kilka razy. Pasażerowie natomiast bez trudu mogli zejść na dół.

Krótkie pytanie, które zadał Oko Nocy, wyraziło myśli wszystkich:

- Gdzie jest J2?

Z ust Indry wydarł się zduszony szloch, prędko jednak zdobyła się na wesołą odpowiedź:

- Pochowali się w krzakach, to oczywiste.

Ale w jaki sposób blisko dwunastotonowy Juggernaut mógł ukryć się w krzakach, tego nie rozumiał nikt.

Sol zadrżała w poczuciu osamotnienia, Kiro więc uspokajającym gestem położył jej rękę na ramieniu. Uśmiechnęła się do niego przelotnie z wdzięcznością, chętnie przyjmowała jego pociechę.

Kiro wiedział doskonale, że to on musi podjąć decyzję. Wahał się jednak.

- Dolina nie wygląda na groźną, ale najbezpieczniejsi będziemy w J1. Proponuję, abyśmy zaczekali i zobaczyli.

- Dobra propozycja - kiwnął głową Chor.

Syczące głosy z wysiłkiem wymawiały słowa:

- Czekamy. Prędzej czy później będą musieli wyjść z tego żelaznego pudła.

- Wszystko przygotowane. Mamy ich jak w puszcze.

- W wielkiej puszcze, chyba to masz na myśli.

Ochryply zardzewiały śmiech był straszniejszy niż w najstraszniejszym horrorze.

Po półgodzinie, kiedy nic się nie działo, kiedy żaden listek w dolinie nawet nie drgnął i wszystko wyglądało niezwykle kusząco, Kiro powiedział:

- Wzywanie J2 do niczego nie prowadzi, oni jednak muszą znajdować się gdzieś przed nami, chociaż nie jestem w stanie pojąć, jak do tego doszło.

Yorimoto rzekł z wahaniem:

- W tej ciemnej mgłę zapewne minęliśmy jakiś boczny korytarz, tylko w ten sposób mogliśmy się rozdzielić.

- Tak, to jedyne wytłumaczenie - kiwnął głową Kiro.

- Jedziemy z powrotem? - zaproponował Chor. - Sprawdzimy, czy znajdziemy coś takiego.

- Dobrze, tak właśnie zrobimy - zdecydował Kiro.

Ale słowa Joriego znów rozwiały wszelkie nadzieje.

- Za późno, obejrzyjcie się w tył!

Za ich plecami nie było już tunelu. J1 stał w płytkiej grocie, wystarczyło cofnąć go o dwa metry, a uderzyłby w skalną ścianę. Dwa metry w przód, i spadłby ze zbocza.

- Co za piekło! - zdenerwowała się Sol.

- Rzeczywiście, można to tak nazwać - cierpko przyznała Indra. - Co teraz zrobimy, Kiro?



Wszyscy siedmioro popatrzyli na przywódcę, Kiro wciąż był niezdecydowany. Czy wolno mu ich narażać?

- Przeprowadzimy głosowanie - zaproponował wreszcie. - Kto jest za pozostaniem w pojeździe?

Większość uważała, że takie rozwiązanie nigdzie ich nie zaprowadzi. Ręce do góry podnieśli jedynie Sassa i Chor. To, że Madrag pragnie pozostać przy swym ukochanym J1, przyjaciele doskonale rozumieli.

- A kto głosuje za tym, żebyśmy zeszli w dolinę i tam poszukali innych?

W powietrze wystrzeliło sześć rąk.

- Wobec tego i ja się poddam - stwierdził Chor. - Jestem przecież ciekawy.

- Kto zbada teren? - spytał Kiro.

- Ja się tym zajmę - zgłosił się Oko Nocy. - Od dziecka uczono mnie badania śladów.

- Doskonale, wobec tego pójdiesz pierwszy, a potem nas zawołasz albo zgłosisz się przez telefon. Na wszelki wypadek weź ze sobą pistolet obezwładniający.

- Dziękuję - ucieszył się Oko Nocy. - Mam też swój nóż.

Spuszczenie się w dół nie nastęrczyło mu absolutnie żadnych trudności, drzewa jednak pokryte były tak gęstym listowiem, że Oko Nocy wkrótce zniknął im z oczu wśród gałęzi. Usłyszeli jego głos dobiegający z dołu:

- Wszystko tu wygląda spokojnie. Można nawet powiedzieć, że przypomina Królestwo Światła. Schodźcie na dół!

Musieli spuszczać się pojedynczo. Wąska ścieżka nie pozwalała na to, by zeszli wszyscy naraz.

- Chor, teraz ty - zdecydował Kiro.

Madrag uśmiechnął się do nich z otuchą i z głuchym hukiem runął na to, co przy odrobinie dobrej woli można było nazwać ścieżką. Zaraz po tym, jak zniknął im z oczu, zawołał:

- Tu jest dokładnie tak jak w głębi Srebrzystego Lasu!

- Yorimoto, twoja kolej - nakazał Kiro.

Samuraj poprawił miecz i ruszył w dół stromego zbocza. Dobiegło ich wołanie:

- Następny!

- Jori, weźmiesz ze sobą Sassę?

- Nie, ja nie chcę! - zawołała dziewczynka. - Boję się!

- Och, chodźże! - zniecierpliwiał się Jori. - Przecież Chor już zszedł na dół, a ty nie chcesz chyba zostać tu sama?

Rzeczywiście, Sassa nie miała na to ochoty, Jori pomógł jej więc wysiąść z pojazdu.

Poradziłyby sobie, lecz nikt nie chciał puszczać jej bez opieki. Chłopak szedł pierwszy, Sassa przedzierała się za nim.

Gdy dotarła do prześlicznego gęstego zagajnika, pisnęła:

- Jori, gdzie jesteś?

- Tutaj - usłyszała jego głos przed sobą. - Chodź dalej, tak tu ładnie!

Za nimi z zapalem ruszyła Indra. Tak bardzo chciała odnaleźć Rama, musiał wszak być gdzieś tutaj, w tej dolinie.

Gdy zeszła na dół, okazało się, że wszyscy zniknęli.

- Ratunku, gdzie jesteście? Nie bawimy się teraz w chowanego!  
- Tutaj! - zawołał Jori. - Prędko, zaraz coś zobaczysz!  
Kierując się jego głosem, Indra zagłębiła się w gęstą roślinność.  
Potem nadeszła kolej Sol.  
- Chyba i ty pójdziesz? - z pewnym lękiem spytała Kira.  
- Oczywiście - zapewnił.  
- Trochę dziwne wydaje mi się to, co mówią o podobieństwie tych okolic do Królestwa Światła.  
- I mnie to zastanawia. Krzyknij, jak tylko będziesz na dole, pójde zaraz za tobą.  
Sol uśmiechnęła się leciutko.  
- Cieszę się, że jesteś z nami, Kiro, czuję się przy tobie taka bezpieczna.  
Strażnik patrzył na nią wyczekująco, jak gdyby oczekiwał czegoś więcej, lecz Sol już schodziła w dół zbocza.  
Na samym końcu w dolinę zszedł Kiro. Popatrzył jeszcze w górę na ich bezpieczną przystań, J1, który stał teraz, bezradny, do niczego nieprzydatny.  
Potem odwrócił się w stronę pięknego lasu. Muszą odnaleźć J2 i wszystkich jego pasażerów.  
Nagle w telefonie odezwał się Chor. Miał do przekazania naprawdę sensacyjną informację.  
Kiro zmarszczył proste, czarne brwi Lemuryjczyka.  
- Jesteś pewien?  
- Na sto procent. Wiem na ten temat wszystko.  
- To tłumaczy światło. Ale jak, na miłość boską, mogło się tak stać?  
- No właśnie - zgodził się Chor.  
Kiro przygryzł wargę.  
- Zaczekasz na mnie na dole? Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat.  
- Zaczekam nieco głębiej w lesie, ale teraz mój telefon najwyraźniej się wyładowuje.  
Muszę jak najprędzej powiadomić innych... Halo, Kiro, słyszysz mnie?  
Kiro odpowiedział:  
- Halo, Chor, znikasz. Halo! Nie, nic już nie słyszę, Chor? Słyszysz mnie? Obiecuję, że przekażę nowinę pozostałym. Natychmiast.  
W mikrofonie rozlegały się szumy i trzaski. Połączenie z Chorem zostało definitywnie przerwane.  
Kiro czym prędzej pospieszył na dół.

5

## PRZEŻYCIA OKA NOCY

Młody Indianin zawołał do przyjaciół: „Wszystko tu wygląda spokojnie. Można nawet powiedzieć, że przypomina Królestwo Światła. Schodźcie na dół!”

Potem rozejrzał się dokoła.

Jakaś ścieżka prowadząca prosto? Skąd się tu wzięła? Nie obiecuje to niczego dobrego, oznacza obecność żywych istot w dolinie. Oko Nocy mimowolnie sięgnął po swój pistolet. Nóż, w każdej chwili dostępny, wisiał u pasa.

Czy usłyszał jakiś odgłos? Może to spadł liść albo ktoś obok cicho postawił na ziemi stopę?

Oko Nocy miał wspaniały słuch, potrafił wychwycić każdy najdrobniejszy nawet szelest. Zdecydował, że przejdzie jeszcze kawałeczek dalej. Odrobinę, nie za daleko, bo przecież musi poczekać na resztę.

Chciał tylko posłuchać...

Jedna ręka na nożu, druga na pistolecie. Stał tak w złocistozielonym niewysokim lesie, czując, jak budzą się wszystkie jego zmysły, lecz podczas gdy one pracowały, myśli szybowały własnymi drogami.

Czuł się... Jak miał to nazwać? W pewnym sensie uświęcony. Ta wyprawa była jego wielkim życiowym zadaniem, zarówno ojciec, jak i inni mędracy plemienia starannie wbili mu to do głowy. „Jesteśmy dumni z tego, że to ty zostałeś wybrany, Oko Nocy” - mówił wódz. - „A jeszcze dumniejsi będziemy, kiedy wykonasz swe zadanie jak przystoi Indianinowi, być może przysłemu wodzowi plemienia. Szukaj pomocy, rady i wsparcia u duchów naszych przodków, byli przy tobie wówczas, gdy stałeś się mężczyzną, teraz także cię nie opuszczą, jeśli okażesz im należyty szacunek”.

K i e d y wykonasz swoje zadanie. Tak wyraził się wódz. Nie j e ś 1 i. Te słowa nie do końca wyгнаły strach z jego duszy. Oni w pełni mu ufali, co więc będzie, jeżeli się nie sprawdzi? Czy plemię odwróci się wówczas od niego? Czy tak samo postąpią przodkowie?

Oko Nocy gorąco pragnął, by byli przy nim, by z szacunkiem i uznaniem obserwowali, jak wywiązuje się z powierzonego mu wielkiego zadania.

Bądźcie przy mnie, dumni przodkowie, zacne duchy, patrzące na nas z Krainy Wiecznych Łowów. Tak bardzo chciałbym postąpić słusznie. Bądźcie przy mnie, abym mógł odnaleźć piękne źródło i przyczynić się do tego, by Madragowie i Obcy wypełnili swoją misję, przynieśli ulgę i dodali sił naszej udręczonej Ziemi.

Nie zauważył nawet, kiedy znów ruszył ścieżką.

Jakże zdumiewająco podobny jest ten las do gajów i zagajników w Królestwie Światła! Tu jest zupełnie tak jak w lesie za ich osadą, Oko Nocy gotów był przysiąc, że poznaje tę grubą zakrzywioną gałąź na drzewie nieopodal.

Uszedł zaledwie kilka kroków, gdy znalazł się na przepięknej polanie. Nie zdążył nawet stwierdzić, czy już tu kiedyś był, bo zaraz...

Choć właściwie nie powinien był wierzyć własnym oczom, to jednak uznał widok, jaki się przed nim rozłożył, za całkiem naturalny.

Wokół totemu jego plemienia siedzieli przodkowie, zamgleni starością, lecz pełni dostojeństwa, od którego mogło zakręcić się w głowie. Pewien był, że to oni, widział ich wszak tamtej nocy, gdy dostąpił wtajemniczenia. Gdy wszedł na polanę, odwrócili się do niego z majestatyczną powagą.

Głos zabrał ten w pióropuszu z piór białogłowego orła:

- To ty masz uratować świat, nasz synu!

Oko Nocy pochylił głowę.

- Przybywasz wysłany nie przez Indian, zostałeś bowiem wybrany, jesteśmy z ciebie dumni, Ty-Który-Widzisz-Poprzez-Mrok.

- Uczynię, co tylko będę mógł - odparł Oko Nocy. - Jeśli zechcecie wspomóc mnie swoją siłą i mądrością.

- Pójdź więc z nami, pokażemy ci drogę.

Wstali i ruszyli między drzewa i krzewy, których jasnozielone listki obrzeżone były złotem. Oko Nocy podążył za nimi.

## ODKRYCIE CHORA

Nieprawdą byłoby stwierdzenie, że Madrag zszedł na dół z gracją.

Jakoś jednak, pojękując, dotarł na dół. Rozejrzał się dokoła.

Gdzie się podział Oko Nocy? Przecież dopiero tu był.

Dziwne.

No, jest jakieś przerzedzenie z lewej strony, prowadzące w głąb lasu. Najlepiej iść tędy. Zapewne tą właśnie drogą poszedł Indianin.

Chor kolebiącym krokiem ruszył naprzód. Wiedział, że nikt by go nie zostawił. Wszyscy uczestnicy ekspedycji byli jego przyjaciółmi. Oko Nocy zawsze okazywał mu wielką życzliwość, wypytywał o samopoczucie, Chor więc wcale się nie martwił. Przyjaciel na pewno był tuż przed nim, widać przeszedł przez ten gąszcz, pełen kwiatów najcudowniejszych barw.

W tym miejscu było niemal równie pięknie jak w Królestwie Światła, nikt by nie przypuścił, że tak właśnie może być.

Chyba że... Czy to nie jest Królestwo Światła?

Nonsens, niemożliwe!

Nie, Oka Nocy nie było po drugiej stronie zagajnika, Chor znalazł tu natomiast co innego. W domu, w Srebrzystym Lesie, Chor pracował nad pewnym wynalazkiem, otoczonym ścisłą tajemnicą. Poza nim o wszystkim wiedział jedynie Heike.

Przy okazji należy przypomnieć o dwóch istotnych sprawach. Madragowie byli niesłychanie uzdolnioną pod względem technicznym rasą, to jedno. Druga ważna rzecz to to, że w Królestwie Światła można się było zdematerializować, przemienić w cząsteczki, które mogły się przenosić w żądane miejsce i tam materializować się na powrót.

Obcy potrafili to od stuleci. Wymagało to jednak wejścia do stacjonarnej kapsuły i poddania się procesowi dematerializacji, który dokonywał się po naciśnięciu odpowiednich przycisków, powrót następował również w określonych miejscach w podobnych kapsułach. Odbywało się to mniej więcej tak jak przesyłanie poczty pneumatycznej.

Chor natomiast chciał czegoś więcej. Pragnął, by dana istota mogła rozłożyć się na molekuly i przybyć w absolutnie każde wyznaczone miejsce bez pomocy specjalnych kapsuł.

Byłby to niesamowity, oszałamiający krok naprzód.

Chor posunął się już dość daleko w swych eksperymentach, był jednak pewien problem, którego rozwikłanie okazało się niezwykle trudne. Poza nim wszelkie kłopoty wydawały się do pokonania. Ale to akurat...

Heike służył mu pomocą. On wszak mógł się przemieszczać wedle własnego życzenia, tyle że był duchem, a to zupełnie zmieniało postać rzeczy. Chętnie podpowiadał jednak Chorowi to i owo, wyjaśniał, w jaki sposób postępują w takich sytuacjach duchy, co mówią i robią, by posłużyć się tą tajemniczą techniką. Zwykle pracowali na wielkim obszarze Srebrzystego Lasu, który oddano do dyspozycji Madragów. Bohater z Ludzi Lodu udzielał Chorowi rad, niekiedy bardzo dobrych, innym razem zupełnie nieprzydatnych. We dwóch spędzili wiele wesołych chwil.

Chor ujrzał przed sobą właśnie Srebrzysty Las, a właściwie owiany legendą Złocisty Las, stanowiący samo jądro Srebrzystego. A zatem był w domu, w Królestwie Światła.

Natychmiast dał znać Kirowi, który został teraz sam przy J1. Kiro z początku nie chciał mu wierzyć, no ale przecież światło...

Chor z zapalem opowiadał mu o swoim eksperymencie. Zrozumiał, że wszystko się powiodło: zatęsknił za domem, za Królestwem Światła, choć głośno nikomu się do tego nie przyznał, no i cały J1 przeniósł się właśnie tam.

- To na pewno dlatego straciliśmy łączność z J2 - cieszył się Chor. - Znów trafiliśmy do jasnego świata, z którego nie ma przecież połączenia z Górą Czarną. Halo, Kiro, tracę z tobą kontakt. Jesteś tam jeszcze?

Usłyszał, jak Strażnik obiecuje, że powiadomi o wszystkim pozostałych, a później głos Kira zanikł i Chor nagle poczuł się kompletnie osamotniony.

Bo gdzie się podział Oko Nocy? Nie było go w pobliżu. A Kiro został teraz przy J1 sam. Co więc stało się z innymi? Tymi, którzy poszli za mną? pomyślał Chor. Dyskretnie zawołał „hop, hop”, lecz nie doczekał się odzewu.

No cóż, skoro i tak są w Królestwie Światła, nie grozi im żadne niebezpieczeństwo.

Nagle coś ścisnęło go za serce. A co z J2? Przecież jeśli tamci nie mogli nawiązać łączności z jego Juggernautem, to znaczy, że J2 wciąż znajduje się w Górach Czarnych. Chor począł czynić sobie wyrzuty. To jego wina, to on zdradził towarzyszy! Czy nie mógł również ich sprowadzić do domu, posługując się myślą?

Nie, to oczywiście niemożliwe. A poza tym, kto by się ucieszył na wieść, że połowa ekspedycji wróciła, niczego absolutnie nie dokonawszy?

Madrag aż po grzywkę zaczerwienił się ze wstydu. Musi spróbować zabrać swoich towarzyszy z powrotem w Górę Czarną. Ale jak to zrobić teraz, gdy się rozpierchli, a on sam tak bardzo oddalił się od Juggernauta?

Usiłował odszukać drogę do pojazdu z nadzieją, że spotka wszystkich, którzy wyszli zaraz za nim, lecz nikogo nie widział, a i drogi odnaleźć nie mógł.

Ach, cóż za przykra sytuacja!

Nagle z lasu wyłonił się jego przyjaciel, Madrag Tam.

- Chor, to ty? Skąd się tu wziąłeś?

Chor już otworzył usta, by coś wyjaśnić, nie zdążył jednak nic powiedzieć, bo Tam relacjonował z wielkim zapalem:

- Musisz pójść ze mną, mam wspaniałe nowiny. Misa urodziła córeczkę, mała jest taka śliczna, powinieneś koniecznie ją zobaczyć!  
- Ach, co ty mówisz! Dziewczynkę? Tak bardzo chciałem, żeby to była dziewczynka! Najwidoczniej dzisiaj spełniają się wszystkie moje życzenia.  
Uradowany pospieszył za Tamem. Na chwilę postanowił zapomnieć o Górach Czarnych.

## ZEMSTA YORIMOTO

Samuraj, zeskoczywszy z ostatniej skalnej półki, stanął na bujnej trawie pod drzewami i zaczął się rozglądać w poszukiwaniu towarzyszy, którzy już dotarli na dół. Ani Indianina, ani Madraga nie było widać, lecz mogli pójść jedną tylko jedyną drogą: niewielkim otwartym prześwitem prowadzącym w prawo między drzewa, na których listki rosły tak gęsto, że nic nie było widać.

Yorimoto zawołał: „Następny!”, i ruszył kawałek w głąb lasu. Oko Nocy i Chor na pewno tam na niego czekają. Mocno przyciskając do ciała długi miecz, żeby nie zaczepiał o gałęzie, Yorimoto zagłębił się w spokojny zielony, połyskujący złociście, las. Maszerował zdecydowanym krokiem, godnym samuraja. No cóż, ronina, jeśli ktoś chciałby być bardzo dokładny, bezrobotnego samuraja, lecz o tym Yorimoto nie chciał pamiętać.

Przystanął zamyślony.

Zapłonęła w nim małostkowa nienawiść. Właśnie myśl, że jest roninem, zaczynała brać w nim górę. Dlaczego naszła go akurat tutaj, w tym niezwykłym miejscu?

Yorimoto zbyt mało wiedział o Królestwie Światła, by mógł rozpoznać, gdzie się znalazł. Teraz był w swoim starym świecie, w którym rządziły honorowe zasady samurajów. Stał, nie zwracając uwagi na piękno otaczającego go lasu, i przypominał sobie tamten dzień, kiedy został roninem. Upokorzenie, gorycz. Stało się to na długo przedtem, zanim popełnił przestępstwo, za które został oskarżony i ukarany przeobrażeniem się w Krzykacza.

Zdarzenia, o których myślał teraz, miały miejsce w jeszcze dalszej przeszłości. Był wówczas szlachetnym wojownikiem, samurajem, którego obowiązkiem było bronić swego dajmio, pana. Yorimoto został wówczas schwytany przez wrogów. Dowodzący nimi samuraj nakazał zatopić go w błocie tak, że ponad powierzchnię ledwie wystawała mu broda, jeśli z całych sił wyciągnął szyję. Napastnicy obrzucali Yorimoto kamieniami, opluwali i oddawali na niego mocz, aż do czasu gdy jego towarzysze zdołali go wreszcie uwolnić. Jego dajmio nie żył już wtedy i Yorimoto stał się roninem, samurajem, który nie ma komu służyć.

Złego przywódcy samurajów, którzy go pojmali, nigdy nie zdołał dopaść, choć nie ustawał w poszukiwaniach. Dowiedział się, że Kunika, bo tak zwał się jego śmiertelny wróg, również został roninem, a przez to jeszcze trudniej było go odszukać.

Yorimoto nigdy więc nie miał okazji dopełnić zemsty. Nigdy nie odzyskał honoru.

Drgnął, słysząc jakiś odgłos.

Japoński okrzyk wzywający do walki?

Yorimoto poczuł, że całe ciało oblewa mu zimny pot. Tam, po drugiej stronie polany, stał Kunika we wspaniałym stroju samuraja. W głębi lasu dostrzec się dało innego wojownika noszącego te same barwy. Yorimoto rozpoznał w nim jednego z tych, którzy oblewali go moczem, gdy tkwił w błocie. Ogarnięty wściekłością rzucił się w las. Samuraj odwrócił się, żeby uciec, lecz Yorimoto nie znał litości. Nie oglądając się ani w lewo, ani w prawo, ścigał uciekającego.

## PRZYGODA JORIEGO

Jori po zejściu na dół czekał na Sassę, która lękliwie wciskała się w skalną półkę, i wtedy usłyszał jakiś odgłos.

Naprawdę był to dźwięk, nie omam. Dobiegał z krzaków i świadczył o tym, że jakieś zwierzę najwyraźniej znalazło się w niebezpieczeństwie. Brzmiał jak rozdzierające serce pobekiwanie, niemal krzyk.

Jori, wielki przyjaciel zwierząt, zareagował momentalnie. Prędko popatrzył w górę na Sassę, lecz dziewczynka nie spuściła się jeszcze poniżej koron drzew, które przesłaniały widok. Dosłyszał jej wystraszoną prośbę: „Przytrzymaj mnie, Indro”. Uznał, że Sassie raczej się nie spieszy, więc on zdąży załatwić obie sprawy, zachowując nawet pewien margines czasu. Rzucił się więc czym prędzej między drzewa.

Jori nie widział w ogóle żadnej ścieżki - ani tej Oka Nocy wiodącej prosto, prowadzącej w lewo Chora czy też skręcającej w prawo ścieżki Yorimoto. Nie pozostawało mu nic innego, jak wbiec prosto w krzaki, i to właśnie zrobił bez namysłu.

Okazało się, że małą kózkę napadły dwa drapieżniki. Nigdy takich jeszcze nie widział, nie potrafił nawet stwierdzić, czy należą do rodziny psów czy kotów, podobno jednak w Górach Czarnych żyło mnóstwo przeróżnych zwierząt.

Ale... Kóзка z czarną plamką na plecach i czarnym koniuszkiem ogona to przecież jego zwierzątko! Należało właściwie do wieśniaka z zagrody sąsiadującej z jego domem w Królestwie Światła, lecz Jori uważał ją za swoją, bo był przy jej narodzinach. Co ona tu robi?

A... ten las to przecież las w pobliżu Sagi!

Jori nie zdążył się zastanowić nad tym zadziwiającym faktem i nie wahał się ani przez moment w zetknięciu z niebezpieczeństwem. Zerwał gałąź z młodego drzewka, których grupka rośla w pobliżu, i zamierzył się na potwory. Prychnęły do niego, a więc były to jednak koty. Znacznie od niego mniejsze, prędko się poddały, wycofały się i zniknęły w zaroślach.

Takie zwierzęta w Królestwie Światła? Należy to zgłosić, jak najprędzej. Ale on przecież znajdował się w... Nie, nie miał sił, żeby zastanawiać się nad tą niezwykle nagłą zmianą miejsca. Kózka było poważnie ranne w przednią nogę, to o wiele ważniejsze. Noga wyglądała na złamaną. Kóзка na trzech nóżkach pokuśtykała między drzewa.

Och, nie, to niemożliwe, pomyślał przerażony Jori, będzie łatwą zdobyczą dla tych dwóch drapieżników albo dla innych bestii.

Pobiegł za kózką, usiłując zwabić ją do siebie, lecz bez powodzenia.

Sassa? Ach, co tam Sassa, ma innych opiekunów. Koźlątko zaś nie miało nikogo. Przez krótki moment zastanawiał się, gdzie mogli podziać się inni, ci, którzy przed nim zeszli na dół, zaraz jednak zwyciężyły gorące uczucia, jakie Jori zawsze żywił dla zwierząt. Co sił w nogach pognął w piękny złocistozielony zagajnik.

## HISTORIA SASSY

Ach, jakże się bała! Zsuwała się w dół, wiedząc, że tam czeka na nią Jori wraz z towarzyszami. Wszystko jednak wydawało się niezwykle przerażające, jedyne, o czym mogła myśleć, to miasto Saga w Królestwie Światła.

Chcę do domu, do domu, do moich ukochanych dziadków i do Huberta Ambrozji! Na miłość boską, dlaczego zakradłam się do Juggernauta? Dlaczego nie mówili, że to takie niebezpieczne i takie okropne?

Doskonale wiedziała, że ostrzegano ją co najmniej dwadzieścia razy. Ona jednak nie chciała słuchać, sądziła, że przesadzają, uważała, że wszystko znieśie.

Hop, i była na dole.

Cisza.

- Jori, gdzie jesteś?

Czy wydawało jej się, że słyszy jego głos? Stała nieruchomo, nasłuchując, i czuła, jak serce wali jej w gardle.

Nie, chyba tylko jej się wydawało.

- Jori?

Na pomoc, ależ głos jej drży! Widać naprawdę się boi.

Ale czy to nie jego niebieska koszula błyska tam między drzewami? Pojawiła się tylko na moment i zaraz zniknęła.

Oczywiście, że to Jori.

Zachęcona, ostrożnie zrobiła kilka kroków w prawo, bo tam właśnie dostrzegła niebieskie przebłyski. Teraz nic już nie widziała, była jednak pewna, że nie uległa złudzeniu.

O, jest też i ścieżka! Jak dobrze, od razu poczuła się bezpieczniej.

Ruszyła dalej. Wzdłuż przypominającego ścieżkę prześwitu między drzewami, który miała przed sobą, rosły przepiękne żółte kwiaty. Wszystko tutaj było zielone, żółte i złociste. Zalane łagodnym blaskiem słońca.

Tak samo jak w Królestwie Światła.

Ale Joriego ani śladu.

Chcę wracać do domu, do domu, do babci Ellen i dziadka Nataniela, i do mego ukochanego kota, który, gdy się położę, zwija mi się w kłębek na szyi, a ogonem sięga do karku. Sąsiedzi twierdzą, że to niehigieniczne, ale babcia i dziadek i tak mi na to pozwalają.

Jak strasznie za nimi tęsknię.

Wśród liści błysnęło światło, niczym refleks słoneczny odbiło się w jej oczach. Czy tu, w Górach Czarnych, znajdowało się jakieś słońce? Nie, to na pewno tylko odbicie.



Poczuła senność. Gdzie się podział Jori? Bała się wchodzić głębiej w las, no bo co będzie, jeśli on jej nie znajdzie? Albo jeśli ona zabłądzi?

To okropne.

Lepiej usiąść tutaj i zaczekać.

- Jori?

Nikt nie odpowiedział na jej wołanie. Kto miał schodzić po niej? Czy nie Indra?

- Indro? Jesteś tutaj? Ja jestem tu.

Nie, nikt nie odpowiadał.

Cóż za uparte odbicie! Sassa położyła się na ziemi na boku, żeby światło nie raziło jej w oczy. Jakże cudownie miękka trawa! Taka jak ta, która była tylko w domu.

Popłakując, Sassa usnęła.

Obudziła się niedługo, bo coś ocierało się o jej gołe łydki. Zdumiona usiadła. Hubert Ambrozja?

Z początku miała wrażenie, że jest w swojej sypialni, zaraz jednak się zorientowała, że nadal znajduje się w lesie o złotych liściach.

- Ależ Hubercie Ambrozjo, co ty tutaj robisz? - zagadła do kota drżącymi wargami. - Jak się tu znalazłeś? Czy szedłeś za nami? I masz na sobie niebieską kokardę, tak samo jak wtedy, kiedy widziałam cię po raz ostatni. Że też jej jeszcze nie zgubiłeś!

Hubert Ambrozja wydał z siebie jednocześnie mruknięcie i miauknięcie świadczące o zadowoleniu.

- Tak, tak, ja też się cieszę, że cię widzę, mój kochany, ale nie pojmuję, skąd się wziąłeś? Och, nie, Hubercie Ambrozjo, zostań tutaj, nigdzie nie chodź to może być niebezpieczne. Ale kot już się jej wyrwał i podskokami wbiegł w las.

Sassa poderwała się na równe nogi, rozpaczliwie wołając ukochanego przyjaciela.

6

Głosy syczały ochryple:

- Mamy ich! Ci, którzy są na dole, muszą zrobić jeszcze tylko kilka kroków!

- I zostaną pochyceni w dolinie beznadziejnych życzeń!

- W dolinie fałszywych nadziei!

- W dolinie niespełnionych marzeń!

Rozległ się straszliwy śmiech, a potem w głosach znów zadźwięczała groźna powaga.

- Wciąż niektórych brakuje. Troje jeszcze zostało.

- To bagatelka, wpadną w pułapkę tak jak tamci.

- Wtedy już będą nosi. Nie są więc wcale tacy silni.

## KRÓTKI POŚCIG INDRY

- Hop, hop, jestem tutaj! Czy zastałam kogoś w domu? - zawołała Indra, kiedy dotarła na dół. - No cóż, najwyraźniej nikogo nie ma - mruknęła.

Również ona weszła na coś, co przypominało ścieżkę, nie zastanawiała się jednak wcale nad tym, czy jest w Królestwie Światła czy też w Górach Czarnych. I ją także ogarnęło gorące pragnienie, szczerze zaczęła sobie czegoś życzyć.

Życzenia Indry były bardzo monotonne, krążyły wokół jednego tylko tematu. Jak zawsze wokół Rama.

Indra właściwie nie myślała o swej obecnej sytuacji, o samotności, jaką zastała w dolinie. Wszystko wydawało jej się takie naturalne, nie przeszkadzało jej, że jest sama. Podobnie zresztą czuła większość w grupie, a przecież powinno ich zdziwić zniknięcie wszystkich poprzedników. Ich świadomość jednak przestonił jakby welon, dominowały osobiste pragnienia, zagłuszając wszystkie myśli o towarzyszach.

Dla Indry najważniejsza teraz była możliwość odnalezienia Rama. Musiał znajdować się gdzieś tutaj, w tej olśniewającej urody dżungli.

Zjawiskiem, nad którym ani ona, ani nikt inny się nie zastanowił, była zdumiewająca rozciągłość w czasie. Nie pojmowali, że ich przeżycia rozgrywały się jednocześnie, że ktoś dyrygował nimi jak marionetkami, pociąganyymi za sznurki. Logicznie patrząc, przygoda Oka Nocy powinna była zakończyć się już dawno temu, lecz on ani trochę nie posunął się naprzód, gdy Kiro, który został sam na skalnej półce, usiłował przestać wszystkim w grupie wiadomość o wynalazku Chora.

Wezwania Kira nie dotarły do Indry. A potem i jego nadajnik zamilkł. Dziewczyna gorączkowo gnała przed siebie, opętana pragnieniem odnalezienia Rama.

Gdyby zresztą dowiedziała się o przypuszczeniach Chora, że prawdopodobnie przemieścił ich do Królestwa Światła, zapewne nawet na to by nie zareagowała.

Wszystkie jej myśli zajmował Ram. Biegła przez coraz to piękniejsze zagajniki i polany, nie zwracając na nie wcale uwagi. Aż wreszcie go zobaczyła.

Ciało zaalała jej wtedy gorąca fala radości, poczuła, że twarz oblewa się rumieńcem, a w piersi ścisła tak, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem. Byłby to jednak płacz ze szczęścia.

- Wiedziałam - szeptała w uniesieniu. - Wiedziałam, że on musi być gdzieś tu w pobliżu. Można powiedzieć, że wyposażona zostałam w niemal nadprzyrodzone zdolności. Tak, jakbym była jedną z najlepszych z Ludzi Lodu.

No cóż, może nie najlepszą, ale... nie najgorzej jak na małą, nic nie znaczącą Indrę.

Phi, nigdy się nie uważała za nic nie znaczącą osobę.

Teraz będzie mogła powiedzieć ukochanemu o błogosławieństwie Farona.

Ram poruszał się w pewnym oddaleniu, odwrócony do niej plecami. Odchodził.

- Ram! - zawołała z radością w głosie.

Nie obejrzał się, widać dzieliła ich zbyt duża odległość. Indra popędziła co sił w nogach.

Ram zniknął za drzewami. Ach, zatrzymaj się, zatrzymaj! Zaczekaj na mnie!

O, jest, znów się pojawił! Na moment. Wychodzi na wielką prześliczną łąkę.

- Ram! Poczekaj! Już idę, mam ci coś do powiedzenia!

Bez względu jednak na to, jak prędko biegła, nie mogła się do niego zbliżyć. Czuła też, że powoli ogarnia ją zmęczenie.

Ram był teraz na środku łąki i wreszcie się odwrócił.

Tak, to on! Przecież wiedziała o tym przez cały czas. Poznałaby go z daleka wśród tysiąca innych mężczyzn. Przystanął, uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę.

- Mamy następną! - powiedział basowy, ochrypły głos.

- Wpadła prosto w pułapkę. Ale trochę za prędko.
- Tak, zanadto się pospieszyła. Źle z nią. Nie możemy tego przyjąć, będzie musiała poczekać na innych.
- Chcemy dopaść ich wszystkich naraz, tak będzie najzabawniej. I najmniej roboty.
- Cieszę się, że zobaczę, jak padają na kolana.
- Ja też. Jeszcze ostatnich dwoje. Z tą pierwszą poradzimy sobie bezwstydnie łatwo.

## TĘSKNOTA SOL

Sol, pożegnawszy się z Kirem, zaczęła spuszczać się w dół.

- Ach, ci Lemuryjczycy i ich siła przyciągania - mamrotała pod nosem. - Niebezpiecznie się do nich zbliżyć, muszę się trzymać z dala od wszystkiego, co zwie się Lemuryjczykiem.

Absolutnie nie wierzyła Idrze, która twierdziła, że owa siła przyciągania Lemuryjczyków nie działa na wszystkie kobiety. Owszem, mówiła Indra, może trochę, tak jak kiedyś doświadczyła tego Elena, lecz jeśli naprawdę czuło się pragnienie, wynikało to stąd, że i Lemuryjczyk takie żywił i właśnie on wprawiał w ruch cały proces świadomie, powodowany miłością.

Nie, Sol nie wierzyła w to ani trochę. Kiro miałby się interesować czarownicą, którą kiedyś skazano na spalenie na stosie i która zmarła w wieku dwudziestu dwóch lat w 1602 roku? I od tamtej pory istniała jako duch i nie przestawała płać figli? Nawet jeśli teraz zalicza się do „grzecznych”?

Nie, nie, ona sama nie odczuwała dla Kira niczego szczególnego. Owszem, jest bardzo przystojny, ale będę się trzymać z dala od niego, postanowiła.

Miękko jak kot z gracją wylądowała na szmaragdowozielonej trawie.

- Hop, hop, wszyscy! Gdzie jesteście? - zawołała.

Gdzieś w głębi bujnej roślinności usłyszała niewyraźne głosy.

Ach, tak? Tu jest ścieżka czy też raczej prześwit między drzewami. Chyba musi iść tędy? Tamci widać tak właśnie zrobili.

Mogli jednak poczekać.

W telefonie rozległ się trzeszczący sygnał. Wychwyciła kilka słów. „Chor przeniósł nas...” To był głos Kira, lecz niczego poza tym nie usłyszała, bo ze słuchawki dochodziły trzaski tak przeraźliwe, że musiała odsunąć ją od ucha. Wreszcie z ostatnim kliknięciem dźwięk umilkł.

Sol tylko machnęła ręką i ruszyła przed siebie.

Najpierw stawiała szybkie, zdecydowane kroki, potem coraz wolniejsze, aż wreszcie się zatrzymała. Ogarnęło ją bardzo osobliwe uczucie.

Owładnęło ją wrażenie, że zbliża się do kresu swej długiej palącej tęsknoty. Oto ziści się marzenie, by kogoś mieć. Kogoś, kogo mogłaby kochać i kto pokochałby ją.

Wrażenie to było tak silne, że mimowolnie rozejrzała się wokół.

Sol nie rozpoznała okolicy, dla niej nie było to Królestwo Światła.

Zauważyła, że las nieco bardziej przed nią zaczyna rzednąć, i tam też postanowiła iść.

Gdy dotarła do prześwitu, instynktownie cofnęła się o kilka kroków. Co to, na miłość boską, być może? Dokąd ona trafiła?

Na zielonym zboczu góry wznosił się potężny zamek warowny, a z równiny, na której stała, wiodła do niego kręta droga. Nazywanie okolicy równiną nie było precyzyjne, teren bowiem był tu lekko pofałdowany, na wzgórzach rozpościerały się wioski, które natychmiast przypomniały jej własną epokę, szesnasty wiek. Dostrzegła też niewielką rzeczkę, jakiś lasek, ludzi ubranych na średniowieczną modłę i najrozmaitsze zwierzęta. Nagle wszyscy odwrócili głowy w tym samym kierunku i w wiosce, na której skraju się znajdowali, umilkły wszelkie odgłosy. Ludzie rozstąpili się na boki wzdłuż drogi prowadzącej do zamku. Z pobliskiego lasu wyjechała grupka rycerzy. Wyglądali na powracających z bitwy, znajdowali się bowiem wśród nich ranni, a na końcu gromady posuwało się kilka koni z pustymi siodłami.

Rycerzom przewodził mężczyzna, na którego widok Sol dech zaparło w piersiach. Jasne się dla niej stało, że to kasztelan, nie musiała nawet szukać dowodów w postaci honorów, jakie oddawali mu mieszkańcy wioski.

Wyglądało na to, że kasztelan wywodzi się z wczesnej epoki rycerstwa. Jechał z odkrytą głową, miał obcięte prosto czarne włosy, ciemne brwi nad lodowato szarymi oczyma, szlachetną, choć być może odrobinę bezwzględną twarz. Trzymał się niezwykle prosto, świadom swego dostojęstwa. Zbroję miał sporządzoną ze skóry, z ciemnych płytek okutych srebrem i ozdobionych herbowymi barwami. Herb widniał także na proporcu, który dzierżył rycerz jadący za nim.

Ojoj, to mi dopiero mężczyzna, pomyślała Sol, czując, jak uginają się pod nią nogi. Gdyby nie był tak surowy, przypominałby mego wuja Tengela Dobrego, który przecież zawsze był moim bożyszczem. Pamiętam, jak kiedyś płakałam w jego ramionach, pytając, czy nie ma na świecie nikogo, kto byłby do niego podobny, bo tylko takiego mężczyznę mogłabym się nauczyć kochać. Nie można wszak pokochać wuja, można go tylko podziwiać i pragnąć, by takich jak on było więcej.

A przecież to on, mężczyzna z moich snów, a nie jest to wuj Tengel. To ktoś, kto może należeć tylko do mnie.

Mężczyzna jak gdyby poczuł na sobie przenikliwy wzrok Sol, odwrócił głowę i popatrzył prosto na nią. Uniósł rękę i cały orszak się zatrzymał. Jeźdźcy nie ruszali się z miejsc, natomiast przywódca podjechał do Sol.

Nie wiedziała, czy ma złożyć ukłon, tak jak inne kobiety, uznała jednak, że dorównuje mu godnością, i tylko lekko skinęła głową. Z bliska okazał się jeszcze przystojniejszy, właściwie był to najbardziej pociągający mężczyzna, jakiego kiedykolwiek w życiu widziała. Nie był klasycznie piękny, na jego twarzy bowiem malowała się zbytnia dzikość i surowość, strój miał zakurzony, podarty i zakrwawiony. I wyglądał dokładnie tak, jak Sol z Ludzi Lodu wyobrażała sobie najwspanialszego mężczyznę. Nie był całkiem młody, ale i nie za stary. Dojrzały, w pełni sił. Idealny.

Był odpowiedzią na wszystkie jej marzenia.

- Kim jesteś? - spytał surowo. - I co tu robisz?

- Hm - mruknęła beztrzesko, bo nie zamierzała dać się pokonać. - Czy możesz mi powiedzieć, czy to właściwa droga do Paryża?

Jemu twarz najpierw pociemniała i Sol myślała już, że ją uderzy, czym prędzej więc dodała nieco chłodniejszym tonem:

- Nie lubię, gdy ktoś przemawia do mnie z wysokości końskiego grzbietu i patrzy na mnie z góry.

Jeździec zdrętwiał. No, kochana Sol, zmarnowałaś wszystkie swoje szanse, czy nie możesz trochę lepiej pilnować języka w gębie?

On jednak odwrócił się i ruchem ręki dał towarzyszącym mu jeźdźcom znak, by ruszali do zamku. Kolejny gest sprawił, że wszyscy wieśniacy przerażeni zniknęli we wnętrzach swoich chałup.

Rycerz zsiadł z konia.

Sol przez moment przemknęła przez głowę straszna myśl, że skoro on wywodzi się ze średniowiecza, to być może sięga jej zaledwie pod brodę. Okazało się jednak, że jest słusznego wzrostu, i to ona musi zadzierać głowę, by spojrzeć mu w oczy.

Wokół rycerza wprost unosiła się aura męskości. Ratunku, pomyślała Sol.

A potem on się uśmiechnął. Całkiem nieoczekiwanie. Surowo, jakby do tego nie przywykł, lecz się uśmiechnął.

- Paryż? To będą dwa drzewa na prawo i dalej prosto.

Sol wybuchnęła śmiechem.

- Ach, tak? Znasz więc Paryż?

- To miasto gdzieś na powierzchni Ziemi.

- Tak, jeśli wciąż jeszcze istnieje. Można się czasami zastanawiać.

Rycerz puścił konia, żeby paść się na łące, i zaproponował, by weszli w las. Sol uznała, że jest bezpieczna przy kimś, kto zna otoczenie, i z gracją pochylając głowę, przyjęła propozycję.

Liście zdawały się połyskiwać bardziej złościście niż dotychczas. Pod drzewami pojawił się zielonkawy cień, a sama bliskość tego mężczyzny zdała się Sol niemal zmysłową pieszczotą na skórze. Choć on wcale jej nie dotykał, a ona przecież nie była naga.

Wypytywał, skąd przybywa, skąd zna miejsca znajdujące się w świecie na powierzchni, a Sol odpowiadała. Nie wspomniała jednak, że jest czarownicą, w dodatku zmarłą już dawno temu. To zamieszałoby mu tylko w głowie, zwłaszcza że musiał żyć dużo wcześniej niż ona. Powążyła się natomiast na inną śmiałość.

Skorzystała z okazji, by spytać go o jasne źródło.

Wyraźnie się tym zainteresował. Koniecznie chciał wiedzieć, czego będzie tam szukać.

- Nie, ja pierwsza zadałam pytanie - zaprotestowała Sol.

Wciąż podtrzymywała beztroski ton, nie chciała zgodzić się na jakąkolwiek poddańczość.

Już wcześniej zrozumiała, że właśnie jej swoboda wzbudziła zainteresowanie rycerza.

Wymigiwał się od odpowiedzi.

- Owszem, słyszałem, gdzie należy szukać źródła, ale droga, która tam prowadzi, jest niebezpieczna.

- O tym już wiemy - natychmiast odparowała Sol. - Nie wiemy tylko, od czego zacząć.

- Mówisz „my”? Czyżby było was więcej?

- Nie widziałeś ich w lesie? Nie słyszałeś?

Pokręcił głową. Ach, jakaż aura od niego biła! Sol miała wrażenie, że rozplywa się ze szczęścia już od samego patrzenia na kogoś tak bardzo pociągającego. W dodatku on był nią zainteresowany, bez wątpienia zainteresowany. Teraz powinna tylko zadbać o to, by nie wykorzystał jej wyłącznie do przeżycia krótkiej przygody w lesie. Och, nie! Na pewno zdoła temu zapobiec. Postąpi mniej więcej tak, jak Szeherezada z „Księgi tysiąca i jednej nocy”. Skupi na sobie jego zainteresowanie, chociaż nie przez opowiadanie nie zakończonych baśni, lecz obietnicą romansu.

Gwałt? Cóż, kto jak kto, ale Sol na pewno potrafiła sobie poradzić z gwałcicielem. Albo pozwalała, by stało się to, co stać się miało, sprawiało jej to bowiem przyjemność, a w takim wypadku trudno mówić o zadawaniu gwałtu, a przede wszystkim doskonale wiedziała, jak należy odparować atak. Oj, dureń, który ośmieliłby się ją napaść, nawet nie zdążyłby pojąć, co się stało, bo Sol posłużyłaby się najbardziej wyrafinowanymi czarnoksięskimi sztukami.

Ten rycerz jednak najwidoczniej nie miał wcale takich planów. Może uważał, że nigdy nie będzie zmuszony, by w taki sposób zdobywać kobiety. Wszystko jedno, Sol radowała się teraz, że może iść w blasku słońca pod drzewami u boku wyśnionego bohatera.

Że znalazła się w niewłaściwym stuleciu, w wypełnionej słonecznym blaskiem części Ciemności, wśród koni, które wcale nie były oczywistym zjawiskiem we wnętrzu Ziemi, że powinna zauważyć rycerski zamek, gdy stała na skale przy J1... Nie, nad tym wcale się nie zastanawiała. Wszystko wydawało jej się absolutnie naturalne. Nie zaskoczyło jej także, że on się nie dziwi, jak mogą się porozumiewać, przywykła już przecież, że w Królestwie Światła wszyscy się nawzajem rozumieli.

- A więc oni szukają źródła. To się nam nie podoba.

- Ani trochę się nam to nie podoba, ale wykorzystajmy ten ich zamiar!

- Oczywiście, i to jak najszybciej, bo ta sytuacja do niczego nas nie zaprowadzi. Och, ta przekłeta baba się zatrzymała! Stoi tylko i gada jak najęta, to nie należy do planu.

- Tak być nie może, zmieniamy obraz.

Sol nie wiedziała, co w nią wstąpiło. Coś ją powstrzymywało, tęsknota za czymś zupełnie nieistotnym, ale czy na pewno to? Stała oto i rozmawiała z tym fantastycznym mężczyzną, ale myślami była przecież tak bardzo daleko.

Odczuwała jakiś dziwny pociąg skierowany wcale nie do przystojnego rycerza, choć on teraz delikatnie ujął ją za rękę i spojrzał jej w oczy, uśmiechając się lekko. Och, był idealnie w jej typie, niewątpliwie, nikogo bliższego bohaterowi swoich snów nie mogłaby znaleźć.

Mimo to nieznacznie się cofnęła, roześmiała nerwowo, powiedziała coś nieistotnego, co - zapomniała już w tej samej sekundzie, gdy przebrzmiały słowa.

Rycerz zmarszczył brwi. Usiłował nakłonić ją, by poszli dalej, Sol wahała się niezdecydowana, wreszcie jednak ruszyła za nim.

Dotarli do rozstajów w lesie.

Jej bohater zatrzymał się, jak gdyby nie był pewien, czy słusznie czyni. Wreszcie jednak wyglądało na to, że się zdecydował.

- Pokażę ci, gdzie należy zacząć szukać źródła. Nic więcej zrobić nie mogę, ta droga bowiem nie należy do mnie.

- Do mnie też nie - zachichotała Sol. - Ale są z nami inni, którzy mogą tędy przejść. I bardzo dziękuję, jeśli zechcesz być tak życzliwy.

- Inni? Opowiedz o tych innych. Jak się nazywają, jak wyglądają?

Opowiadać o Oku Nocy i o Shirze? O Dolgu i Marcu? Nie, tego robić nie wolno. Musi być umiar nawet w zwierzeniach.

- Później - oświadczyła beztrąsko.

- A więc chodź.

Sol chętnie dała się poprowadzić. Teraz mogła przynieść Kirowi i całej reszcie wiadomości z pierwszej ręki. Cóż za triumf! Jacyż będą z niej dumni!

Poczuła leciutkie ukłucie w sercu. Kiro, taki sympatyczny i taki dla niej życzliwy. A ona idzie razem z księciem z marzeń, którego pragnie uwieść. Ale to później, kiedy odnajdą już jasną wodę.

Tak bardzo chciała podziękować Kirowi za całą jego życzliwość. Zażęknęła, by się przy nim znaleźć.

Ale najpierw droga do źródła.

## PRZEŻYCIE KIRA

Kiro został sam przy nieprzydatnym do niczego J1.

Szarpał się z telefonem, chciał bowiem nawiązać kontakt z przyjaciółmi. Zaczął od Sassy, najbardziej chyba wystraszonej z nich wszystkich. Otrzymał z trudem wyduszoną odpowiedź i uspokoił dziewczynkę, mówiąc, że za sprawą Chora wszyscy wrócili z powrotem do Królestwa Światła.

- Wiem o tym - pisała. - Bo spotkałam Huberta Ambrozię i właśnie próbuję go... to znaczy ją dogonić. Z początku myślałam, że kot przybiegł za nami, ale potem zrozumiałam, że wróciliśmy do domu.

- Jest z tobą Jori?

- Nie, właściwie go nie widziałam. Tylko przez moment, ale zaraz mi zniknął.

- Spróbuję go wezwać. Do zobaczenia!

Do diabła, czyżby chłopak zostawił dziewczynkę samą? Kiro nawiązał łączność z Jorim, który opowiedział mu o kozłatku, które musiał ratować.

- Kiro, w Królestwie Światła pojawiły się jakieś drapieżniki, musimy się ich pozbyć.

- Zajmiemy się tym. Gdzie są pozostali?

- Nikogo nie widziałem.

- To dziwne, wezwę Oko Nocy.

Indianin wyjaśnił, że jest bardzo zajęty, musi iść za duchami przodków, którzy zaofiarowali mu pomoc przy poszukiwaniu źródła. Owszem, wiedział, że jest z powrotem w Królestwie Światła, obiecali mu jednak, że znajdą krótszą i bezpieczniejszą drogę do Gór Czarnych.

Kiro uznał, że cała ta historia zaczyna robić się coraz dziwniejsza, łagodnie mówiąc. Królestwo Światła? Przyjaciele przecież pozostali w Ciemności. Duchy przodków, które mają odnaleźć nową drogę...?

Yorimoto? Nie, najpierw wezwie Sol. Niestety, pojawiły się problemy. Czarownica prawdopodobnie nie otrzymała całej informacji, bo jego nadajnik zaczął szwankować. A może to wina jej odbiornika? Spróbował wobec tego z Indrą, wezwał ją, lecz bez skutku. Zrozumiał więc, że to jego telefon odmawia współpracy. Chor skarżył się na to samo. Co właściwie dzieje się w tej dziwnej dolinie?

Był już na dole, w zielonej trawie. Jak tu pięknie, wręcz nienaturalnie pięknie.

- Sol? - zawołał.

Ale nikogo w pobliżu nie było. Ależ się musiała spieszyć, żeby stąd odejść, pomyślał nieco urażony. Dostrzegł prześwit w lesie i tam się skierował.

Zatrzymał się, zadrżał. Ależ, Kiro, strofował się, nie czas chyba teraz, byś myślał o dziewczynie.

Ale tęsknił za czymś tak strasznie, miał wrażenie, że tęsknota rozerwie go na strzępy. Co się z nim dzieje, przecież ona dopiero weszła w las, musiała być gdzieś tutaj! Nie można przecież tęsknić za kimś, z kim rozmawiało się zaledwie przed chwilą.

Kiro uważał swoje życie za udane. Był tak jak Ram kawalerem, Lemuryjczykiem i Strażnikiem, jednym z najpotężniejszych. Praca Strażnika stanowiła cały jego świat, wspaniale się czuł w tej roli i nigdy nie poświęcał czasu na inne rzeczy.

Tak było do momentu dwóch nieszczęsnych wypraw w Ciemność. Z wolna w jego marzenia zaczęła wdierać się Sol. To szaleństwo, powtarzał sobie ona przecież nie jest nawet człowiekiem, tylko duchem, w dodatku z bardzo mroczną przeszłością, o ile dobrze rozumiał to, co do niego docierało.

Nie potrafił jednak odpędzić z myśli jej obrazu.

Poddał się, niepokój przejął nad nim władzę i Kiro jak szaleniec pognął przez lśniące liściaste zagajniki wśród bogactwa kwiatów. Musi ją odnaleźć, musi.

Nie zdawał sobie sprawy, jak długo biegnie, nagle jednak znalazł się na skraju rozległej pięknej polany.

I wtedy się to stało. Pobielały z przerażenia wykrzyknął:

- Nie, nie, stój!

Nie tylko on krzyczał.

Gdzieś z jakiegoś miejsca dobiegał głośny chór ochrypłych głosów, które z wysiłkiem wołały:

- Nie, nie, nie, tak będzie źle, źle!

7

Sol wstrząśnięta, niczego nie rozumiejąc, patrzyła na sceny rozgrywające się przed jej oczami.

Wszystko nie trwało dłużej niż minutę, mimo to jednak zdołała zarejestrować większość wydarzeń.

Najpierw były to tylko przyjemne wrażenia.



Wraz z dumnym rycerzem wyszła na wielką łąkę, przystanęli na jej skraju. Ze wszystkich stron z lasu zaczęli wyłaniać się przyjaciele, poruszający się jakby na okręgu. Widziała Sassę biegnącą za swoim kotem, który gnał przez trawę, Rama czekającego na Indrę na środku łąki. Dobrze, że załoga J2 się odnalazła! Pojawił się Yorimoto z podniesionym mieczem, gonił jakiegoś samuraja, to nie wyglądało zbyt przyjemnie. Jori usiłował dopędzić ranne kozłátko, a Oko Nocy kroczył za uroczystą procesją dostojnych Indian. Chor szedł za swym przyjacielem Tamem, a na łące czekała na nich Misa z małym Madrażátkiem w objęciach.

A w stronę Sol zdążył Kiro, który właśnie wypadł z lasu, wołając:

- Nie, nie, stój!

Odruchowo rzuciła mu się w ramiona, odciągnęła ją od rycerza i łąki.

Wtedy z góry rozległ się mrożący krew w żyłach krzyk, ochrypły, przesycony gniewem:

- NIE, NIE, NIE, WSZYSTKO ŹLE! WASZE ŻYCZENIA SIĘ KRZYŻUJĄ!

W jednej chwili cała sceneria się odmieniła. Sol z przerażeniem patrzyła, jak gaśnie dzień, a zamiast światła otacza ich groźny półmrok. Warowny zamek na jej oczach obrócił się w ruinę. Wspaniały las z jękiem zaczął się osuwać i zmieniać w ostre, postrzępione skały. Kot i kozłátko przeobraziły się w nieduże paskudne drapieżniki, „Ram” stał się równie przerażającą postacią, jaką był Hannagar, podobnie jak pozostałe fantomy, które zwabiły do siebie uczestników ekspedycji. Och, nie! Rycerz Sol także z bliska wyglądał naprawdę strasznie...

A potem z ogłuszającym hukiem otworzyła się ziemia. Łąka się zapadła, zmieniła w wielką jamę, prawdziwą otchłań. Sol była bezpieczna w ramionach Kira, widziała, że Jori odciągnął w bok Sassę, Oko Nocy wespół z Chorem przytrzymałi Indrę, gorzej natomiast było z Yorimoto.

Patrzyli, jak ziemia usuwa mu się spod nóg i pochłania go głębia. Kiro i Sol, którzy stali najbliżej, natychmiast podbiegli do zanoszącego się krzykiem samuraja, w ostatniej chwili zdołali złapać go za ręce i wyciągnąć na stały grunt.

Nie oznaczało to jednak, że całkiem zażegnali niebezpieczeństwo. Większość zjaw zniknęła w otchłani, lecz rycerz Sol wciąż tkwił przy nich. Nie zniknął także wróg Yorimoto. Teraz obie bestie rzuciły się na Japończyka, którego najwyraźniej postanowiły pochwycić.

Wszyscy pozostali przyjaciele Yorimoto zdołali już jednak do niego dotrzeć i bronili go teraz wszelkimi możliwymi środkami.

Sytuacja stała się naprawdę rozpaczliwa. Zdawali sobie sprawę, że żadna broń nie ima się potworów atakujących Yorimoto. Nie było przy nich Marca, Dolga ani farangila, ani też nikogo, kto znałby się na galdrach, jak Móri, Cień czy Nauczyciel. Nie mieli nic.

Ależ owszem, była przecież z nimi Sol.

- Diabła tam! - oświadczyła z werwą. - Akurat w tej chwili ani trochę nie mam ochoty być człowiekiem. Na jakiś czas z tego zrezygnuję. Odsuń się, Jori!

Jedną ręką podniesioną do góry uczyniła w powietrzu gest, jakby coś ścisnęła, mrużąc przy tym długie, niezbyt piękne zakłęcie.

Oba potwory zanosły się przenikliwym krzykiem i w bólach zgięły się w pół. Dało to grupie czas na ucieczkę między skały, które dopiero przed chwilą wydawały im się przepięknym lasem.

- Chodźcie! - wołał Kiro. - Prędko, wracamy do J1! Oko Nocy, ty spróbuj znaleźć kierunek, ja pójdę ostatni.

Yorimoto został do tego stopnia poturbowany przez niewolników Czarnych Gór, że Chor i Indra musieli go podpierać. Zdołał się jednak utrzymać na nogach, a to było najważniejsze. Ucieczka uczestników ekspedycji przez rzekomy las odbywała się bardzo chaotycznie, w panicznym strachu, ale przynajmniej biegli bardzo prędko. Słyszeli, że zjawy otrzymały posiłki. Całą grupkę z J1 ściagały krzyki i wydawane ostrym głosem rozkazy.

Gnali po ciemku, potykali się o ostre kamienie, lecz Oko Nocy był naprawdę dobrym tropicielem. Nie mogli pojąć, w jaki sposób potrafi sobie z tym radzić, lecz sprawiał wrażenie osoby najzupełniej pewnej swych poczynań. Na ile należało ufać, że wybrał właściwy kierunek, to zupełnie inna sprawa.

Sassa była bardzo zmęczona, okropnie też podrapała kolana, na pół zawisała na ramieniu Joriego, jak zawsze zapłakana i niepokieszona, że kot mimo wszystko nie okazał się Hubertem Ambroją.

Indra nie miała czasu na żadne tłumaczenia. Walczyła z ochotą, by dać klapsa dziewczynce i w ten sposób położyć kres jej narzekaniom, lecz wiedziała, że nie byłaby to raczej najlepsza metoda.

Ochryple głosy, dobiegające z niewidzialnej góry, ponad wszelką wątpliwość zdradzały czyjaś wściekłość. Huczały w powietrzu, ziemia drżała, a wiatr smagał uciekających po twarzach. Sol trzymała się na końcu, w pobliżu Kira, który stanowił tylną straż.

Zastanawiała się, skąd wziął się tu wichur, nie wyczuwało się go w tamtej spokojnej dolinie, do której zeszli. Ciemność na szczęście nie była dokuczliwie gęsta, mogli dostrzec wysokie ostre kamienie, widzieli też ziemię pod stopami. Światło pochodziło z matowożółtego maleńkiego księżyca na sklepieniu niebieskim.

Byle byśmy tylko nie biegali w kółko, pomyślała. Oby tylko Oko Nocy naprawdę wiedział, co robi.

A potem nastąpiło coś zupełnie nieoczekiwanego. Rozległo się śmiertelne zawodzenie z Gór Czarnych.

Ale teraz rozbrzmiewało całkiem niedaleko! Na wszystkie dobre moce, jakże było blisko! Dźwięczało im wprost w uszach, tak się przynajmniej wydawało.

I... to właśnie było niezwykle: brzmiało niemal jak śmiech, drgał w nim zupełnie inny ton niż ten dochodzący do Królestwa Światła czy też do odległych rejonów Ciemności.

- Zatrzymajcie się! - zawołała Indra bez tchu. - Stańcie i posłuchajcie!

I teraz wszyscy już to usłyszeli. Poprzez krzyki prześladowców i ochryple głosy dobiegające z góry docierało do nich to, co nazywali śmiertelnym zawodzeniem, po którym następowało długie przeciągłe echo. Dziwne jednak, że zdawało się nie być skierowane do ich grupy, rozlegało się zawsze po wiązance wściekłych przekleństw wykrzykiwanych przez niewidocznych władców. Najpierw oni z sykiem wyrażali swój gniew z powodu wymykającej się z rąk zdobyczy, a zaraz potem następowały jęki skargi,

w których jednak skargi nie dawało się teraz wychwycić. Słysząc natomiast było drwinę. Czyżby z władców Ciemności?

- Na Wielkiego Ducha, one są po naszej stronie! - zdumiał się Oko Nocy. - Chyba nigdy nie przypuszczaliśmy, że tak może być.

- To więźniowie - pozwolił sobie na przypuszczenie Kiro. - Gere i Freke mówili wszak, że wiedzą wszystko o tych krzykach.

- Powinniśmy byli dokładniej wypytać wilki - pokiwała głową Indra.

Znow ruszyli biegiem. Zaraz jednak Oko Nocy się zatrzymał.

- Według moich wyliczeń J1 powinien być tutaj. Nie widzę go jednak.

- Owszem, jest! - z zapalem zawołała Sassa. - Stoi tam. Widać go na tle nieba.

I rzeczywiście, chyba nigdy żaden widok nie był miłszy ich sercom. Był tylko po drodze nie natrafili na żadne jamy.

J1 nie stał wcale na krawędzi skały, bo przecież dolina tak naprawdę w ogóle nie istniała.

Pojazd stał na zboczu, z którego zjazd w dół był jak najbardziej możliwy.

Znow usłyszeli straszne istoty za plecami.

- Wsiadajcie, prędko! - zakomenderował Kiro. - Trzeba zamknąć wszelkie możliwe wejścia.

Nie musiał powtarzać tego rozkazu. Wszyscy jak gdyby instynktownie wyczuwali, gdzie ich miejsce. Nikt nikomu nie wpadał pod nogi i w jednej chwili znaleźli się wewnątrz Juggernauta, który hermetycznie zamknięto.

Zaraz potem przez okna ujrzeni wyłaniającą się z lasu hordę, która z wściekłym rykiem rzuciła się na pojazd, ciskając w niego kamieniami i przylepiając twarze do szyby. Sassa, która nie miała do czynienia z Hannagarem i jego kompanami, odskoczyła w tył, krzycząc ze strachu.

Rzeczywiście, nieznanne istoty budziły grozę. Miały głębokie oczodoły, brody wyciągnięte w szpic, przesadnie zaznaczone wysokie kości policzkowe, kły drapieżnika i prawie ani śladu nosa. Długie, przypominające szpony owłosione ręce obmacywały Juggernauta w poszukiwaniu jakiegoś otworu. Chor jednym naciśnięciem wyłącznika sprawił, że nie dało się już wyglądać z pojazdu. Okna zrobiły się czarne.

- Straszliwie hałasują - westchnęła Sol.

- Nie mogą przedostać się do środka ani w żaden sposób uszkodzić Juggernauta - uspokajał Kiro. - Chodźcie, pójdziemy wszyscy do Chora i Joriego, a przy okazji obejrzymy rany Yorimoto.

Wkrótce potem siedzieli bezpieczni w pomieszczeniu dowódcy, niektórzy na krzesłach, inni na podłodze. Byli razem i nic im nie groziło. Przynajmniej na razie. Chwilowo nikt nie ośmielił się wspomnieć J2, dość mieli własnych kłopotów. Indra i Jori zajęli się rannym samurajem.

- Co się właściwie stało? - spytał Jori.

- Ja zobaczyłam Huberta Ambrozję - poskarżyła się Sassa. - Miała na sobie swoją niebieską kokardę, wiem więc, że to na pewno była ona.

- Złudzenie - oświadczyła Indra.

- Tak, to czary, zjawy - przyznała jej rację Sol.

- Sądzę, że można to wytłumaczyć w następujący sposób - zaczął Oko Nocy, podczas gdy pozostali przysłuchiwali mu się z uwagą. - Zrobili dla nas dolinę marzeń, a my wszyscy jak jeden mąż ulegliśmy pokusie.

- Skąd mogli wiedzieć, co się dzieje w naszych myślach? - zaprotestował Chor.

- Przeniknęli w nie - wyjaśniła Indra. - To my, poddając się ich woli, tworzyliśmy te życzenia. Sassa zatęskniła za domem, za swoim kotem. Jori ma wiele serca dla zwierząt, jak my wszyscy zresztą, on jednak jest w tym zupełnie wyjątkowy. Oko Nocy zapragnął naradzić się z duchami swoich przodków, nieprawdaż?

- Owszem, tak właśnie było - odparł Indianin.

- Chor... No właśnie, co z tym twoim wynalazkiem, Chorze? Madrag siedział zakłopotany.

- Oszukali mnie tak, że uwierzyłem, iż dzięki mojemu wynalazkowi znaleźliśmy się z powrotem w Królestwie Światła.

Większość w grupie odniosła takie właśnie wrażenie i kiwając głowami, potwierdziła jego słowa.

- Zapewne chodziło właśnie o to, byśmy uwierzyli - westchnął Kiro. - A potem zobaczyłeś Misę, prawda?

- Najpierw spotkałem Tama, to on miał mnie zaprowadzić do Misy i jej dziecka.

- A ja ujrzałam Rama - krótko oświadczyła Indra. - Chyba każdy dałby się złapać na taki lep. Ale Yorimoto, co się przytrafiło tobie? Dlaczego oni uparli się koniecznie pojmać ciebie?

Samuraj ze wstydem spuścił głowę.

- Ponieważ ja zawiodłem. Złamałem obietnicę daną Marcowi. Zrobiłem właśnie to, czego miałem nigdy nie robić, szczególnie w tych niebezpiecznych górach. Te demony doskonale wiedziały, jak postąpić. Przysłały do mnie mego najbardziej znienawidzonego wroga, a ja dałem się złapać w pułapkę. Ogarnęła mnie bezsilna wściekłość i zabiłem go. Zapadła cisza, którą wreszcie Sol przerwała pytaniem:

- Ale przecież on żył, kiedy go widziałam?

- To nie był ten sam, prawdopodobnie zabiłem swego największego wroga zbyt prędko, wysłali więc kolejnego, by zwabić mnie na łukę.

- Rzeczywiście, krucho było z tobą.

Olbrzymi kamień z wielkim hukiem trafił wieżyczkę, lecz nie wyrządził żadnej szkody.

- Tak - westchnął Yorimoto. - Okazałem się najsłabszym ogniwem. Tym, który najłatwiej może ulec ich mocy, wciąż zły w głębi duszy. Jak zdołam to naprawić? Co powie Marco, przecież on mi zaufał? Teraz będę dla was tylko ciężarem.

- No cóż - spokojnie odparł Kiro. - Nie wydaje mi się, aby twoje przewinienie, dopuszczenie do głosu tłumionego od stuleci upokorzenia i krzywdy, było aż tak wielkie. Każdy mógł stracić kontrolę nad sobą, gdy nadarzyła się okazja do zemsty. Sądzę, że Marco cię zrozumie.

Yorimoto zdobył się na lekki uśmiech.

- W każdym razie dziękuję wam za to, że mnie ocaliliście. Obawiam się tylko, że teraz, tu w tych górach, łatwo będzie mnie zranić. Łatwo pojmać.

- Postaramy się, aby nic takiego ci się nie przytrafiło. A Dolg być może podda cię działaniu niebieskiego szafiru.

Było to powiedziane na pociechę, lecz rozdrapało starą ranę. Gdzie się podzieli Dolg, Marco i wszyscy inni?

- No a ty, Sol? - zainteresował się Jori. - Co się działo z tobą? Dlaczego te straszne głosy wrzeszczały, że krzyżujecie im plany?

Sol i Kiro popatrzyli na siebie z pewnym onieśmieleniem. Wreszcie Sol wyznała:

- Zauroczył mnie rycerz jak z bajki, szkoda, żeście go nie widzieli.

- Widzieliśmy go doskonale - odpowiedziała Indra lakonicznie. - Dokładnie w twoim typie.

- Obiecał, że pokaże mi, jak dojść do drogi prowadzącej do źródła z jasną wodą, a ja rzecz jasna dałam się złapać na ten lep. Taka się czułam dumna: nareszcie Sol przyjdzie do was i będzie triumfować. Bardzo proszę, oto droga do źródła podana na srebrnym półmisku.

- Na coś takiego każdy dałby się złapać - zgodziła się Indra. - Zresztą nasze zmysły, dusze i myśli otaczała tak gęsta mgła, że każde z nas dałoby się złapać wszystko jedno na co, a to był doprawdy smaczny kąsek.

- Dziękuję ci, Indro - rzekła Sol z wyraźną ulgą. - Później ja i ten rycerz wyszliśmy na łąkę i wtedy dopiero zaczęło się dziać. Kiro się pojawił.

Dalszy ciąg opowieści pozostawiła jemu.

- Tak - podjął z pewnym zakłopotaniem. - Ja także odczuwałem pragnienie, tęsknotę. Odnalazłem więc tę...

- Aha - mruknęła Indra.

- Nikt tak jak ty nie potrafi powiedzieć „aha” - syknęła Sol. - Mów dalej, Kiro, zaczyna się robić naprawdę przyjemnie.

Usłyszeli, że bestie, choć zdołały się przedostać na dach J1, zsuwają się na dół, prychną z rozczarowania. Chor podniósł ciężką głowę i tylko się uśmiechnął.

- Chwileczkę - poprosiła Sol. - Chciałabym jedynie, abyście wiedzieli, że sama siebie wprawiłam w zdumienie. Oto kroczyłam wraz z bohaterem swoich marzeń, a przez cały czas myślałam o innym. O kimś, o kim w ogóle nie spodziewałam się, że mogę w ten sposób myśleć.

Kiro popatrzył na nią pytająco, lecz Sol postarała się, by jej twarz niczego nie wyrażała. Musiał więc podjąć sam.

- Wydarzyło się coś dziwnego, ja też tego nie pojmuję. Zobaczyłem, że Sol stoi wraz z bardzo przystojnym rycerzem w zbroi, od którego wprost bije męskość. A potem moje oczy i jej się spotkały i nagle zobaczyłem go takim, jakim był naprawdę. Okazał się jednym z tych monstrów, którymi stają się służalcy Gór Czarnych. Zawołałem „Stój”, bo oczywiście śmiertelnie się przestraszyłem tego, co on może zrobić Sol, i w tej chwili cała ta fatamorgana się rozwiła.

- No tak - przypomniał sobie Jori. - Te ochryple głosy wrzeszczały coś, że wszystko jest źle, że nasze życzenia się krzyżują.

- Właśnie - przyznał Oko Nocy. - Zapewne nie wzięli pod uwagę, że Kiro za obiekt swych tęsknot obierze sobie kogoś z nas. Dzięki temu zdołał wyrwać Sol spod złego uroku.

- Oczywiście - szczerze przytaknęła Sol. - Gdy tylko zobaczyłam Kira, od razu pojęłam, że ten rycerzyk nic dla mnie nie znaczy.

Kiro wyglądał na zadowolonego.

- A więc krótkie spieście - stwierdziła Indra. - Wszystkie ich plany spaliły na panewce. Yorimoto zdrzął. Myślał o tym, jak mało brakowało, by wpadł w głęboką otchłań krateru. Nikt nie wiedział, co by się wtedy z nim stało. Na pewno nie spotkałoby go nic dobrego. Słyszając wrzaskliwe groźby dobiegające z Ciemności, przysunęli się bliżej siebie. J1 był bezpieczną przystanią, wprost nie posiadali się ze szczęścia, że odnaleźli do niego drogę.

- Zaczekaj chwilę, Sol - poprosiła Indra. - Co ty właściwie zrobiłaś, żeby powstrzymać atak tych bestii na Yorimoto? Zwinęli się wół jak glisty.

- Ach, to! - roześmiała się Sol. - To tylko malutka czarnoksiężska sztuczka.

- Powiedz, powiedz!

- Nie, są wśród nas dżentelmeni.

- Dżentelmeni! - prychnął Jori. - Nie jesteśmy chyba bardziej dżentelmeńscy niż ciekawscy. Prawda, chłopcy? Sama widzisz, opowiadaj!

Sol jeszcze próbowała się wykręcać, ale wreszcie przyznała:

- No, posłałam zaklęcie w powietrze, ścisnęłam ich śliweczki i przekręciłam.

Mężczyźni odwrócili głowy, lecz całkowitej powagi nie udało im się zachować.

- Śliweczki? - zdziwiła się Sassa.

- Zrozumiesz to, jak będziesz duża. Och, ależ oni tam się awanturują! Idźcie się bawić gdzie indziej, dzieci!

Sassa przysunęła się bliżej Joriego. Oboje znaleźli się wśród tych, którzy siedzieli na podłodze. Indra dawno zapomniała już o przydzielonym jej zadaniu sprawowania opieki nad Sassą. Miała absolutnie dość płacziwej dziewczynki. Zostawiła ją Joriemu i nie odczuwała przy tym najmniejszych nawet wyrzutów sumienia.

Sol dręczył niepokój. Znalazła się w dość trudnej sytuacji, nie dojrzała jeszcze do romansu z Kirem.

Ów niepokój musiała mieć wypisany na twarzy, bo podczas gdy inni omawiali jeszcze swoje przeżycia, Kiro szepnął cichutko:

- Nie denerwuj się, mnie także bardzo to zaskoczyło. Przyjmijmy to ze spokojem. Niech się dzieje to, co ma się dzieć.

- Dziękuję - odszepnęła Sol. - Skupimy się na wydarzeniach wokół nas, choć to takie straszne.

- Właśnie.

Uśmiechnęła się szelmowsko, tak jak tylko ona, Sol, potrafiła.

- Ale to również trochę emocjonujące.

- Nie trochę, bardzo - odpowiedział z uśmiechem Kiro i zajęli się teraz dyskusją na temat dalszych poczynąń. Nie mogli w każdym razie dłużej stać w jednym i tym samym miejscu, poza tym musieli na poważnie zacząć szukać J2.

Indrze serce ścisnęło się w piersi. Ram... Gdzie on jest? Gdzie są wszyscy inni?

- Nie pojmuję, jak mogliśmy stracić z nimi łączność? - Chor zatroskany marszczył bawole czoło. - Owszem, rozumiem, że wszystkie połączenia telefoniczne mogły zostać

przerwane, ale telepatyczne? Zresztą duchy powinny zjawić się przy nas już dawno temu. Dlaczego nie przyszły? Zrozumiałbym to, gdybyśmy naprawdę wrócili do Królestwa Światła, ale przecież wciąż jesteśmy tutaj, w tych przeklętych górach. Niekiedy wydawałoby się wręcz, że...

Urwał, nikt też nie śmiał dokończyć: „nie żyją”.

Tego byłoby już za wiele.

- Wydaje mi się, że jest inaczej - zaczęła Sol, skupiając na sobie pytające spojrzenia wszystkich. - Wydaje mi się, że to my zniknęliśmy, nie oni. Mam wrażenie, że znaleźliśmy się w innym wymiarze.

Indra nie powiedziała nic o swojej alergii na słowo „wymiar”. Wymiar i energia. Były to terminy, które istniały w tak zwanej kulturze New Age w świecie na powierzchni Ziemi. Pojęcia, którymi sypano, by zaimponować innym.

Właściwie jednak przyznawała Sol rację, podobnie zresztą jak i inni. Siedzieli zamyśleni, przyglądając się czarownicy z rodu Ludzi Lodu, jak gdyby czekali na kolejne mądre słowa z jej ust.

Ale Sol właściwie nie miała już nic więcej do powiedzenia. Zamiast niej głos zabrał Kiro.

- Co by było, gdybyś spróbowała nawiązać z nimi kontakt, Sol? - spytał łagodnie i życzliwie. - Ty przecież także jesteś duchem, prawda?

- Częściowo, mój przyjacielu, tylko częściowo - poprawiła go. - Ale sądzisz, że nie próbowałam? Oddałabym wszystko, bylebym tylko mogła przenieść się teraz do wieżyczki w J2. To jak walenie głową o ścianę. Po prostu się nie daje. Nic się nie dzieje. Z początku sądziłam, że to dlatego, iż w połowie stałam się człowiekiem, lecz to nie to. Faktem pozostaje, że nie potrafię ich odnaleźć.

- Tak samo jak oni nie mogą odnaleźć nas - dodał Chor zamyślony, podczas gdy potwory Gór Czarnych przypuściły kolejny atak na J1. - To ta przeklęta kraina. Prawdopodobnie jest tak, jak mówisz, Sol. Przebywamy w różnych wymiarach.

- Ale jak zdołamy powrócić do normalnego wymiaru?

- No właśnie, to dopiero problem.

Horda na zewnątrz zrezygnowała z prób wdarcia się do wnętrza wielkiego pojazdu. Z krzykiem i wrzaskiem bestie oddaliły się, znikając w czarnym kamiennym lesie.

- Chor - poprosił Oko Nocy. - Podejmij jeszcze jedną próbę nawiązania kontaktu z naszymi przyjaciółmi.

- Dobrze, postaram się. - Madrag poczłapał do swoich aparatów.

Nadawane przez niego sygnały i nawoływania rozdzwięczały się wśród wiecznej nocy panującej w Górach Czarnych.

Brzmiało to bardzo samotnie i pusto, gdy po kolei wywoływał towarzyszy z J2. Swego najlepszego przyjaciela Ticha. Farona, Marca, Dolga i Rama. Armasa. Cienia, Shirę, Mara i Heikego, jak gdyby miał nadzieję, że duchy usłyszą go lepiej. Spróbował też z Siską i ciężko rannym Tsi-Tsunggą. Wzywał nawet wilki, Gerego i Frekego.

Ale żadna odpowiedź nie nadeszła. Sygnały Chora rozplynęły się w nicości, w milczącym mroku Gór Czarnych.

8

- Wymknęli się nam!

- Zabarykadowali się w tej żelaznej puszcze. Okazali się na tyle bezczelni, żeby uczynić się niedostępnymi.
- No cóż, z nami sobie nie poradzą. Jednego już prawie mieliśmy.
- Są twardsi niż nam się to wydawało. Dlaczego nie wpadli w naszą niewolę? Już dawno powinno się to stać.
- Mają tajemniczą siłę.
- No tak, przypatrzmy się wobec tego tej drugiej kupie żelastwa.
- Świetny pomysł, już się cieszę!

W głębi zamkniętego tunelu stał J2 z całą wzburzoną załogą.

Faron usiłował otrząsnąć się z szoku, jaki wywołało w nim i we wszystkich pozostałych zniknięcie J1 i odcięcie drogi odwrotu.

- Musimy znów ruszyć do przodu - oświadczył bezdźwięcznie. - Przekonać się, dokąd prowadzi ten tunel.

Mieli wrażenie, że jeżdżą straszliwymi tunelami już od zarania dziejów. Wszystko byłoby lepsze od tego. Oby tylko udało im się stąd wydostać.

Tich poprowadził więc swój dumny okręt flagowy naprzód, w stronę jądra Czarnych Gór. Jechał teraz pewniej i szybciej, zniknęła bowiem gęsta mgła, bał się jednak, że również i ta droga okaże się zagrodzona. Czyżby mieli zostać uwięzieni we wnętrzu masywnej góry? O, nie, lepiej czym prędzej się stąd wydostać. Jeśli oczywiście wciąż jeszcze istnieje jakieś wyjście.

W izbie chorych Siska wiernie trwała przy Tsi, który wciąż leżał pogrążony w śpiączce. Wykręcała palce z niecierpliwości, wydawało jej się, że nigdy nie dotrą do źródła jasnej wody, która być może ocali mu życie. Od czasu do czasu pochylała się i całowała go w czoło, na którym brunatnozielona skóra pobladła tak, że wyglądała teraz jak skóra zwykłego człowieka. Oddech Tsi-Tsunggi był właściwie niezauważalny, Marco jednak zapewnił dziewczynę, że Tsi wciąż żyje i że ogromnie ważne jest podtrzymywanie w nim iskry życia serdecznymi słowami.

Siska miała wrażenie, że rozmawia z ukochanym w nieskończoność. Chwilami czuła się tak zmęczona, że kulila się przy nim i zapadała w półsen, gotowa jednak zerwać się na najmniejszą oznakę zmiany jego stanu. Na razie jednak nic takiego się nie stało.

Tak więc Siska, poza, rzecz jasna, Tsi, była osobą najmniej zainteresowaną tym, co się dzieje z ekspedycją. Oczywiście dotarło do niej, że utknęli w tunelu i że J1 zniknął.

Sprawiła jednak wrażenie, jakby wcale jej to nie dotyczyło, jakby uważała zewnętrzną okoliczność za mało ważne, a liczyło się jedynie to, aby Tsi wreszcie się polepszyło.

Polepszenie jednak kazało na siebie czekać.

Na górze w wieżyczce Tich wreszcie zawołał:

- Wydaje mi się, że zbliżamy się do końca tunelu!

Te słowa na nowo obudziły do życia członków ekspedycji. Zebrali się obok Ticha przy oknie, żeby móc wyglądać w przód, aż Madrag musiał w końcu poprosić, by i jemu zostawili kawałek wolnego miejsca.

- Byle tylko nie spadła kolejna kamienna lawina - ściszym głosem powiedział Ram. - Obyśmy tylko zdołali się stąd wydostać, a potem niech się dzieje, co chce.



Wszystkich zdziwiło, że dostrzegają leciutki prześwit. Nie zrobiło się o wiele jaśniej, po prostu czerń przybrała inny odcień.

Wkrótce byli na zewnątrz. Drogi nie zagroziły im kolejne spadające głazy, nie natknęli się też na żadną inną przeszkodę.

- Ojej! - westchnął Faron. - Czyżbyśmy mogli mówić o zrobieniu prawdziwego kroku naprzód? Czy...

Okolica nie budziła zachwytu. Jak okiem sięgnąć w słabym świetle rozciągała się górzysta kraina, oni zaś znajdowali się na dnie jakiejś doliny. Większego pustkowia nigdy chyba nie widzieli. Wszyscy byli wrażliwi na piękno ubogiego, surowego krajobrazu, lecz tu o pięknie nie mogło być mowy. Dokoła panował nieskoordynowany bałagan.

Wykrzywione czarne drzewa ostatkiem sił trzymały się wśród chaosu porzucanych głazów. Odnosiło się wrażenie jak gdyby cała góra rozpadła się na drobne kawałeczki, które trafiły do tej doliny. W bezładnej płataninie nie widać było żadnej drogi, żadnej możliwości jakiegokolwiek przemieszczania się, z pofałdowanej ziemi wystawały ostre szczyty skał. Taki pejzaż trudno nazwać inspirującym.

- A cóż to, do licha, takiego? - Armas wskazał na żółtawy księżyc, zauważony także przez pasażerów J1. Wisiał niemal na środku nieba. - Tutaj? We wnętrzu Ziemi?

Freke po cichu przysunął się bliżej niego.

- Nie wiesz? - warknął. - Nie widzisz, co to jest?

Armas spojrzał prosto w żółtozielone ślepie. Po chwili powątpiewającego milczenia spytał:

- Królestwo Światła?

- Oczywiście.

- To znaczy, że jesteśmy niemal tuż w linii prostej nad nim - stwierdził zdziwiony Faron.

Marco dodał:

- To może oznaczać, że znajdujemy się bardzo blisko jądra Gór Czarnych.

- Prawdopodobnie. Nigdy się nie spodziewałem, że zobaczę naszą ojczyznę jako księżyc na kopule nieba. Jakaż ona maleńka! Jak większa gwiazdka.

- To fantastyczne, że światło dociera nawet tutaj - powiedział Dolg. - Wiecie, aż ssie mnie w żołądku z tęsknoty za domem!

- Na pewno nie jesteś w tym osamotniony - uśmiechnął się Ram krzywo. - Gere i Freke, co wiecie o tej dolinie?

Gere odparł:

- Musicie pamiętać, że Góry Czarne ciągną się bardzo daleko. Nas przetrzymywano w surowej izolacji w naszej części. Przypuszczam jednak, że wiemy co nieco o rym zakątku, prawda, Freke?

- Owszem - przyznał drugi wilk. - Wydaje mi się, że istniało tu kiedyś coś w rodzaju społeczności. Ale tutejsi mieszkańcy, czy jak ich nazwać, wszczęli spór z potężnymi panami, a ci zesłali na to miejsce kamienną lawinę. Przypuszczam, że pod usypiskami głazów znajdują się jakieś osady.

- Wspaniali władcy - mruknął Faron. - Tich, co sądzisz o możliwościach posuwania się naprzód w tym miejscu?

- J2 radził sobie w trudniejszym terenie - odparł Madrag. - Ale trochę nas pohuśta.

- O, bez wątpienia. Co ty na to, Ram?

Lemuryjczyk zastanawiał się.

- To będzie właściwie jazda na ośle. Jak myślicie, może powinniśmy wysłać gondolę na zwiad?

Wszyscy uznali pomysł za świetny. Ponieważ najlepsi kierowcy gondoli, Jori i Tsi, byli poza zasięgiem, Ram zdecydował, że poleci osobiście. Chciał zabrać ze sobą jednego z duchów i oba wilki, one bowiem najlepiej znały okolice.

- Boję się zabierać kogoś więcej - przyznał. - Nie możemy zanadto się rozpraszać. Nie możemy już nikogo utracić.

To, że sam pragnął kierować gondolą, wynikało stąd, że nie potrafił dłużej znieść bezczynności, musiał zacząć szukać Indry. Nie mógł uwierzyć, że dziewczyna zniknęła już na zawsze.

Reszta uczestników wyprawy obiecała, że będzie się trzymać J2 i do powrotu gondoli nigdzie się nie ruszy. Zwiadowcom wyznaczono dwie godziny, ani chwili więcej, później J2 miał znów potoczyć się naprzód.

Ale szybko przemieszczającą się gondolą w ciągu dwóch godzin można dotrzeć daleko.

Wilki sprawiały wrażenie zadowolonych z przydzielonego im zadania. Ostrożna prośba Armasa, by przynajmniej jeden został w J2, nie spotkała się z entuzjazmem. Oba chciały wyruszyć na zwiad, naprawdę do czegoś się przydać.

Stały na przedzie gondoli i tak wyciągały pyski, że aż uszy im powiewały. Ram wybrał z duchów Heikego, ponieważ Mar musiał zostać przy Shirze, której starano się nadzwyczajnie strzec, a Cień niedawno wykonał ważne zadanie.

Gondola w oszałamiającym tempie sunęła przez powietrze. Najpierw wzdłuż krawędzi zniszczonej doliny, zorientowali się jednak, że niczego ciekawego tu nie znajdują. Aby móc dokładnie przyjrzeć się całemu obszarowi, musieli wznieść się wyżej.

Ram zawrócił więc gondolę i przez chwilę pozwolił jej lecieć tą samą drogą co poprzednio, ale w pobliżu J2 skręcił w lewo i gwałtownie wzniósł się w górę wzdłuż skalnej ściany. Zatrzymał pojazd dopiero wtedy, gdy znaleźli się ponad wzniesieniem. Widok był zaiste przerażający. Jak okiem sięgnąć rozciągały się jedynie wierzchołki gór, ostre, postrzępione.

Freke poprosił:

- Podjedź do krawędzi tego szczytu, tylko ostrożnie.

Ram zrobił, o co go proszono. Górski masyw ciągnął się szeroko, wreszcie jednak dotarli do jego krawędzi i stamtąd roztoczyła się rozległa perspektywa na kolejną dolinę. A stamtąd jeszcze dalej na inne.

- Poznaję to miejsce - oświadczył Gere, a Freke kiwnął łbem.

- Prędko - warknął nagle. - Chowajmy się za ten grzbiet.

Ram skręcił i ukrył gondolę.

- Ale dlaczego? - spytał.

Oba wilki wskazały wysoki szczyt po drugiej stronie doliny.

- Jeśli ci, tam na górze, dostrzegą nas, będzie źle - odparł Freke.

- Wytłumacz nam, co widzimy.

- Dolina po drugiej stronie kolejnego łańcucha gór jest najważniejsza - odpowiedział Freke. - Właśnie tam znajduje się samo jądro Gór Czarnych.

- To znaczy, że musimy przebyć tę dolinę i wyminąć ten niebezpieczny szczyt, aby tam dotrzeć?

- Tak.

- A co wobec tego widać w dole?

Teraz włączył się Gere:

- Pracowaliśmy tu kiedyś dawno temu, do czasu aż przeniesiono nas do najsurowszego więzienia. Leży ono za kolejną doliną. Tutaj w dole przebywa wielu więźniów, którzy dobrowolnie zgodzili się przejść na służbę zła. Tu ćwiczy się żołnierzy, organizuje armie. Armie, które mają zająć Królestwo Światła.

- To znaczy, że właśnie tutaj mieszkali Hannagar i Elja?

- Prawdopodobnie. Wytwarza się tu również takie rzeczy, które mają uczynić życie władców w górach bardziej znośnym. Później mogę opowiedzieć o tym dokładniej, na razie nie mamy czasu. Faron chciał, żebyśmy ujawnili jak najwięcej szczegółów, i tak się stanie, ale w bardziej bezpiecznym miejscu.

Ram zamyślił się. Usiłował wyrobić sobie jakieś pojęcie o tym, co właśnie usłyszał.

- Faron nie odnosi się już do nas z taką rezerwą jak na początku - zauważył Heike.

- To prawda - przyznał Ram. - Wydaje mi się, że nas zaakceptował.

- Kłopoty zawsze zbliżają ludzi, ale... prawdę powiedziawszy, odnoszę wrażenie, że on nas wręcz lubi.

- Wydaje mi się, że dobrze się wśród nas czuje. Wśród nas wszystkich, bez wyjątku - oświadczył Ram.

Nagle powietrze przeszył jakiś dźwięk. Był tak ostry i rozlegał się tak blisko, że aż się skulili, a Heike rękami zasłonił uszy.

Śmiertelne krzyki od strony Gór Czarnych.

Ale teraz brzmiały jak... przeraźliwy śmiech?

Dlaczego?

Usłyszeli coś jeszcze. Pośród drwiącego śmiechu, który to cichł, to znów narastał, rozbrzmiewał jakiś syczący wściekły szept, którego nie mogli zrozumieć.

Freke stwierdził bezdźwięcznie:

- Ktoś rozdrażnił władców, nasi przyjaciele triumfują.

- Przyjaciele? - ostro spytał Ram. - Chcesz powiedzieć, że ci, którzy tak jękliwie się skarżą, to wasi przyjaciele?

- Oczywiście, ich tęsknota za wolnością jest równie silna jak nasza. Oni jednak tęsknią za czymś jeszcze.

- A za czym? Za Królestwem Światła?

- Za nim być może również. Ale przede wszystkim za rehabilitacją, za odzyskaniem honoru, za zrozumieniem.

Ram i Heike patrzyli na niego, lecz nie uzyskali więcej wyjaśnień.

Ram w wyposażeniu gondoli odszukał lornetkę i usiłował dokładniej się przyjrzeć rozpościerającej się u ich stóp dolinie. Potem skierował przyrząd na wysoką górę po drugiej stronie. Dookoła dostrzegał wiele ostrych szczytów, ten jednak był najbardziej

przerażający. Otulała go gęsta mgła, nie widać więc było, jak wysoko się wznosi. Biło też od niego coś odpychającego, czego nie dało się wytłumaczyć.

- Opowiedzcie nam o nim, wilki - poprosił Heike.

Gere odparł:

- Podobno źródło zła znajduje się tam w głębi.

- Ho, ho - mruknął Heike. - My się tam nie wybieramy.

- Ci, którzy zdołali dotrzeć do tego źródła, przebywają wysoko w pałacu na szczycie tej góry, a stamtąd mogą obserwować i kontrolować wszystko, co się dzieje.

- Czy nas także widzą?

- Wygląda na to, że na razie jeszcze nas nie zauważyli. Muszą być zajęci tym, z czego tak się śmieją nasi przyjaciele.

- Mówicie o władcach w liczbie mnogiej - zastanowił się Ram. - Czy to znaczy, że jest ich tak wielu?

- Nie wiemy dokładnie ilu, co najmniej trzech. Podobno są niesłychanie, wprost straszliwie piękni. Czarni, połyskujący na niebiesko i zielono jak gady.

- Dokładnie tak jak Tengel Zły, gdy pokazał swe prawdziwe oblicze - stwierdził Heike. - To mój zły przodek, który pił wodę z mrocznego źródła. Ram, czy mogę na chwilę pożyczyć lornetkę?

Marco zatroszczył się o to, by duchy podczas tej wyprawy były w stanie chwycić rozmaite przedmioty.

- Tan-ghil? - powtórzył Freke. - Słyszeliśmy o nim. Przebywał na powierzchni Ziemi i został unicestwiony przez swój własny ród, zwany Ludźmi Lodu. Nasi władcy ich nienawidzili.

Ram uśmiechnął się.

- Masz przed sobą jednego z tych zniechęconych. Pozwól, że ci przedstawię, to Heike z Ludzi Lodu.

Heike lekko spuścił głowę.

- A Shira, która nam towarzyszy, dotarła do źródła z jasną wodą, dzięki której unicestwiono Tan-ghila. Właściwą część zadania wykonał Nataniel z Ludzi Lodu, dziadek Sassy, przy nieocenionej pomocy Marca z Ludzi Lodu, którego wszak dobrze znacie. Jest też z nami Sol z Ludzi Lodu, która w swoim czasie na ziemi była nieszczęśliwą czarownicą, Mar z Ludzi Lodu, a także Indra z Ludzi Lodu.

Czy Indra, Sol i Sassa wciąż z nami są? zasmucił się Ram.

Wilki zaś głęboko pokłoniły się Heikemu.

- Żywimy olbrzymi szacunek dla Ludzi Lodu i jesteśmy zaszczycony, że właśnie z nimi współpracujemy - oznajmił Freke. - No a Dolg? Ów młody człowiek z tymi niesamowitymi kamieniami? Czy on również jest jednym z nich?

- Dolg wywodzi się z rodu islandzkich czarnoksiężników, podobnie jak Jori. Armas również należy do tej grupy, choć nie jest ich krewnym. Ludzie Lodu współpracują z rodziną czarnoksiężnika Móriego.

- Słyszę, że źli władcy mają potężnych przeciwników - stwierdził Freke. - Ale nie zostawiamy tu zbyt długo, to niebezpieczne sąsiedztwo.

Heike przesunął lornetkę na jedną z bocznych dolin, której dostrzegali zaledwie kawałek.

Nagle mocniej zacisnął dłonie na lornetce.

Przekazał ją Ramowi, wskazując na coś.

- Co widzisz tam, pod tamtą skalną ścianą?

Ram przyglądał się uważnie. Wyostrzył lornetkę.

Usłyszeli, że z wrażenia niemal przestał oddychać.

- No właśnie, prawda? - powiedział Heike. - To może być J1.

- Nie wolno żywić zbyt wielkich nadziei - westchnął Ram. - Równie dobrze może się okazać, że to blok skalny.

Rozgorączkowany odszukał silniejszą lornetkę.

- Wydaje mi się, że to naprawdę J1 - rzekł wolno, jak gdyby nie miał odwagi mieć nadziei. - Co to za dolina, wilki?

- Ach, ta? - wzruszył ramionami Gere. - Wykorzystuje się ją do czarów, nie wiem, jakich. Nie jest to miłe miejsce.

Ram przyglądał się czarnemu, jakby spalonemu kamiennemu lasowi w oddali. Sprawiał wrażenie pustego i zimnego, lecz było tam coś, co mogło przypominać stojącego nieruchomo Juggernauta.

- Ale jak oni, na miłość boską, zdołali się tam dostać? - dziwił się Heike.

- W Górach Czarnych wszystko jest możliwe - z ponurą miną odparł Freke. - Wszystko, co tylko łączy się ze złem.

Nie śmieli popatrzeć na siebie, ale wszyscy myśleli o tym samym. O tym, że to ich przyjaciele rozdrażnili władców tej zimnej mrocznej krainy.

- Musimy się tam dostać. Natychmiast - zdecydował Ram podniecony i odłożył lornetki.

- Nie tym pojazdem - przestrzegł Freke, który, chociaż stał na czterech łapach, dorównywał Ramowi wzrostem. - Jest zbyt delikatny, stanowi łatwy cel.

- Masz rację - kiwnął głową Ram. - Wobec tego natychmiast wracamy do J2.

W powrotnej drodze wilki wyszukiwały najlepszą możliwą trasę dla Juggernauta tak, by nie został zauważony z wysokiego szczytu. Do niebezpiecznej doliny prowadziła wąska ścieżka, później będą próbować przekraść się do bocznej doliny, o ile tylko da się to zrobić. Na szczęście ta dolina rozciągała się z prawej strony, a więc tej samej, po której stał J2, podczas gdy góra strachu leżała daleko na lewo. Szanse mieli więc spore.

Ram zaczął się niecierpliwić.

- Przyjrzyjmy się teraz tej przełęczy, żebyśmy wiedzieli, na ile jest bezpieczna.

- Nie polecałbym tego - odparł Freke, powarkując. - W małej gondoli jesteśmy zbyt narażeni na niebezpieczeństwo.

- Ale ja chcę się dowiedzieć, w jaki sposób możemy się tamtędy przekraść niezauważenie.

Freke z rezygnacją pokręcił kudłatym łbem.

- Jak chcesz.

Ram skierował gondolę w stronę przełęczy. Poszło mu to łatwo, bez jakichkolwiek problemów aż do...

- A w jaki sposób wjedziemy dalej w dolinę? - spytał.

- Nie posuniemy się dalej! - krzyknął Freke. - Z powrotem do J2, prędko!

- Dlaczego?

- Zostaliśmy odkryci! - warknął Freke jak prawdziwy drapieżnik i Ram spostrzegł błysk szalonego strachu w oczach obu wilków.

Freke dobrze wiedział, co mówi.

9

- Co się stało? Co oni wysyłają? Co to za żuk gna przez powietrze prędko niczym wiatr?

- Nie wiem, co to jest, ale zniszczymy go. Zgnieciemy w palcach tak, jak zgniata się pchłę.

- Tak, tak, wielkie słowa, ale potrzeba nam też czynów!

- Już się o to postaraliśmy. Posłaliśmy na dół szary legion.

- Dobrze, możemy więc rozsiać się wygodnie, przymknąć oczy i spokojnie czekać.

- To moja wina - przyznał Ram. - Zanadto się rozpędziłem.

Błyskawicznie zasunął dach gondoli, by przynajmniej w ten sposób trochę się ochronić.

Gdy jednak spojrział w niebo, zrozumiał, że nie na wiele się to zda.

W ich stronę z góry opadało zdumiewające stado. Jakieś wielkie upiorne stworzenia, szare, wyposażone w skrzydła, które podnosiły się i opadały wolno, stykając się z przodu. Napastników mogło być pięciu, może sześciu, Ram nie zdążył ich policzyć, całą jego uwagę bowiem pochłonęła wielka gromada takich samych stworzeń znajdujących się jeszcze wyżej. Tamtym gondola mogła uciec, lecz nie tym pierwszym.

- Co to takiego? - zawołał do Gerego, zwiększając prędkość gondoli do maksimum i kierując ją w stronę J2.

- Nazywa się je szarym legionem - odparł przerażony wilk. - One nie znają litości.

- To żywe stworzenia czy tylko fantomy?

- Żywe istoty, które władcy uczynili złymi.

Ram zaczął szukać swego obezwładniającego pistoletu, nie było go jednak na swoim miejscu.

- Wypróbowałem go w J1 - stwierdził w poczuciu winy. - I tam musiałem go odłożyć, zanim przeszedłem na pokład J2. Wygląda na to, że to nie jest mój najlepszy dzień.

- Widocznie myślałeś o czymś innym - uśmiechnął się Heike.

A więc stało się. Myślenie o Indrze sprawiło, że Ram zapomniał o swej odpowiedzialności za grupę. Doszło więc do tego, czego tak bardzo się obawiał.

- Czy ty masz taki pistolet, Heike?

- Nie, ale mam coś równie skutecznego. Pozwól mi się zająć tymi latającymi istotami.

Wyciągnął z kieszeni kawałek liny i poprosił Rama, by otworzył dach tak, by on sam mógł wyjść na zewnątrz. Ram, który zaraz rozpoznał linę elfów, usłuchał, lecz niechętnie.

Wrogów było wielu, a Heike tylko jeden. Straszdyła nadlatywały prędko, były już niemal tuż nad nimi. Ram mógł zaglądać im w oczy, a raczej osobliwe ślepie, w których widniała żądza mordy i bezwzględność. Widział też coś w rodzaju ostrych jak szydło włóczni, które wyłaniały się spod podniesionych skrzydeł. Wyglądało to zaiste przerażająco.

Wilki i Ram patrzyli, jak Heike staje na rufie gondoli, by stawić czoło napastnikom nadlatującym od tyłu. Choć pełnym gazem starali się odlecieć od przeciwników, makabryczne skrzydlate upiory były jeszcze szybsze. A może te wielkie szarobiałe

włochate płaszczyzny, które klaskały w powietrzu przy każdym ruchu, wcale nie były skrzydłami? Może to ręce, a raczej łapy?

Wielka gromada znajdująca się wyżej opadała w dół na podobieństwo olbrzymich płatków śniegu. Mniejsza grupa składała się z siedmiu napastników, teraz Ram widział to już dokładnie. We wściekłym pędzie obniżały się, mocno bijąc skrzydłami. Oba wilki skuliły się, niemal oszalałe ze strachu, momentami błyskały tylko białka ich oczu. Ram zastanawiał się, czy Heike zdaje sobie sprawę z tego, co go czeka. Z tymi zjawami najwyraźniej nie było żartów.

Nagle Heike zniknęła. Trójka w gondoli poderwała się wystraszona, lecz Ram zaraz pojął, że Heike przyjął postać ducha. Ram usiadł sztywny, zdrętwiały ze strachu, nic nie mógł teraz zrobić dla Heikego.

Dwa potwory były już na dole. Wypięły dolną część ciała i skierowały włócznie, w istocie będące żądłami, ku wilkom. Rozległ się trzask, gdy żądła przebiły dach gondoli. Wilki przetoczyły się na bok i dzięki temu uniknęły pierwszego ataku.

Nikt nie widział, co robi Heike. On jednak nie zachowywał się biernie, jednym błyskawicznym ruchem okręcił sznurem elfów wszystkie siedem bestii. Musiał wskoczyć między nie, poruszać się tam i z powrotem, lecz wreszcie udało mu się pochwycić drugi koniec sznura. Pociągnął go mocno i napiął.

Ram widział, jak siedem potwornych olbrzymich ptaków, zjaw, czy co też to było, nagle tłoczy się jeden przy drugim, aż szary pył z ich skrzydeł wiruje w powietrzu. Istoty wydały z siebie przeraźliwy krzyk, a Heike znów pojawił się na rufie gondoli. Potwory, nie mogąc poruszać skrzydłami, zaczęły opadać w dół niczym olbrzymia ciężka gruda, a wielkie stado nad nimi zatrzymało się, zdumione i wystraszone. Dzięki temu Ram zyskał czas niezbędny do skierowania gondoli w stronę J2, którego widzieli już w dole w tej „dolinie gnoju”, jak nazwał ją Armas.

Schwytane bestie stanowiły jednak wielkie obciążenie dla gondoli, więc Heike zrzucił je na ziemię. Na jego życzenie sznur elfów się rozplatał i Heike spokojnie czekał, aż skurczy się i z powrotem przybierze poprzednie rozmiary zwykłego kawałka sznurka. Sznur elfów, jak wiadomo, ma tę zaletę, że potrafi zrobić się akurat tak długi, jak tego trzeba.

Po chwili wahania wielkie stado przystąpiło jednak do ataku. Ram nie miał żadnej łączności z J2, lecz jego przyjaciele śledzili dramatyczny przebieg wydarzeń i wiedzieli dokładnie, co należy robić. Luk pomieszczenia, w którym parkowała gondola, został w porę otwarty, wystarczyło wjechać. Gondola zawadziła przy tym co prawda o ścianę, ale zaraz luk zamknął się za nią, a uskrzydłone potwory uderzyły w pancerz J2 z taką siłą, że cały pojazd się zatrzęsł.

Przy pomocy przyjaciół załoga gondoli wydostała się z pojazdu. Tich natychmiast przystąpił do naprawy dachu, w którym pojawiły się dwie paskudne dziury. Żądło przebiło także jedno z siedzeń.

- Cóż za straszliwa broń! - westchnął Tich, gdy Ram opowiedział mu, w jaki sposób powstały uszkodzenia. - Dobrze, żeście się wykręciły, wilki, ale dlaczego one rzuciły się na was, a nie na Rama, który przecież kierował gondolą?

- Jesteśmy zbiegami - odparł Freke. - Możemy okazać się bardzo niebezpieczni dla władców Gór Czarnych, jeśli uda się nam uciec.

- Najwidoczniej już zdążyłyście wzbudzić ich zaniepokojenie - uśmiechnął się Faron. - Ale teraz sądzę, że powinniśmy się bronić. Te stwory są niebezpieczne dla naszego drogiego J2.

Prawdą było to, co powiedział. Straszydła rzuciły się na Juggernauta z wielką energią i mogły wyrządzić prawdziwe szkody. Ich żądła wydawały się sporządzone ze stali, z taką siłą usiłowały wbić się w J2. Potwory wybierały określone punkty i atakowały je wspólnie. Dolg stał przy jednym z okien i patrzył prosto w parę złośliwych okrągłych oczu. Przyglądał się skrzydłom monstrualnych owadów, grubym, ozdobionym pięknym szarobrunatnym wzorem.

- To są prządki! - zawołał. - Ściślej mówiąc barczatki, nocne motyle o mocnych szczękach. Te tutaj przypominają trochę barczatki sosnówki.

- Prządki nie mają chyba żądeł? - zaprotestował Armas.

Freke wyjaśnił:

- W istocie, są to małe ćmy, dorosła postać gąsienic, z którymi zetknęliście się wcześniej. No cóż, może nie takie małe, ich skrzydła mogą mieć rozpiętość kilkunastu centymetrów. Teraz władcy odmienili ich wygląd i zaopatrzyli w żądła, ale te ćmy i tak potrafią być niebezpieczne.

Dolg widział to, musiał się cofnąć, by nie ugodziło go żądło wycelowane w okno. Tym razem szyba jeszcze wytrzymała, lecz kwestią czasu pozostawało, kiedy wreszcie zostanie przebita. Widział także olbrzymie szczęki, które wgrzyzały się w pokrycie J2, i podobnie jak inni wreszcie zrozumiał, że muszą jak najszybciej uciekać przed tą hordą wyrosniętych owadów. Barczatki sosnówki znane wszak były z wielkich zniszczeń, jakich dokonywały w lasach wszędzie tam, gdzie się załęgły.

- Co robimy? - spytał Faron Marca.

Marco zorientował się, że wszyscy patrzą na niego. Błagalnie, z nadzieją i wielkim zaufaniem.

Ach, nie, nie znów, pomyślał, przecież ja nie jestem czarodziejem.

Ale może oni właśnie tak mnie widzą? Nie, naprawdę mam nadzieję, że tak nie jest. A już na pewno nie jestem bogiem, nawet jeśli ktoś tak uważa. Jestem zwyczajnym przyzwoitym człowiekiem, który niekiedy bywa także bardzo zmęczony.

No cóż, niemal zwyczajnym.

Rozumiał jednak, że coś zrobić trzeba. I to czym prędzej.

- Taki sam sposób postępowania jak z larwami? - spytał Faron.

- Tak zapewne będzie najbardziej humanitarnie - kiwnął głową Marco. - I wydaje mi się, że w ten sposób naprawdę ziryтуjemy potężnych władców. Dolg! Cień, Mar i Shira, wobec tego ruszamy.

- Nie ma z nami Sol - przypomniała Shira. - Ale postaramy się zrobić, co w naszej mocy. Podczas gdy skrzydlate potwory na nowo rzuciły się do ataku na opancerzony kadłub J2, pięcioro znajdujących się na czarach rozpoczęło swoje zaklęcia. Marco bardzo się niepokoił. Olbrzymich prządek było tak wiele, że nigdy nie zdołaliby ich pokonać.

Straszne były także ich rozmiary, patrzył w owadzie oczy wznoszące się nad jego głową,



choć i on, i stwór stali na tym samym poziomie. Wiedział jednak, że nie wolno mu się zachwiać ani zwątpić.

W czasie gdy inni odmawiali zaklęcia, galdry czy czarnoksiężskie formuły, Marco skupił całą swą wolę na przenikaniu w świadomość, jeśli można to tak określić, strasznych owadów. Być może nie należało mówić o owadach, skoro stwory miały długość blisko dwu metrów, lecz w gruncie rzeczy tym właśnie były. Marco czuł, że zмага się z naprawdę potężnymi siłami, które kiedyś rzuciły urok na te ćmy, lecz się nie poddawał. Wbijał stworzeniom do głów dobroć i zrozumienie, zaklęciami zmuszał, by powróciły do swych pierwotnych rozmiarów, starał się objąć swym działaniem całą hordę naraz, niemożliwe bowiem byłoby zajmowanie się każdym potworkiem z osobna. Trwałoby to zbyt długo, pochłonęło zbyt wiele sił, a ponadto naraziłoby ich na atak tych owadów, które akurat nie znajdowałyby się pod ich wpływem.

Czuł, że działanie przyjaciół odnosi skutek, do niego jednak należało wykonanie decydującego ruchu. Współ dysponowali naprawdę wielką siłą. Gdy zobaczył, że znajdujące się najbliżej straszdyła zaczynają się zmniejszać, zadrzał podniecony. Oby tylko zaklęcia podziałały na wszystkie ćmy jednocześnie.

Marco usłyszał ciche westchnienie Dolga i zaraz zorientował się, co było jego powodem. Najpierw, jeszcze wtedy gdy bestie wciąż zachowały swe wyolbrzymione rozmiary, odpadły żądła, one wszak nie były naturalnymi organami tych owadów. Potem i same prządki zaczęły się kurczyć, w każdym razie te, które miał w zasięgu wzroku.

Usłyszał szept Rama:

- Nie przerywajcie, zmniejszają się. Wszystkie.

Marco kątem oka obserwował Mara i Cienia. Czoła im błyszcząły, włosy lepiły się od morderczego wysiłku, jakim było zaklinanie.

Pozostała część grupy czekała. Wyraźnie było widać, że ćmy atakują coraz mniej zapalczywie. Może nie miały takiej śmiałości, pozbawione żądeł, lub instynkt im podpowiedział, że przeciwnicy są teraz od nich więksi.

Gdyby owady miały dość rozumu, odfrunęłyby, gdy ich ciała wciąż jeszcze miały długość jednego metra. One jednak podlegały rozkazom zła i zapewne nie mogły zaprzestać daremnych prób sforsowania metalowego pancerza za pomocą skrzydeł i słabych już teraz szczęk.

Pozostały więc przy Juggernaucie, stale się kurcząc.

Wreszcie osiągnęły naturalną wielkość. I tak były stosunkowo duże jak na nocne motyle.

- Co z nimi zrobimy? - mruknął Cień do Marca.

Książę Czarnych Sal zastanawiał się przez chwilę.

- Trudno zdecydować. One przebywają wszak w samym środku Gór Czarnych, nie na skraju, tak jak larwy.

- Potrafią jednak fruwać.

- Owszem, wszystko jednak zależy od tego, na ile mocno tkwią w szponach zła.

Spróbujmy wpoić im myśli o dobroci i o ucieczce z tego obszaru w przyjemniejsze okolice. Czy to się uda, nie wiemy. Być może zło dogoni je po drodze i znów przeobrażą się w potwory.

Cień kiwnął głową na znak aprobaty.

Marco naradzał się z Gerem i Frekem. W jakim kierunku powinny udać się owady, by uniknąć największego zagrożenia?

Wilki uznały za wielki zaszczyt, że potężny książę prosi je o radę. Pokazywały i wyjaśniały, w jaki sposób oddalić się jak najbardziej od góry zła, nie będąc przy tym dostrzeżonym. Owady powinny przekradać się przez doliny wzdłuż pasma gór, co będzie dla nich łatwiejsze teraz, gdy na powrót stały się takie małe.

Wszystko to Marco i jego przyjaciele starali się przekazać prządkom.

Szary legion gromadą oddalił się od J2 w poszukiwaniu schronienia w Ciemności.

W ostatniej chwili Marco posłał jeszcze ćmom nieco może żartobliwą, lecz wynikającą z prawdziwej troski myśl: „I bądźcie łagodne dla tamtejszych lasów!”

Uczestnicy ekspedycji odetchnęli z ulgą. Powietrze zostało oczyszczone. Na ziemi pozostało tylko mnóstwo żądeł, które z wolna rozptywały się w nicość. Były jednak jedynie dziełem złych myśli, wytworem czarów.

- Co się stało?
- Szary legion uciekł, na powrót przemieniony w robactwo.
- Sprowadzić ich z powrotem!
- Na nic się to nie przyda. Wśród naszych wrogów jest co najmniej jedna potężna moc. Jego dzieła nie da się odmienić.
- To niemożliwe. Nie istnieją dobre moce obdarzone taką potęgą. Nasza siła jest zawsze większa, pamiętajcie o tym!
- Sam więc zajmij się sprowadzeniem tych robaków!
- Co takiego? Ja? Miałbym... Poślijcie po niezwyciężonego!
- Nie wpadaj w histerię. Mielibyśmy wykorzystać naszą atutową kartę do sprowadzenia marnych ciem, gdy naszymi fundamentami po raz pierwszy wstrząsnęła tak niebezpieczna obca moc? Najbardziej niebezpieczna, z jaką dotychczas mieliśmy do czynienia. Strażnicy i Obcy są niczym w porównaniu z tymi, którzy teraz nadchodzą. Wyślijcie owadożerców w pościg za szarym legionem i skupcie się na prawdziwym wrogu.
- Teraz ty wykazujesz się głupotą. Jakież sens ma tracenie czasu i sił na dalsze unicestwianie tych robaków? Cóż to ma za znaczenie, czy zostaną pożarte czy nie?
- Zasłużyły na karę.
- Wykorzystaj wszystkie zasoby do zwalczania intruzów! Za wszelką cenę nie mogą się spotkać.
- Masz rację, niech ćmy lecą tam, gdzie się im podoba, my musimy mieć oko na tych, którzy się tu wdarli. Wystawić podwójne strażę przy tym okropnym jasnym źródle!
- Nie dotrą do niego, za wiele sobie wyobrażają.
- Zastanawiam się, kim są, co to za moc. Gdybyśmy to wiedzieli, mielibyśmy nad nimi przewagę.
- Niewątpliwie. Zastanówmy się. Znamy już tych, którzy trafili do doliny niespełnionych życzeń. Wśród nich, o ile dobrze zdołaliśmy się zorientować, była tylko jedna osoba obdarzona taką mocą. Ta kobieta, czarownica. Jej powinniśmy na razie unikać, pozostali nie mają znaczenia.

- Racja. Ci najbardziej niebezpieczni znajdują się w tym drugim żelaznym pojeździe. Jak zdołamy wyciągnąć z nich tajemnicę? Kim są i ile potrafią?
- Może moglibyśmy... niechże się zastanowię... A co wy na to, gdybyśmy z pojazdu uwięzionego w dolinie straconych złudzeń pojмали najslabsze wśród nich ogniwo? Może wtedy zdołalibyśmy wydusić jakąś odpowiedź?
- Rozjaśniasz moje życie. A kto wśród nich jest najslabszy?
- Wedle mojej oceny jest ich dwoje. Wojownik, który okazał gniew, jak się okazało, pełen nienawiści, no i żalosna dziewczynka, ta od kota.
- Ach, ona, oczywiście! Nie wydaje mi się, że moglibyśmy skupić się na tym wojowniku z mieczem. Jego wola może uderzać w obie strony, równie dobrze mógłby się nam sprzeciwić, a wtedy nic z niego nie wyciągniemy. Nie, dziewczyna jest właściwą osobą. W strachu zdradzi nam wszelkie informacje, jakie nas interesują. Ale drugi raz nie nabierze się na kota.
- To prawda, musimy wymyślić coś innego. Ile ona ma lat?
- Hm, dziesięć, może dwanaście.
- Tak, na tyle właśnie wyglądała. Wobec tego wyślemy do niej jakiegoś sympatycznego jedenastoletniego chłopca,
- Świetnie się to zapowiada. Zaczynamy natychmiast, nie mamy czasu do stracenia.

10

W J1 Kiro zarządził odpoczynek. Wszyscy potrzebowali snu. Sam postanowił objąć pierwszą wartę, usiadł więc w wieżycy, skąd miał rozległy widok na czarną dolinę. Być może właśnie dlatego nie zauważył, co się dzieje tuż przy pojeździe, z tyłu, od strony góry, na którą właściwie nie zwracał uwagi. Na początku jednak coś działo się tuż przed nim, choć i tego nie zauważył.

C o ś zbliżało się do J1 ukradkowymi długimi skokami. Zawsze wtedy, gdy uwaga Kira skierowana była gdzie indziej, coś ciemnego, wyglądającego jak cień, biegło od skały do skały, pokonując na raz tylko krótki odcinek, ale wreszcie dotarło do potężnej maszyny. To, co ukryło się za rogiem J1, nie było niczym przyjemnym. Ohydna, budząca grozę postać, skulona i świadoma celu. Liczyło się dla niej jedno: zdobyć sławę i uznanie, a to właśnie było możliwe przy wypełnianiu takiego zadania.

Stwór kucnął przy gąsienicach, odetchnął, zebrał siły na przemianę. Jakaż ohydna ta kupa żelastwa! Wielka, paskudna i niebezpieczna.

Młoda dziewczyna? To pestka. Wiele można osiągnąć, jeśli właściwie rozegra się karty. Dodatkowe korzyści... Poprawił to, co uniosło się pod przepaską na biodrach. Ale po kolei, nie wolno się teraz spieszyć.

Dziesięć, dwanaście lat? Wspaniale. On miał uosabiać jedenastolatka i zmusić tę dziewczynkę, żeby się w nim zakochała. Drobnostka! Ach, doprawdy, czy on nie może zachowywać się spokojnie? Ale już sama myśl pociągała go tak nieodparcie, że zaczął się ślinić.

To on, to jemu dano tę szansę, a nie jego kompanom. Właśnie jemu. Spróbuje wykonać zadanie jak najlepiej. Nie rzuci się od razu na tę dziewczynę, wstrzyma się, zaczeka, aż nadejdzie odpowiedni moment.

Później. Potem. Kiedy wypełni już zadanie... Gdzie ona może być? Tyle tu małych okienek. W niektórych całkiem ciemno, niczego nie widział, przez inne nie mógł zajrzeć do środka. Musi teraz bardzo uważać, nie może się spieszyć. Nie wolno mu popełnić żadnego błędu.

W tym czasie Kiro miał wizytę. Do pokoju w wieżycy na palcach weszła Sol. Kiro uśmiechnął się do niej.

- Nie powinnaś spać?

- Jedną z zalet bycia czymś pośrednim między duchem a człowiekiem polega na tym, że sama mogę zdecydować, czy chcę się położyć spać czy też nie. Duchy nie śpią, ludzie natomiast tak. Pomyślałam sobie, że dotrzymam ci towarzystwa.

- Świetnie. Trochę to jednostajne, ciągle prowadzić rozmowy tylko z samym sobą. Stanęli zapatrzeni w martwą dolinę.

- Jakaż ona straszna - mruknęła Sol. - A mimo to kryje się w niej jakieś tragiczne piękno.

- To prawda. Krajobraz nie prosił o to, by tak wyglądać. Pamiętasz, że wśród ostrych skał tu i ówdzie rosły kalekie skamieniałe drzewa?

- Tak, sprawiały wrażenie pokrytych sadzą, osmalonych, jak gdyby spłonęły.

W wiecznej nocy na zewnątrz panowała cisza. Znikąd od dawna już nie dobiegał żaden krzyk. Od czasu triumfalnego pogardliwego śmiechu, którego nikt w J1 nie mógł pojąć, nie słyszano już tajemniczego, przeraźliwego zawodzenia z Gór Czarnych. Jak gdyby tamten chór czekał w milczeniu na to, co wkrótce się stanie.

- Podobno musisz dokonać wyboru - powiedział Kiro. - Marco postawił ci ultimatum. Gdy powrócimy do domu, powinnaś zdecydować, czy chcesz dalej być duchem czy też człowiekiem. Czy wiesz już, co wolisz?

- Nie. A ponieważ on jest taki niemądry, że nie chce mi pozwolić, bym była i jednym, i drugim zarazem, bardzo trudno jest wybrać. A co ty o tym myślisz?

- Ja? - uśmiechnął się. - No cóż, musisz zdecydować sama.

- Chodzi mi o to, jaką Sol byś wolał.

Kiro długo przyglądał jej się z ukosa.

- To jasne, że mieliśmy z ciebie wiele pożytku jako ducha, który potrafi w dodatku czarować, lecz osobiście...

Brzmiało to obiecująco.

- Tak? - zachęcająco rzuciła Sol.

Lecz Kiro zaczął mówić o czym innym.

- Popatrz na tamten szczyt, wygląda naprawdę, jakby miał rogi.

- Tylko nie mieszaj w to wszystko chrześcijańskiego szatana. Odmawiam. Chociaż rzeczywiście to wygląda jak rogi. A poza tym nie próbuj się wykręcić od odpowiedzi na moje pytanie.

Kiro nakrył dłonią rękę Sol spoczywającą na balustradzie przy oknie. Sol natychmiast cofnęła rękę.

- Nie, nie wolno ci mnie dotykać, bo wtedy lemuryjska siła przyciągania natychmiast zaczyna działać, a nie czas na to teraz.

- Nie zamierzałem próbować w żaden sposób na ciebie oddziaływać - oświadczył zdumiony.

Sol oddychała głęboko.

- A więc to prawda? To wy decydujecie, czy jakaś nieszczęsna dziewczyna ma ulec waszemu urokowi?

Kiro odwrócił się i nonszalancko podszedł do stolika kontrolnego.

- Oczywiście, że tak.

- Ale to się nie zgadza - oświadczyła Sol zaczepnie. - Wydaje mi się bowiem, że Ram, który tak kocha Indrę, nigdy nie chciałby oddziaływać na Elenę, a tak właśnie się stało raz, kiedy ją objął.

- To zupełnie co innego. On po prostu chciał ją pocieszyć. Pragnął dać Elenie spokój, poczucie bezpieczeństwa, nic innego.

- Ale prawie ją przy tym podniecił.

Kiro zrezygnowany pokręcił głową.

- W takim razie to oznacza, że Elenę łatwo podniecić.

Sol zastanawiała się.

- No cóż, może masz rację, w tamtym czasie Elena gotowa była oddać się każdemu, kto okazałby jej bodaj odrobinę zainteresowania.

Kiro uśmiechnął się.

- Musisz wyrażać się tak bezpośrednio?

- Phi, a co w tym złego? Ale Kiro... Z samej tylko czystej ciekawości... Czy nie możesz zrobić tego, co wówczas Ram? Dać mi spokój, poczucie bezpieczeństwa i pociechę?

Bogowie wiedzą, jak bardzo tego potrzebuję.

- Myślisz, że to mądre?

- Nie jestem Eleną. Potrafię wyczuć różnicę między przyjaźnią a erotyką. Pociesz więc mnie trochę.

Kiro się wahał. Wreszcie jednak podszedł i przyciągnął Sol do siebie, przytulając jej głowę do swego ramienia.

- Ach, to boskie - westchnęła piękna czarownica. - Trzymaj mnie tak choćby przez chwilę. Przez całą wieczność. Wiesz przecież zresztą, że jako duch jestem częścią wieczności.

Kiro pogładził ją po ciemnych włosach.

- Wiem.

Sol z wolna poczuła, że w jej ciele zaczyna budzić się coś niezwykle silnego, czego wkrótce nie da się już opanować. Gwałtownie odsunęła się od Strażnika.

- Widać mimo wszystko jestem podobna do Eleny - mruknęła, chcąc uciec.

Kiro jednak przytrzymał ją za rękę i zmusił, by odwróciła się do niego.

- Nie - zaprotestował cicho. - Nie jesteś taka jak Elena.

Sol rozzłościła się.

- Chcesz powiedzieć, że rozpałiłeś mnie celowo?

- Nie, Sol, to nie było celowe. Po prostu tak się stało. Ja sam zareagowałem na twoją bliskość. Wcale nie miałem takiego zamiaru.

Sol rozjaśniła się blaskiem, który bił jakby z jej wnętrza. Uśmiechała się coraz szerzej.

- Nie mogłabym usłyszeć cudowniejszego komplementu - stwierdziła. - W dodatku od Lemuryjczyka, tak doskonale umiającego nad sobą panować. Ale teraz najlepiej chyba będzie, jak się stąd ulotnię.

- Mnie też się tak wydaje. Bo chyba jeszcze nie dojrzeliliśmy do tego, prawda?

- Nie. Akurat teraz marzę o tym, żeby przytulić się do ciebie w łóżku i napawać się twoim spokojem, bezpieczeństwem i wszystkim innym, o czym nie powinniśmy teraz rozmawiać. Ale wierz mi, chodzi mi o miłość.

Kiro nagle posmutniał, jakby doznał zawodu.

- Tak, wiem.

Sol popatrzyła na niego jeszcze przez moment, a potem obróciła się na pięcie i podreptała w dół po schodach.

Kiro przymknął oczy.

- Jakie śliczne małe stopki - szepnął do siebie.

Sassa zasnęła tak samo jak wszyscy inni. Byli zmęczeni, przeżyli kilka strasznych godzin przy spotkaniu ze stworzonymi przez ich własną gorącą tęsknotę zwidami, które o mały włos nie stały się przyczyną ich zguby.

Do głowy śpiącej Sassy zaczęły w pewnym momencie przenikać jakieś inne myśli, cudze myśli.

Czy to senne marzenie, czy też rzeczywiście słyszała czyjś gorzki płacz? Wołania o pomoc kogoś, kto znalazł się w opresji, rozlegały się gdzieś całkiem niedaleko... Czyżby jakieś dziecko jej potrzebowało?

Otworzyła oczy niepewna, czy wciąż jeszcze śni, czy też naprawdę to usłyszała.

Owszem, ten dźwięk wciąż do niej dochodził. A potem ktoś zapukał w małe okienko tuż przy niej.

Rozejrzała się dokoła. Wszyscy spali, a Kiro był daleko, w wieżycze.

Jakaż odpowiedzialność na niej spoczęła!

A może to ktoś z J2?

Zachęcona tą myślą, czym prędzej wyjrzała.

Ojej!

Pod oknem stał mały chłopczyk, śmiertelnie wystraszony, tak przynajmniej wydawało się Sassie, którą cechowała pewna skłonność do przesady. Chłopiec jednak bał się, ponad wszelką wątpliwość. Śliczne niebieskie oczy błagalnie patrzyły na Sassę, prosiły, by otworzyła drzwi i wpuściła go do środka. Bezustannie zerkał przez ramię, jak gdyby ktoś go śledził. Miał jasne nastroszone włosy, wyglądał bardzo ładnie, zupełnie nie przypominał straszliwych potworów z Gór Czarnych. Była więc pewna, że chłopiec jest zbiegiem, podobnie jak Gere i Freke.

Czy powinna kogoś zbudzić?

Nie, gestem dał jej do zrozumienia, że trzeba się strasznie spieszyć, a poza tym wszystko musi się odbyć w zupełnej ciszy. Dlaczego nie wolno budzić nikogo innego w pojeździe, nad tym Sassa nie zdążyła się zastanowić, czuła tylko, jak jej serce przepelnia współczucie dla małego, osamotnionego chłopczyka.

Władcy Gór Czarnych troszkę się pomylili. Sassa wprawdzie wyglądała na dwanaście lat, miała ich jednak piętnaście i dla niej chłopiec był wręcz malcem, a nie kimś, w kim mogłaby się zakochać, jak sobie umyślili. Właściwie jednak nie robiło to wielkiej różnicy, los chłopca i tak ją zainteresował, rezultat był więc taki sam.

Postanowiła, że mu pomoże. Wstała i cicho jak myszka przekradła się do drzwi. Gdy tylko on wejdzie, zaraz pobiegnie do Kiro i wszystko mu opowie, na razie trzeba zachować tajemnicę.

Uchyliła drzwi, co wcale nie było takie łatwe, z założenia wszak trudno się otwierały. Prześlizgnęła się przez szparę. Chłopiec stał po drugiej stronie Juggernauta, musiała więc okrążyć maszynę, ale...

Tyle zdążyła pomyśleć. Gdy obeszła już wielkie gaśienice J1, na usta opadła jej jakaś obrzydliwa dłoń i dziewczynka popatrzyła prosto w twarz jednego z owych dobrowolnych strasznych niewolników z kłami drapieźnika, ostro zakończoną brodą i głębokimi oczodołami.

Sassa usiłowała krzyknąć pomimo kneblującej ją ręki, ale zaraz otrzymała potężny cios w głowę i straciła przytomność.

Wcześniej nie pomyślała, że drzwi J1 zatrasnęły się automatycznie, zostawiając ją na zewnątrz. Opuszczanie pojazdu bez klucza było surowo zabronione, lecz umysł Sassy okazał się kurzym mózdzkiem w momencie przyływu bohaterskiej odwagi i miłosierdzia. Pewną pociechą było, że zły stwór nie zdołał wdrzeć się do środka, na co bardzo liczył, lecz o tym dziewczynka nie miała pojęcia.

J1 i J2 stały więc każdy w swojej dolinie. Pasażerowie J1 nie wiedzieli nawet, gdzie mogą szukać J2, ci z J2 wprawdzie zlokalizowali J1, nie mieli jednak pojęcia, w jaki sposób zdołają się tam przedostać. Czy przyjaciele wewnątrz żyją, czy też J1 jest po prostu pustą skorupą?

Faron, Marco i Ram postanowili się naradzić.

Jak można dotrzeć do J1?

- Zostaliśmy odkryci - oznajmił Ram. - Przez mój pomysł, aby dotrzeć do J1, nasza obecność przestała być tajemnicą. Nie zdołamy już dłużej ukrywać naszej marszruty. Wierście mi, ciężko mi się przyznać, że postąpiłem tak niemądrze.

- To całkiem zrozumiałe - krótko stwierdził Faron. - O twoim błędzie zapomnimy. Teraz ważne, by zacząć posuwać się dalej.

- Czy system telekomunikacyjny wciąż jest głuchy? - pytał Marco.

- Kompletnie. Wszystko padło, również wewnętrzne połączenia tu, na pokładzie J2.

- Nikt też z nas, ani duchy, ani Dolg, ani ja nie możemy nawiązać kontaktu telepatycznego. Można by przypuszczać, że teraz, kiedy widzieliśmy J1 i wiemy, gdzie on się znajduje, duchy mogłyby się tam przenieść, ale nie. Nie pojmuję, co się mogło stać.

Faron odparł:

- Słuszne są zapewne nasze przypuszczenia, że oni przebywają w jakimś innym wymiarze. Ponieważ widzieliśmy J1, a mimo to nie możemy do niego dotrzeć, to albo wszyscy na jego pokładzie wciąż znajdują się w tym obcym wymiarze, albo też...

- Albo też w ogóle nie ma ich na pokładzie J1 - dokończył Marco. - A gdzie wobec tego są? Nie ośmielę się nawet zgadywać.

Ram się nie odzywał. Myślał o Indrze, której być może nigdy już nie zobaczy. Nie będzie mógł jej nawet powiedzieć, że od tej pory mogą być razem, dzielić całe życie.

Przygnębiło go to do tego stopnia, że poczuł się chory.

Postanowili, że podejmą próbę dotarcia do J1. Tu, w tym miejscu, i tak nie mogli do niczego się przydać.

Ram, Heike i wilki odnaleźli wszak jedyną możliwą drogę, przez płytką przełęcz wysoko w górach. Trudno, muszą stawić czoła atakom.

Byli pewni, że istnieją jakieś inne połączenia między dolinami. Nie potrafili ich jednak odnaleźć, nie mieli też czasu ani możliwości, by ich poszukiwać. Teraz przede wszystkim musieli spieszyć na pomoc przyjaciołom z J1.

Jeśli oni, rzecz jasna, są w ogóle na pokładzie.

Juggernaut rozpoczął powolną wspinaczkę ku przełęczy. O autostradzie oczywiście nie mogło być mowy, całe zbocze góry pokrywały osypane kamienie i głazy, które „zdobiły” również dno doliny.

Ale J2 zbudowano tak, by radził sobie z różnymi drogami. Gdyby Indra nie wstawiła się za różami w tamtej długiej dolinie po drodze w Góry Czarne i gdyby inni nie usłuchali jej prośb, mogliby teraz unieść się nad ziemią i w ten sposób pokonać sporą część trudnego do przebycia odcinka o kamiennym podłożu. Ale używane w takim wypadku silniki były już teraz niemal całkiem wyeksploatowane po podróży na poduszkach powietrznych przez Dolinę Róż i Tich bał się z nich korzystać. Mogły zresztą przydać się jeszcze później, w naprawdę krytycznej sytuacji. Teraz więc podskakiwali, pokonując ponad metrowej wysokości kamienne bloki. J2 niemal przy tym jęczał, a jego pasażerowie czuli się, jakby zapadli na morską chorobę.

No cóż, jakoś by im się udało, gdyby tylko zostawiono ich w spokoju. Ale mieszkańcy Gór Czarnych mieli oczywiście oko na ich poczynania i starali się nie dopuścić do tego, by obie grupy intruzów się połączyły.

Pierwsza przeszkoda, jaką przyszło pokonać J2, okazała się stosunkowo łatwa do sforsowania.

Drogę zagroziły pojazdowi wysokie, ostro zakończone skały, przypominające pale, na które Vlad Tepez, zwany również Draculą, nabijał swoich wrogów.

Ram stwierdził, że ostrych jak sztydło skał nie było w tym miejscu wcześniej, gdy przelatywali nad tym obszarem gondolą.

- A więc to omam - uznał Faron. - Na pewno jednak są twarde. Doświadczyliśmy już tego w zetknięciu ze skalnymi ścianami.

- Jedno zakłęcie powinno zniweczyć drugie - stwierdził Marco. - Ale doprawdy żałuję, że nie ma z nami Móriego. Cóż to za bystra głowa zdecydowała, że Móri powinien zostać w domu?

- Rok - przypomniał Ram. - Ale nie mogliśmy pozbawić Królestwa Światła wszystkich, którzy coś potrafią.

- To prawda. Zapewne potrafię wyeliminować te ostre skały przed nami. Nie jestem jednak w tej dziedzinie tak doskonały jak Móri. Moja siła nie polega na znajomości



zakłęb, lepiej radzę sobie z przenikaniem do duszy człowieka czy zwierzęcia, i dzięki temu zmienianiem go w lepszą istotę.

Dolg, który po cichu wszedł do pokoju, powiedział spokojnie:

- A dlaczego by nie założyć, że również kamienie mają życie? Dobrze wiesz, że większość rzeczy w przyrodzie jest żywa.

Marco uśmiechnął się do swego najlepszego przyjaciela.

- Jak zwykle masz rację, Dolgu. Co byśmy poczęli bez ciebie?

- Hm, może na przykład urządzili naradę.

- Wybacz mi - prędko poprosił Faron. - To moja wina. Za późno się zorientowałem, że ciebie brakuje, Dolgu.

Jasne spojrzenie syna czarnoksiężnika sprawiło, że potężny Obcy spuścił głowę.

Głupim błędem było niezaproszenie Dolga na naradę. Nikt nie znał wnętrza rzeczy równie dobrze jak on.

- A więc sądzisz, że sobie z tym poradzimy, Dolgu? - spytał Marco.

- Tak, pomogę ci.

- Doskonale.

- Dobrze, że przyszedłeś - rzucił Ram.

Wszyscy chcieli naprawić zaniedbanie.

Ostro zakończone kamienie powróciły wkrótce do swych pierwotnych, bardzo skromnych rozmiarów i J2 znów mógł jechać.

Nie dotarł jednak daleko. Po przebyciu nie bez trudu może kilometra ponownie musieli się zatrzymać. I tym razem czujnością wykazał się Dolg.

- Zatrzymaj się, Tichu - poprosił. - Nie podoba mi się ten płaski obszar, który rozciąga się przed nami.

Tich zaśmiał się pod nosem:

- A ja właśnie sobie pomyślałem, że przyda się dla odmiany trochę jazdy po równym.

- Pozwolicie, że wyjdę?

Faron i Ram popatrzyli na siebie, to do nich należała decyzja. Tich włączył hamulce i J2 się zatrzymał.

- Wolałbym, żebyś nie wychodził - stwierdził wreszcie Ram. - Co masz zamiar tam zrobić, Dolgu?

- Tylko podnieść z ziemi jeden kamień.

- Czy zdołasz chwycić go, nie schodząc na ziemię?

Dolg stwierdził, że powinien dać sobie radę, i wreszcie pozwolono mu wyjść. Zbiegł na najniższy schodek i wkrótce wrócił, trzymając w dłoni kamień wielkości pięści.

- Pozostali zastanawiają się, co się dzieje - wyjaśnił. - Powiedziałem, że chodzi o pewien eksperyment.

Fakt, że tak wiele osób musiało zamieszkać w J2, przysparzał podróżującym nieco kłopotu, pojazd bowiem nie był przystosowany do zamieszkania, lecz tylko do przechowywania wyposażenia i aparatów. Rozdzielono jednak miejsca tak, jak tylko się dało. Trudno, niektórzy musieli sypiać na podłodze. Teraz jednak akurat nie spał nikt i wszyscy byli ciekawi, dlaczego J2 się zatrzymał.

Na górze w wieżycze Dolg poprosił Ticha, by podjechał jeszcze kawałeczek do przodu z zachowaniem jak największej ostrożności. Miał mu dać znać, kiedy powinni stanąć.

- No cóż, nie jestem najlepszym miotaczem na świecie - uśmiechnął się Dolg z zawstyżeniem. - Czy któryś z was to potrafi?

- Do tytułu mistrza świata i mnie daleko - uśmiechnął się Ram, biorąc kamień od Dolga. - Ale rzucić potrafię. Gdzie mam celować?

- W sam środek tej płaszczyzny - wyjaśnił syn czarnoksiężnika.

- Jak sobie życzysz.

Tich rozsunął okno na przedzie pojazdu i Strażnik przyjął odpowiednią pozycję.

Elegancki rzut i kamień trafił dokładnie w to miejsce, które wskazał Dolg.

Dotknąwszy ziemi kamień zapadł się w głąb, a dziura, która przy tym powstała, zaczęła się bardzo prędko rozszerzać, aż wreszcie cała równa płaszczyzna przeistoczyła się w krater o nieznanym głębokości.

Ci, którzy stali w wieżycze, wyraźnie pobledli.

- Dziękujemy, Dolgu - szepnął Tich.

Ale jak zdołają objechać przepaść? Cóż, trzeba próbować, J2 był przystosowany nawet do wspinaczki w terenie.

- Czy to kolejna iluzja? - spytał Faron. - Nie było tu chyba żadnej głębokiej jamy, gdy tędy przelatywałeś, Ramie.

- Nie, ale wydaje mi się, że nie powinniśmy ryzykować, Faronie. Nie ufam już niczemu w Górach Czarnych.

- I bardzo słusznie - przyznał Marco. - Musimy okrążyć ten krater, wszystko inne byłoby niepotrzebnym narażaniem życia. Ruszaj, Tich!

Madrag obrał najprostszą drogę. Trudno powiedzieć, aby taka w ogóle istniała, lecz jeśli trzeba, to trzeba, i włączył wszystkie silniki. Marco zszedł na dół i poprosił, aby uczestnicy ekspedycji czegoś się przytrzymywali, gdyż może być niebezpiecznie.

Przebywający na dole oczywiście widzieli przez okno, co się dzieje, i wstrząśnięci usłuchali ostrzeżenia.

Tich przyspieszył. J2 niekiedy stawał dęba jak spłoszony koń, cały się przy tym trzęsąc, w pewnej chwili myśleli już, że przechylił się w tył i stoczy na dół, lecz zdołał się jednak na powrót przyczepić do podłoża i wspiać o kolejny metr do góry. Zanim zdążyli odetchnąć z ulgą, drogę zagroziło im przerażające usypisko głazów. J2 musiał je pokonać za wszelką cenę. W izbie chorych Siska przywiązała Tsi do łóżka i sama mocno się w nie wczepiła, gdy J2 znów stanął dęba. Na dole w dużym pomieszczeniu podróżnicy leżeli poplątani ze sobą, kurczowo przytrzymując się wszystkiego, co tylko mieli w zasięgu ręki. Teraz się wywrócimy, pomyśleli Armas, Cień, dwa wilki i nie tylko oni. Tich zdołał jednak pokonać jakoś potworną stromiznę jedynie po to, by za chwilę J2 przechylił się w bok pod takim kątem, że podniesienie go wydawało się niemożliwością.

Co poczniemy, jeśli się wywrócimy i nie będzie J1, który by nas wyciągnął, myślał przerażony. Koncentrował się do ostateczności, niemal z nadprzyrodzoną siłą, by utrzymywać w miarę prosty kurs.

No, teraz będzie naprawdę źle, pomyślał po raz kolejny, lecz J2 chętnie z nim współpracował.

Po chwili przechylony mocno w prawo pojazd zdecydował wreszcie, że wróci do bezpiecznej pozycji na gaśienicach.

We wnętrzu Juggernauta rozległo się głośnie westchnienie ulgi.

Ale wciąż jeszcze nie było końca problemom.

Trzy godziny zajęło Tichowi dotarcie do w miarę przejezdnej drogi, i nawet to określenie było przesadą, wciąż bowiem przedzierał się przez wielkie kamienie o ostrych krawędziach. W końcu niejeden z pasażerów zaczął odnosić wrażenie, że wszystkie wewnętrzne organy mu się przemieściły. Wreszcie jednak jazda stała się łatwiejsza. Okazało się, że dotarli na szczyt wzgórza.

Jeśli sądzili, że dostrzegą stamtąd J1, doznali rozczarowania. Wzgórza, a raczej całe ich pasmo, były szerokie. Wszystko to przypominało trochę chodzenie po górach - kiedy się już myśli, że osiągnęło się szczyt, zaraz widać kolejne wzniesienie. Zrozumieli, że przejazd w miejsce, z którego będą mogli zajrzeć w następną dolinę, trochę potrwa. I rzeczywiście zajęło to więcej czasu, niż się spodziewali. Władcy Gór Czarnych bowiem przygotowali dla nich kolejne niespodzianki.

- Byle tylko nie sprawili czarami, że J1 znów zniknie - mruknął Armas, gdy po raz kolejny musieli stawić czoło nowemu wyzwaniu.

- To byłaby tragedia - przyznał Ram. - Bo naprawdę widzieliśmy J1 na dole tego czarnego zbocza. Ale z tym sobie poradzimy, prawda, Marco?

Przypatrzyli się przeszkodzie i zadrżeli w duchu. Przed nimi stała cała armia dobrowolnych niewolników, tych straszliwych potworów, z którymi już tyle razy wcześniej zawierali znajomość. Teraz owi niewolnicy ukazali im się bez żadnego przebrania, równie straszni i wstrętni jak Hannagar i jego kompani. Cała armia uzbrojona była w zakrzywione haki, jakby stworzone specjalnie po to, by wybić dziury w Juggernaucie. Inne istoty trzymały w rękach zapalone pochodnie.

Księżę usiadł wygodniej na stanowisku dowodzenia.

- Zobaczymy - powiedział z namysłem. - Co na to powiesz, Dolgu?

Jego najlepszy przyjaciel obrzucił wzrokiem olbrzymią gromadę.

- Nie wiem, Marco. Wkrótce zabraknie nam środków, które nie zabijają. A do niczyjej śmierci przecież nie chcemy dopuścić.

- To prawda, pragniemy zachować naszą czystość, szlachetny sposób myślenia, inaczej prędko staniemy się tacy jak oni, niewolnicy zła.

I wtedy Tich dodał im otuchy.

- J2 ma jeszcze pewne środki, które możemy wykorzystać - oświadczył z uśmiechem.

11

Sassa obudziła się podruczana na kościstym barku, który na dodatek obrzydliwie cuchnął. Głowa zwieszała jej się na czyjeś plecy, pokryte rzadkim i kłującym niczym świńska szczecina włosiem. Temu, kto ją niósł, bardzo się spieszyło. Ciężko dysząc, biegł w górę po zimnych, kamiennych schodach, od których wionęło pleśnią. Od czasu do czasu dziewczynka łokciem ocierała się o szorstką skalną ścianę albo zawadzała palcami nóg o stopień, lecz instynkt, jaki dotychczas nigdy nie dał o sobie znać, kazał jej milczeć, nie zdradzać bólu i udawać nieprzytomną. Było to zupełnie niepodobne do

wiecznie szlochającej Sassy. Głowa też okropnie ją bolała; od ciosu, który otrzymała, niemal rozsadało kark.

Ktoś jeszcze biegł obok straszego stwora, lecz na schodach panował taki mrok, że nie widziała drugiej istoty wyraźnie. Momentami pojawiało się jakieś słabe światło, jak gdyby mijali marną pochodnię. Dziwaczne stworzenia sprawiały jednak wrażenie niezależnych od światła, zapewne żyły w stałym mroku i zdołały do niego przywyknąć.

Druga istota odezwała się ochryłym sykiem:

- Doskonale sobie poradziłeś. Dostaniesz wiele punktów za zasługi.

- Na to liczyłem - równie ochryple odparł ten, który ją niósł. - Z tej małej bez trudu wyciągniemy wszystkie tajemnice.

Sassa miała dość rozumu, żeby nie krzyczeć przeraźliwie ani też nie próbować się uwolnić. Prawdę powiedziawszy, sparaliżował ją strach, ale też i ów właśnie dopiero co odkryty instynkt... Instynkt samozachowawczy, chyba tak się to nazywa.

- Na pewno - przytaknął drugi kompanowi. - Wyciągniemy z niej imiona wszystkich tych, którzy znają się na czarach. Pomogę ci, będzie prędej.

Ten, który niósł Sassę, nabrał podejrzeń.

- O, nie, nie próbuj podstępnie zdobyć szczytów, na które nie zasłużyłeś. Ona jest moja i pamiętaj, to ja się z nią zabawię, kiedy już będzie po wszystkim.

- Nie bądź głupi, co do tego ostatniego, będzie jak chcesz, ale nie masz chyba ochoty stanąć samotnie twarzą w twarz z Nardagusem.

- Nie, ty pójdziesz ze mną. Ale to ja będę przemawiał. Ale potem chcę ją mieć, zanim Nardagus uczyni ją jedną z nas. Chcę ją mieć taką śliczną i nietkniętą jak teraz.

- Skąd wiesz, że jest nietknięta?

- Sprawdziłem.

Sassa walczyła z falą mdłości. Czy on jej dotykał? Och, nie, to niemożliwe. Poczula się zbrukana, nie mogła znieść nawet podobnej myśli.

Mimo wszystko nie to było teraz najważniejsze. Prześladowcy chcieli zmusić ją, by wyjawiała imiona tych, którzy potrafią czarować, jej wspaniałych przyjaciół.

Słowa „czarowanie” nigdy nie lubiła. Wydawało się takie banalne, jak gdyby mowa była o magiku, który stoi na scenie i wyciąga z kapelusza gołębice i króliki. Nie miało to właściwie nic wspólnego z niesamowitymi, wręcz boskimi zdolnościami Dolga czy Marca.

Jedno było pewne: te potwory nie wydobędą z niej ani słowa. A już na pewno nie kupią jej duszy, nie zmienią jej w budzące wstręt monstrum, jakimi sami byli. Pokaże, że jest silna.

Nagle Sassa doznała wstrząsu, patrząc na siebie z boku. Jak też ona się zachowywała do tej pory? Płakała, narzekała, skarżyła się i tęskniła za domem. Nikomu nie była radością, sprawiała jedynie kłopot. Przez cały czas myślała tylko o sobie. Teraz natomiast, gdy znalazła się w prawdziwym niebezpieczeństwie, zachowywała się całkiem spokojnie. Może to w wyniku paraliżującego strachu, lecz i tak wychodziło na jedno.

Myślała na zimno, po raz pierwszy podczas całej tej wyprawy. Jakoś to będzie.

Przykro jej było jedynie, że nikt z towarzyszy podróży nie widzi jej teraz, nie jest świadkiem bohaterskiej odwagi. Ale prawdziwa odwaga nie prosi o widzów, nie dopomina się pochwał ani nagrody, działa w ciszy.

Ja także będę tak postępować, pomyślała dzielnie, ale z przykrością przełykała ślinę. Wspaniale byłoby, gdyby ktoś mógł ją teraz zobaczyć.

Zimna wilgoć panowała na schodach, które momentami mogła dostrzec, gdy mijali migoczące światła. Widziała wtedy nierówne zielonkawe stopnie. W miarę jednak jak się posuwali, stopnie były coraz gładsze, powietrze czystsze, a dookoła robiło się jaśniej.

Ten, który ją taszczył, zatrzymał się. Sassa wyczuła w nim pewne wahanie. Nic wprawdzie nie widziała, wisząc głową w dół, mdliło ją, bała się i była taka nieszczęśliwa, ale miała wrażenie, że widzi z przodu jakieś drzwi. I rzeczywiście, zastukali w nie, a po podaniu hasła, które starała się zapamiętać, zostali wpuszczeni do środka.

Wokół niej stało się teraz jaśniej, jakby pomieszczenie rozświetlał blask ognia, nie latarki ani lampki. Stwór po prostu puścił ją teraz, upadła na twardą kamienną podłogę, ale na szczęście zdołała się jakoś podeprzeć rękami. Wreszcie mogła patrzeć przed siebie, a nie na paskudny podskakujący zadek.

Przy drewnianym stole siedziało kilka osób. Proszę, proszę, a więc w Górach Czarnych istnieje także drewno, nie wszystko jest z kamienia. No, tak, ciężkie drzwi również były drewniane. O ile dobrze zdołała się zorientować, przyszli tu mniej ważną, tylną drogą, bo po przeciwległej stronie dostrzegła znacznie okazalsze wejście.

Usiłowała wstać, lecz brutalnie zmuszono ją do ukłęknięcia, a żelazny uścisk przygiął jej głowę do podłogi.

Ktoś podniósł rękę.

- Chcemy ją zobaczyć.

Uścisk zelżał. Znowu mogła się wyprostować.

Było ich troje, jedna kobieta i dwaj mężczyźni. Kobieta, niespotykane pociągająca w jakiś niebezpieczny, żarłoczny sposób, wydawała się zarazem dziwnie odpychająca.

Przypatrywała się Sassie z arogancją i pogardą.

- Nie jest szczególnie ładna - prychnęła. - Cóż to za intruzi ośmielili się wtargnąć do naszego królestwa?

Sassa zawstydzona spuściła wzrok, była bowiem bardzo wrażliwa, gdy chodziło o wygląd, już od czasu, gdy oszpecili ją oparzenia, przez co matka nie chciała jej znać. Zdażyła jednak przyjrzeć się kobiecie. Wiedziała, że ma do czynienia z nadzwyczaj urodziwą istotą, lecz poprzez cudowną skórę za oszalamiająco pięknymi rysami Sassa dostrzegła co innego: potworną obrzydliwość, taką samą jak u dobrowolnych niewolników. Miała wrażenie, że widzi dwie osoby jednocześnie, jak na podwójnie naświetlonej fotografii. Wywołało to w niej prawdziwy szok, zmusiła się, by popatrzeć na mężczyznę siedzącego obok.

I tym razem wrażenie było identyczne. Wspaniały strój i elegancka postawa nie zdołały ukryć budzącego grozę widoku skrywającego się w jego wnętrzu. Ale było w nim coś jeszcze...?

Trzecia osoba przy stole to z pewnością Nardagus. Wyraźnie dało się dostrzec, że jest przywódcą. Świadczył o tym nie tylko piękny strój, lecz cała jego postać i bijący od niej autorytet. W jego przypadku nie było owego zdumiewającego podwójnego obrazu, ale też i nie był on potrzebny. Nardagus wywodził się z ludzkiego rodu i tak też wyglądał, choć niewiele miał w sobie człowieczeństwa, dotyczyło to przede wszystkim psychiki.

Jego oblicze wyrażało niezwykle zło. Włosy miał białe jak śnieg, brwi natomiast ciemne. Tak samo ciemna była zadbana broda, oczy zaś niemal czarne, a spojrzenie kompletnie pozbawione uczuć. Jego szaty uszyte zostały z materii przetykanej złotymi nitkami. W ogóle całe pomieszczenie, szczególnie po jednorodnej jałowości królującej wszędzie w Górach Czarnych, zaskakiwało sporą ilością złotych ozdób. Sassa podejrzewała, że to jedna z komnat w czymś w rodzaju pałacu, do którego ona dostała się tylnym wejściem. Komnata właściwie była straszna, tym straszniejsza, im dłużej dziewczynka się jej przypatrywała. Na ciężkich, eleganckich meblach widniały głębokie nacięcia i zadrapania, powstałe jakby od uderzeń miecza lub topora, ściany i sufit poplamione były krwią, a w ciemnym kącie Sassa dostrzegła coś, co mogło być narzędziami tortur. Ostatkiem woli zdołała zapanować nad narastającym w niej lękiem. Mężczyzna, który musiał być Nardagusem, podszedł do niej, wsunął jej lodowaty palec pod brodę i w ten sposób zmusił, by wstała. Dziewczynka nie potrafiła oprzeć się jego rozkazowi.

Źle się to zapowiada, pomyślała. Jeśli nie potrafię mu się sprzeciwić, będzie ze mną krucho.

Jakież on ma straszne oczy! Wpatrywały się w nią, a Sassa miała wrażenie, że spogląda prosto w głąb zielonego płomiennego piekła. Czy istnieje w ogóle coś takiego? Brzmiało to wręcz barokowo, lecz tak właśnie czuła.

Przebywanie w Górach Czarnych wyraźnie wywarło wpływ na Nardagusa. Sassa zastanawiała się, czy pił on ze źródła ciemnej wody. Nie, raczej nie, lecz na pewno przebywał w jego pobliżu. Pewne natomiast, że zajmował tu wysoką pozycję. Być może był najwyższym wasalem potężnych władców, tych, którzy naprawdę pili u źródła.

- Kimże ty jesteś? - spytał.

W tym momencie Sassa uczyniła pierwszy inteligentny ruch szachowy podczas całej podróży.

- Nie rozumiem - oświadczyła po norwesku.

Nardagus zmarszczył czoło.

- Jakimż to językiem ona mówi? Kto w naszym królestwie może go znać?

Pozostali wzruszyli ramionami.

Co mam robić, zastanawiała się Sassa wzburzona, czy spróbować usunąć maleńkie, prawie niewidzialne aparaciki z ramienia? Łatwiej mi wtedy będzie opierać się atakom nieprzyjaciół. Bo gdy się czegoś nie rozumie, no to się nie rozumie, i nie można nikogo zmusić do odpowiedzi. Ale z drugiej strony, zatrzymując aparaciki, mogę odnieść pewne korzyści. Ci obrzydliwcy nie wiedzą, że rozumiem, co mówią, i dzięki temu być może uda mi się zdobyć niezwykle cenne informacje.

Nie miała czasu dłużej się nad tym zastanawiać i dokonać jakiegoś wyboru, bo związano jej ręce na plecach. Postanowiła jednak, że tak długo jak się da, będzie udawać, że nic nie pojmuje. Cała trzęsła się ze strachu i miała tylko gorącą nadzieję, że nie przyjdzie im do głowy ją torturować, bo tego, tak przynajmniej sądziła, nie wytrzyma.

Ach, czy nikt nie może mi pomóc? myślała zrozpaczona. Błagam was, pospieszcie mi na ratunek, to się nie może dobrze skończyć!

Potworny Nardagus zasiadł w swoim krześle i zamyślony odchylił się w tył. Przyglądał jej się badawczo.

- Jeśli my nie rozumiemy jej mowy, a ona naszej, jest dla nas bezwartościowa - stwierdził niewyraźnie. - Można ją jedynie... Tak, tak - zwrócił się do stwora, który przyniósł Sassę, a teraz gwałtownie wymachiwał rękami. - Dostaniesz swoje wynagrodzenie, ale marny połów przyniosłeś. Musimy znaleźć kogoś, kto zrozumie jej język. Albo... spróbujemy po angielsku. To język, który na ziemi znają prawie wszyscy.

Powiedział do niej kilka słów po angielsku. Sassa udała głupią i przekonująco pokręciła głową. Nardagus przeszedł więc na francuski, potem na niemiecki, rosyjski, hiszpański. Powiedział też parę wyrazów, które brzmiały jak chiński, a wszystko to bez jakiegokolwiek reakcji ze strony Sassy.

Popatrzyła z boku na drugiego z mężczyzn i spoglądając pod tym kątem, odkryła coś makabrycznego. Coś, w co trudno było uwierzyć. Mężczyzna sprawiał wrażenie, że się żarzy, wprost świeci. Mało brakowało, a rozdziawiłaby buzię ze zdziwienia, opanowała się jednak i nic po sobie nie pokazała. Zrozumiała teraz, skąd bierze się ciepło i światło w pomieszczeniu. Pochodziło od niego!

To niepojęte!

Gdzie bywał ten człowiek, że zdobył takie właściwości? Kim był? Zwyczajnym niewolnikiem, którego górska arystokracja używała jako kominka? Czy też został w jakiś sposób wywyższony? Do tej pory nie odezwał się ani słowem, choć nosił równie eleganckie szaty jak kobieta. Któż to taki?

Nagle Sassa drgnęła.

- Mam wrażenie, że ona wszystko rozumie - odezwała się niespodziewanie ostrym głosem kobieta - Ona nas rozumie, poznaję to po jej oczach.

- Jak to możliwe, by znała nasz język?

Kobieta popatrzyła chytrze.

- Nie wiem. Spróbuj jeszcze raz odezwać się po angielsku, mam wrażenie, że wtedy coś jej zaświeciło.

Bzdury, pomyślała Sassa. Rozumiałam was przez cały czas, ale mówcie dalej, ja i tak wszystko wytrzymam.

Wstrętny Nardagus podszedł bliżej.

- A więc rozumiesz po angielsku. No, gadaj więc, kto jest najpotężniejszym czarnoksiężnikiem wśród was? Skąd pochodzi?

Sassa tylko patrzyła na nich niemądrze. Była przekonana, że doskonale sobie radzi.

- No cóż. - Nardagus odwrócił się do niej plecami. - Wobec tego będziemy zmuszeni uciec się do zupełnie innych metod.

Nigdy nie znajdą tu nikogo, kto mówiłby po norwesku, pomyślała triumfująco dziewczynka. Żaden Norweg nie ma w sobie tyle zła, by wpaść w szpony Gór Czarnych. Lecz oni wcale nie zamierzali szukać geniusza znającego wiele języków. Przynajmniej na razie.

Gdy Sassa pojęła, jaki jest ich plan, krzyknęła głośno z przerażenia i rozpacz.

Spodziewała się, że tortury polegać będą na miażdżeniu kciuków, chłostaniu i podobnych próbach. I na to wewnętrznie się już przygotowała.

Gdy spostrzegła, co przynieśli, osunęła się na kolana i wybuchnęła pełnym gorzki płaczem.

Wiedziała już, że jest stracona. Jedynie zdradzając tożsamość przyjaciół zdoła nie dopuścić do tak strasznego okrucieństwa.

12

W J1 Chor zmienił Kira, który natychmiast, gdy tylko położył się na łóżku, zapadł w sen. Wszyscy inni także spali. W czarnej skalistej dolinie panował spokój.

Ale wysoko na wzgórzu załoga J2 z całych sił starała się dotrzeć do przyjaciół.

Tich obserwował armię niewolników. Stali uzbrojeni po zęby, zdecydowani na wszystko. Oczy jarzyły im się czerwonym blaskiem, co prawdopodobnie wynikało z ich zdolności do widzenia w ciemności. Wyglądało to niczym morze maleńkich, rozżarzonych punkcików w wiecznym półmroku Gór Czarnych.

- Co zamierzasz zrobić, Tich? - spytał Ram bezdźwięcznie.

- W y d a j e mi się, że moglibyśmy wykorzystać jeden z naszych specjalnych wynalazków - odparł Madrag z pewnym zadowoleniem i radosnym wyczekiwaniem w głosie.

- Czy nie za blisko do nich podjeżdżasz? - wtrącił się Dolg.

- Muszą się znaleźć tuż-tuż, niech nawet próbują zdobyć Juggernauta. Trzymajcie się teraz mocno!

Na dole, w dużym pomieszczeniu J2, wszyscy patrzyli na nieprzeliczoną gromadę potworów, która z piekielnym wrzaskiem rzuciła się na pojazd.

Tich przesunął jakąś dźwignię.

Okrzyk bojowy przemienił się w wycie strachu i grozy. Z Juggernauta wystrzeliły długie ostre kolce, przypominał teraz jeża, przygotowanego do obrony.

Bestie stoczyły się na dół, próbowały uciekać przed kolcami, które niejednego zdołały już zranić. Marco przygryzł wargę. Nie bardzo mu się to podobało, ale gdy obszedł całą wieżyczkę dookoła i wyjrzał kolejno przez wszystkie okna, stwierdził, że nikt chyba nie zginął. Oszałały krzyk był jedynie świadectwem charakteru straszdeł. Stawały się dzielne tylko wtedy, gdy miały przewagę, kiedy zaś napotykały opór, wyły ze strachu.

J2 mógł jechać dalej, bo oszołomieni niewolnicy zła użalali się nad swymi ranami, uciekali albo też wygrażali z wściekłością bojowemu wozowi. Nieliczni wciąż czepiali się gaśienic, prędko jednak zrozumieli, jak niemądrze będzie pozwolić, by gaśienice wykonały pełen obrót. Uchwycenie się kolców było niemożliwe, nie dało się ich złapać ani na nich zawiesić. Do powłoki Juggernauta potwory także nie mogły się przedostać, na to kolce tkwiły zbyt gęsto.

Mimo to niektórzy napastnicy nie rezygnowali. A wówczas Tich uruchomił kolejny przycisk i przez kolce popłynął prąd.

Wtedy horda się poddała. Broń potworów okazała się bezużyteczna, pochodnie ciskane na Juggernauta nie wyrządzały żadnej szkody. Armia rozbita na grupki rozpiezchła się po wyżynie, kierując się do swych bezpiecznych jam, żeby tam w spokoju lizać rany.

Uczestnicy ekspedycji obserwowali, jak niewolnicy zła znikają w grotach. Wreszcie cała okolica opustoszała.



- A więc mamy już to za sobą - westchnął Faron. - Dziękujemy, Tichu, doskonale sobie z tym poradziłeś. Doprawdy, to się mogło źle skończyć. Choć z drugiej strony... my jesteśmy dobrzy, nie zapominaj o tym.

- Wiem, wiem - burknął Tich. - Rozważałem wszystkie za i przeciw, a w końcu doszedłem do wniosku, że to bardzo nieszkodliwa obrona. Przykro mi tylko, jeśli kogoś zraniłem.

- Nie wyglądało to wcale groźnie - uspokoił go Dolg. - To tylko powierzchowne zranienia. Najgorsze były te wrzaski strachu. Wiele hałasu o nic.

Marco się nie odzywał. Miał świadomość, że, obrazowo mówiąc, na lakierowanej powierzchni pojawiły się rysy. A do tego przecież nie powinni dopuścić, zwłaszcza tutaj, w królestwie samego zła.

Mimo to doskonale zdawał sobie sprawę, że Tich nie mógł postąpić inaczej.

J2 znów zaczął toczyć się naprzód w ślimaczym tempie, a Marco i Dolg wkrótce musieli skupić się na czym innym. W pomieszczeniu kontrolnym zjawił się Armas.

- Marco, Dolg! Siska prosi, żebyście natychmiast do niej przyszli.

Nie zwlekając i nie bacząc na nic, zbiegli na dół do maleńkiej izby chorych.

Powitała ich Siska, oczy jej błyszczały.

- Powieki mu drgnęły, chyba próbował coś powiedzieć! Wydaje mi się, że mu się polepsza!

Marco na wszelki wypadek nie wspomniał o tym, że niekiedy stan chorych poprawia się przelotnie tuż przed nadejściem śmierci. Zamiast tego razem z Dolgiem zajął się badaniem Tsi-Tsunggi.

Fascynujący elf ziemi wciąż leżał nieruchomo, barwa jego skóry ciągle miała w sobie niemal ludzką bladość, jaka pojawiła się na niej w ostatnich dniach. Normalnie przecież skóra Tsi-Tsunggi połyskiwała brązowonieonie, przywodząc na myśl las w jesiennej szacie. Oczy miał zamknięte, a zmysłowe, nieco dziecinne usta - półotwarte. Oddechu nie dawało się wyczuć.

A jednak...

- Nastąpiła chyba pewna zmiana - stwierdził Marco. - Nie potrafię tylko określić, na czym ona polega.

- Próbował coś powiedzieć, jestem o tym przekonana - upierała się Siska. Pod oczami miała sińce, bo kolejną z rzędu dobę spędziła na pełnym lęku czuwaniu.

Dolg pochylił się nad młodzieńcem pochodzącym ze złocistozielonych lasów.

- Tsi, Tsi-Tsunggo, słyszysz mnie?

Ujął bezwładną dłoń leżącą na kocu.

- Jeśli mnie słyszysz, daj mi jakiś znak. Wyczuję najdrobniejszy ruch.

Czekali.

- Tsi, słyszysz mnie? - cicho powtórzył Dolg.

I znów oczekiwanie.

Wreszcie Dolg podniósł głowę i popatrzył na przyjaciół zaskoczony.

- Wyczułem coś, lekkie napięcie mięśnia. Delikatne drżenie palca wskazującego.

- Cudownie - westchnął Marco z ulgą.

- Tsi, co chcesz nam powiedzieć? Poczekaj, zrobimy tak: zastanów się, co chcesz nam przekazać, postaraj się wyrazić to w możliwie niewielu słowach. Dolg przytrzyma cię za

rękę, a ja będę mówił alfabet... Chyba go znasz? - rzucił ostrzejszym tonem. - Tak, Siska kiwa głową. Ach, szkoda, że nie ma z nami Joriego, on jest najlepszym przyjacielem Tsi i wie o nim najwięcej.

Zauważyli, że Siska już chciała zaprotestować, powiedzieć, że to ona jest najbliższą przyjaciółką elfa, zaraz jednak najwidoczniej przypomniała sobie, że jej przyjaźń z Tsi-Tsunggą jest o wiele świeższa i trwa znacznie krócej niż Joriego. Milczała więc zawstydzona.

Dolg spytał:

- Tsi, wiem, że wiele od ciebie żądamy, ale czy starczy ci sił? Wybrałeś już najważniejsze słowa? Wobec tego zaczynamy!

Popatrzyli po sobie. Czy Tsi będzie w stanie ułożyć słowa z liter? Zwłaszcza w tak złym stanie jak teraz?

Rozpoczęła się mozolna praca. Marco wymieniał kolejne litery, pomijał te mniej istotne, jak na przykład „q”. Po każdej robił chwilę przerwy.

Niestety, okazało się, że pierwsza litera wybrana przez Tsi znajduje się pod koniec alfabetu. Zdążyli więc przeżyć wiele momentów wątplenia i właściwie bliscy już byli rezygnacji, gdy wreszcie reakcja nastąpiła. Sądziли nawet, że Tsi nie ma sił lub nie umie odpowiedzieć, a gwałtowne przechyły J2 tylko jeszcze pogarszały całą sprawę. Dolg nie miał pewności, czy przypadkiem czegoś nie przeoczył.

Ale wreszcie dowiedzieli się, że pierwszą literą powinno być „s”. Nie było żadnych wątpliwości.

Marco postanowił zaryzykować odgadywanie.

- Siska?

I znów reakcja.

- Okej - ucieszył się Marco. - Spróbujemy dalej, „t”?

Dłoń Dolga wychwyciła drganie palca elfa.

Marco znów próbował odgadywać.

- Tsi-Tsungga?

Żadnej reakcji.

Marco dokończył więc alfabet i od początku zaczął od „a”. Palec Tsi-Tsunggi znów drgnął.

- Mamy więc: „Siska, ta...” - stwierdził Dolg. - Mów dalej, Marco.

Potem poszło już łatwiej, jeśli w ogóle można użyć tego słowa do opisania tak mozolnego procesu. W każdym razie po pewnym czasie mieli już gotowe słowa: „Siska, tak ci dziękuję, słyszałem, też kocham”.

- Oto cała wiadomość - podsumował Marco. - Dziękujesz Sisce za pomoc, słyszałeś, jak mówiła, że cię kocha, i ty także ją kochasz?

Tsi sprawiał wrażenie spokojnego. Dobrze go zrozumieli.

- Cieszę się, że mnie słyszał - cichutko powiedziała Siska.

- Czy to już wszystko? - pytał Marco Tsi-Tsunggę.

Palec zadrżał mocniej.

- Nie, najwidoczniej to jeszcze nie koniec - uznał Dolg.

Popatrzyli na siebie z pewną rezygnacją. Wyglądało na to, że porozumiewanie się potrwa dość długo.

Dolg zdecydowanie nabrał powietrza w płuca.

- Musimy jakoś to przyspieszyć. Powinniśmy być teraz na stanowisku dowodzenia.

Marco, co ty o tym myślisz? Czy nie wydaje ci się, że warto poddać Tsi działaniu szafiru?

- Owszem - odparł Marco z namysłem. - Tsi wydaje się oczyszczony z większości zła, jakie na niego działało. Jego miłość, a przede wszystkim silne uczucie Siski, musiało zneutralizować truciznę róż.

Siska bliska była płaczu, tak wielką ulgę poczuła, gdy Dolg ośmielił się wreszcie przynieść cudowny niebieski kamień i położyć go na nagiej klatce piersiowej Tsi-Tsunggi. Małe pomieszczenie zaśniło błękitem w wielu odcieniach i wreszcie leśny chłopiec zdołał drżąc odetchnąć.

- Ach, dzięki - szepnęła.

Miała ochotę rzucić się Dolgowi na szyję, lecz takich rzeczy przecież się nie robi.

Dolg pozwolił, by szafir jeszcze przez chwilę działał na Tsi, a potem delikatnie podniósł kulę. Wyjaśnił, że trucizna przeniknęła tak głęboko, że uszkodziła narządy oddechowe Tsi-Tsunggi, trudno więc spodziewać się całkowitej poprawy, sądził jednak, iż kamień wzmocnił znacznie odporność leśnego elfa.

- Oczywiście - usłyszeli cichy szept i wreszcie mogli popatrzeć w zmęczone oczy Tsi. - Tak bardzo wam dziękuję.

- Tsi, witaj z powrotem - uradował się Marco. - Co jeszcze chciałeś nam powiedzieć?

- Zajrzyjcie do mojej kieszeni.

- Co on ma w kieszeni, Sisko?

- Tu, przy pasku, proszę.

Siska wyciągnęła z kieszeni Tsi nieduży skórzany woreczek.

- O to ci chodziło? Tsi, co w nim masz?

Elfowi mówienie przychodziło z wielkim trudem. Był tak straszliwie zmęczony, że znów musiał zamknąć oczy.

- Proszek elfów.

- Do czego on służy?

- Nie wiem, nigdy go nie wypróbowałem. Dostałem go kiedyś w nagrodę za ocalenie komuś życia.

- Proszek elfów? - zdziwił się Dolg. - Czy mogę go zobaczyć?

Dostał do ręki skórzany woreczek i rozwiązał sznurek. Powąchał zawartość.

- Ależ, Tsi! - rzekł zdumiony. - I ty to nosiłeś przy sobie? Nie mając pojęcia, co to takiego?

- Poznajesz to? - zdziwił się Marco.

- Czy poznaję? To najpotężniejszy proszek elfów! Wystarczy położyć odrobinę na języku, a można na pewien czas zniknąć. Albo też przywołać do siebie kogo się tylko chce. To może ocalić komuś życie, Tsi. Odłóżcie teraz ten woreczek. Tsi, w przyszłości musisz bardzo na to uważać, bo może nam się naprawdę przydać.

Siska uśmiechnęła się szeroko.

- To znaczy, że nie tylko duchy mogą zniknąć?

- Właśnie tak. A teraz, Sisko, połóż się przy Tsi i wyśpij wreszcie. Ile godzin spałaś przez ostatnie doby?

Siska uśmiechnęła się zażenowana.

- Nie za wiele. Tsi, mogę?

Jego słaby uśmiech powiedział jej wszystko. Siska zsunęła więc buty z nóg i położyła się przy nim.

Mężczyźni wyszli z pokoju, nie bali się, że odbędzie się tu orgia miłosna, na to kochankowie byli zbyt wycieńczeni.

Podróż przez wzgórze trwała. Dość długi czas nie musieli niepokoić się niczym poza, łagodnie mówiąc, nierównym podłożem. Cały górski masyw wydawał się pokryty niedużymi ostrymi blokami skalnymi, a większość chyba uparła się, by zagradzać drogę J2.

Gdy wreszcie stwierdzili, że da się zauważyć pewne nachylenie prowadzące do następnej doliny, a na horyzoncie pojawiły się szczyty kolejnego łańcucha gór, źli władcy rzucili im kolejne wyzwanie, które ani trochę się im nie spodobało, doświadczyli go bowiem już wcześniej.

Ziemista mgła.

Widzieli, jak nadciąga ukradkiem nad równinę od szczytu, który zdaniem wilków był siedzibą władców. Kierowała się w stronę J2.

- Niedobrze - westchnął Faron. - Właśnie taka mgła rozdzieliła nas z J1.

- Racja - przyznał zaniepokojony Ram. - Ciekawe, czy i teraz rzuci się na tamtego Juggernauta. Zlokalizowaliśmy jednak ten pojazd, jeśli więc on znów zniknie.

- Tym razem chyba raczej my znikniemy - stwierdził Faron z ponurą miną. - Mgła nadciąga wprost na nas.

- Nie mamy szans, by się jej wymknąć. Tich już rozglądał się za jakąś inną drogą, lecz inna możliwość poruszania się naprzód nie istnieje. Na Święte Słońce, co my poczniemy?

Po raz pierwszy nie wiadomo od jak dawna zobaczyli, że Dolga ogarnia gniew.

- Nie wolno na to pozwolić. Jeśli ta mgła do nas dotrze, może to oznaczać prawdziwą katastrofę, nie wiadomo, gdzie się wówczas znajdziemy. Teraz albo nigdy. Marco, podejmuję tę walkę.

Patrzyli na niego zdumieni, nic nie rozumiejąc. Dolg jednak sprawiał wrażenie człowieka, który wie, co mówi, i jest zdecydowany na wszystko.

- Jedź naprzód, Tichu, jesteśmy teraz na właściwej drodze, prowadzącej wprost do następnej doliny. Nie pozwól, by cokolwiek cię zatrzymało, ja zajmę się tą mgłą. Otwórz przednie okno.

Tich usłuchał, nie wyglądał jednak na zadowolonego. Przeniknięcie mgły do wnętrza Juggernauta nie mogło skończyć się dobrze.

- Zgaś wszystkie światła - nakazał Dolg. - A wy cofnijcie się.

Zrobili tak, jak sobie życzył. Dolg stanął przy otwartym oknie i czekał, patrząc, jak ciemny pas gęstej mgły zbliża się niczym wysunięta, poszukująca czegoś ręka. Mgła wiła się tam i z powrotem po wyżynie, przekradała wzdłuż zbocza, jakby zdecydowana, że musi odnaleźć wrogów. Intruzów.

Ram drżąco wciągnął oddech, gdy pierwsze macki mgły dosięgły gaśienic Juggernauta. Nie pozwól, by zanadto się zbliżyła, Dolgu, prosił w myśli.

Mgła otoczyła J2 i wzniosła się w górę przed nimi. Wszyscy w wieżyczce i na dole w pojeździe odruchowo cofnęli się jeszcze bardziej. Wszyscy oprócz Ticha, który nie odchodził ze stanowiska dowodzenia. I Dolga, który zdecydowanym ruchem uniósł w górę farangil i głośno wydał rozkaz czerwonemu kamieniowi.

On oszalał, pomyślał Marco, nie wolno wykorzystywać kamieni do zwalczania tego zła, ono je zniszczy! Farangil nigdy nie odzyska swej dawnej przejrzystości!

Dolg jednak dokonał już wyboru, a to on był władcą kamieni.

Farangil zapłonął, krwistoczerwony snop światła przedarł się przez mgłę, która całkiem już oblepiła pojazd. Czerwone promienie były teraz dla Juggernauta niczym gwiazda przewodnia, wskazująca drogę naprzód, a tam gdzie padały, rozlegał się syk, jakby mgła była żywą istotą. Ciemne chmury zwijały się z niechęcią i znikwały. Mieli teraz otwartą drogę, lecz Dolgowi to nie wystarczało. Skierował jeszcze promienie farangila na boki, nie oszczędzał żadnego kłębaka mgły, kazał całej rozwiać się w nicość. Nie ustąpił, dopóki ostatnie jej resztki nie zniknęły.

Potem opuścił ręce trzymające kamień.

- Zamknij okno, Tichu - powiedział spokojnie. - Mamy przed sobą wolną drogę.

Popatrzyli przed siebie w dół, w dolinę.

I tam, na czarnym, spalonym zboczach, przez lornetkę mogli wreszcie dostrzec zagubionego towarzysza: J1.

Dzięki wam, dobre moce, pomyślał Ram, on wciąż tam stoi. Trochę niewyraźny, zamglony, lekko drżący niczym fatamorgana, lecz to oczywiście tylko przez te opary w dolinie, przez wibrujące powietrze.

Ale Indra tam jest, a w tej chwili tylko to ma jakiegokolwiek znaczenie.

13

Na dole w ciemnej dolinie Chor obudził wszystkich pasażerów J1. Zaspani, zataczając się, powychodzili z łóżek z uczuciem, że mogliby spać jeszcze przez wiele godzin. Szczególnie Kiro, który ledwie zdążył się zdrzemnąć. Madrag jednak chciał, by wszyscy zgromadzili się na górze przy stanowisku dowodzenia w wieżyczce.

- Co się stało, Chor? - spytał Jori.

- Popatrzcie tam! Na górę, na szczyt wzgórza!

Wyjrżeli w półmrok przez wielkie okno na przedzie.

Na tle odrobinę jaśniejszego nieba rysowało się coś przypominającego wędrujący blok skalny.

- To J2! - uradowała się Sol. - To J2 jedzie tutaj do nas!

- Tak, ale spójrzcie, co zmierza w stronę naszych przyjaciół.

- To ta przekłeta mgła - mruknął Oko Nocy. - Och, nie, nie chcemy jej tu znów!

- Nieprzyjemnie się zapowiada - stwierdził Chor. - Zauważyli, mam nadzieję, że nadciąga.

- Na to wygląda - pocieszył go Kiro. - Zobaczcie, zatrzymują się.

Jori rozejrzał się dokoła.

- A gdzie Sassa? - spytał.

Popatrzyli na siebie.

- Nie obudziłeś jej, Chorze? - zdziwiła się Indra.

- Wołałem ją po imieniu - odparł Madrag zmieszany. - Ale mi nie odpowiedziała.

- Idź po nią, Jori, przyprowadź tutaj! Ten leniuch pewnie znów zasnął.

Jori wyszedł, ale bardzo prędko wrócił.

- Nie znalazłem jej w łóżku, nie było jej też pod prysznicem.

Rozpoczęło się gorączkowe poszukiwanie. Dosłownie przeczesano całego J1, na jakiś czas dramat rozgrywający się na wzgórzu stracił widzów.

Ale Sassy nigdzie nie było.

- Jak ona może być tak głupia... - zaczęła Sol gwałtownie. Dokończyła jednak spokojniej:

- Nie, ona nigdy nie wyszaby stąd dobrowolnie, przecież wszystkiego się tak boi.

- Niczego nie słyszałem - martwił się Kiro.

- Ja też nie, a przecież trzymałem wartę - dodał Chor. - Ale drzwi otwierają się tak cicho, a nie przypatrywałem się czerwonej lampce, która świeci, gdy się je otwiera.

- Coś musiało ją stąd wywabić - stwierdził Yorimoto. - Oszukać. Ta dziewczynka nie wyruszyłaby samotnie na poszukiwanie przygód.

- Na Boga - mruknął Jori, któremu aż pobiełały wargi. - Co my teraz zrobimy?

Kiro postanowił działać.

- Oko Nocy, Yorimoto, Jori, wyjdźcie zbadać najbliższą okolicę, lecz nie oddalajcie się za bardzo, nie możemy stracić nikogo więcej.

Indrze serce ścisnęło się w piersi. „Nikogo więcej?” To tak, jakby Sassa już...

Sol przerwała jej smutne rozważania.

- A co zrobimy z J2? Czy nie powinniśmy ruszyć im z pomocą?

- Owszem - zgodził się Kiro. - Ale na razie nie możemy opuszczać tego miejsca, musimy tu być na wypadek, gdyby Sassa wróciła.

- A jeśli i nas otoczy mgła? Jeśli powróci tu i znów wyprowadzi nas na manowce?

- Potrafię temu zapobiec - zdecydowanie oświadczył Chor i pociągnął za jakieś dźwignie. Natychmiast solidne, ostro zakończone pale ze stali wbiły się w ziemię, w ten sposób kotwicząc Juggernauta.

- Niech się strzeże ten, kto ośmieli się go przemieścić!

Okno Nocy, Jori i Yorimoto już wyszli na poszukiwanie Sassy. Słychać było, jak się nawołują. Sol chciała się do nich przyłączyć jako duch, któremu łatwiej się poruszać, lecz Kiro ją zatrzymał. Czarownica, wzruszona jego troskliwością, została we wnętrzu pojazdu. Obserwowali dramat rozgrywający się na wzgórzu i widzieli, jak krwistoczerwone błyski zmusiły mgłę do odwrotu, a potem zdlawiły.

- To farangil - cierpko powiedziała Indra. - Doskonale wywiązuje się z zadania, jak widzę. Ale Dolg nie powinien go używać.

- Prawdopodobnie nie mieli innego wyjścia - orzekł Kiro.

Pewnie tak, również oni musieli to zrozumieć.

Trzej mężczyźni wrócili do pojazdu. Nigdzie nie natknęli się na żaden ślad Sassy, lecz Oko Nocy wytropił co innego:

Obrzydliwe, cuchnące ślady nieznanego istoty, która kręciła się wokół Juggernauta. Kolejne ślady wskazywały na to, że owa istota oddaliła się skokami, i to ze sporym ciężarem.

Było więc tak, jak przypuszczał Yorimoto. Sassa została wywabiona z Juggernauta i uprowadzona.

- Jak zdołamy powiedzieć o tym Marcowi? - cicho spytał Oko Nocy.

Dobrowolnie zgłosił się do wytropienia tego, kto uprowadził dziewczynkę.

Podziękowali mu, Oko Nocy bowiem to właściwa osoba do tropienia śladów, lecz jednocześnie obudziło się w nich wiele wątpliwości. Indianin był wszak wybranym, tym, który miał udać się do źródła jasnej wody. Co będzie, jeśli on również zniknie?

- Czy nie powinniśmy poczekać na pozostałych? - zaniepokoił się Chor.

Wyjrzeli przez okno. Przez moment nie mogli dostrzec J2, bo grzbiet wzgórze zasłaniał widok, przypuszczali jednak, że upłynie trochę czasu, zanim drugi Juggernaut do nich dotrze. Jeśli w ogóle to się stanie, wyglądało na to, że wróg przygotował kolejne zasadzki.

- Nie mogę czekać zbyt długo - oświadczył Oko Nocy, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. - Ślady wystygną.

- Pójdę z tobą - postanowiła Sol.

- Nie! - spontanicznie zaprotestował Kiro, a Sol, dziękując mu za to, odruchowo pogłaskała go po rękę.

- Owszem - powiedziała stanowczo. - Przyda mu się ktoś, kto zna parę czarodziejskich sztuczek.

Inni także uważali, że to dobry pomysł, Kiro musiał więc ustąpić. Ale na zadowolonego nie wyglądał.

Jakiś ty słodki, pomyślała Sol, wychodząc z pokoju. Można by się w tobie prawie zakochać. Ale nie należy się zakochiwać tylko dlatego, że ktoś się zaczyna tobą interesować. Trzeba kierować się własnymi uczuciami, a nie uczuciami tej drugiej strony. Gdy jednak wyszła za Okiem Nocy w pograżoną w mroku dolinę, wciąż miała przed oczami zatroskaną twarz Kira. Musiała przyznać, że gdyby się zdecydowała na niego, nie byłby to wcale niemądry wybór.

A wszystkie te rozterki wynikały stąd, że Sol z Ludzi Lodu tak dotkliwie się sparzyła w swoim ziemskim życiu. Całą zimę mieszkała z młodym Klausem, lecz wcale nie dlatego, że go kochała. On ją wręcz ubóstwiał, a jej żal się zrobiło sympatycznego, nieszczęśliwego parobka, który okazał się zresztą doskonałym towarzyszem łóżkowych zabaw. Wydawało jej się, że zakochała się w przystojnym szlachcicu, lecz po gorącej miłosnej nocy odkryła, kim był: człowiekiem, który zniszczył niemal cały ród Ludzi Lodu. Przybiła go widłami do ściany szopy, ogarnięta szalonym gniewem, jakiego nigdy przedtem nie czuła. Z Jacobem Skille tylko się bawiła, o żadnych uczuciach z jej strony nie mogło być mowy. A jeszcze gorsza była krótka noc spędzona z katem, bo wtedy odcięła się od wszelkich uczuć.

Nie, Sol naprawdę niewiele wiedziała o miłości i dlatego teraz postanowiła zachowywać ostrożność. Musiała mieć całkowitą pewność, że wszystko jest takie jak być powinno, i chciała naprawdę się zaangażować w związek z człowiekiem, którego wybierze.

Jeśli w ogóle kiedyś kogoś takiego znajdzie.

Rzuciła jakąś żartobliwą uwagę, roześmiała się beztrąsko i wraz z Okiem Nocy zniknęła w głębszym mroku w dolinie.

Ram wyglądał przez okno J2. Wypatrywał Juggernauta, w którym przebywała Indra. Znajdowali się teraz na dnie wielkiej doliny i kierowali się w stronę czarnego zbocza. Od pewnego już czasu pozwolono im jechać w spokoju, na drodze nie wyrastały żadne nowe przeszkody. Dlaczego tak jest, zastanawiał się, czyżby wróg tak łatwo się poddawał?

Nie mógł w to uwierzyć i dlatego właśnie bardzo się niepokoił. Tak blisko przyjaciół - i Indry, chyba z tego powodu ogarnął go strach. Teraz wszystko toczyło się zbyt gładko.

Okружиłi wielkie wzgórze i zobaczyli J1! O wiele bliżej, niż się tego spodziewali.

Stał jednak tak, jak widzieli go z góry, jak gdyby w niewidzialnym paśmie mgły, sprawiającej, że przypominał drgającą fatamorganę. W słoneczne, lecz mgliste dni zdarza się niekiedy, że wysepki czy łodzie zdają się drgać w powietrzu uniesione nieco nad powierzchnię morza. Różnica polegała tylko na tym, że tu nie było przecież słońca, jedynie czarne cienie w ciemnej szarości.

Ale J1 tam był. Był tam naprawdę.

On jest pusty, pomyślał Ram, by nie dać się zaskoczyć rozczarowaniu. Pusty i opuszczony, inaczej nigdy nie pozwolono by nam się do niego zbliżyć. Albo też... Albo wszyscy leżą w środku, martwi.

Serce zadudniło mu w piersi, tak wielkie znaczenie dla niego miała możliwość porozmawiania z Indrą, powiedzenia jej, że wolno im już być razem. Ofiarowanie jej całej jego niczym nie skrzepowanej miłości. Równie ważne było oczywiście stwierdzenie, że wszyscy pasażerowie J1 są cali i zdrowi, usłyszenie ich głosów, połączenie się z nimi i na powrót utworzenie kompletnej grupy. Akurat teraz to było najważniejsze. Jasne źródło i wszystko inne musiało poczekać. Teraz najistotniejsi byli ludzie, za których on był odpowiedzialny. Owszem, nazywał ich ludźmi, choć przecież w tamtej grupie znajdował się Lemuryjczyk, Madrag i duch czy też częściowy duch, bo przecież nie wiadomo, kim czy też czym była obecnie Sol i jak należało ją nazywać.

Nagle poczuł, że drży na całym ciele.

Już za kilka chwil...

Och, nie, byle nie pojawiły się teraz żadne kolejne przeszkody, nie wytrzyma tego dłużej! I nagle, nagle spostrzegł, że zapalają się reflektory J1. Trzy niespieszne błyski, jasne, rozedrgane w tej zdumiewająco niewidzialnej mgle.

W J2 zapanowała ogólna radość, a Tich również zapalił swoje światła i mrugnął w odpowiedzi.

A więc oni żyją, żyją! powtarzał Ram w myśli, czując, jak mocno bije mu serce. Lecz ilu ich zdołało przeżyć?

Przez głowę przemknęła mu krótka, lecz straszna myśl, że przecież światła J1 mogły włączyć owe okropne potwory, niewolnicy Gór Czarnych, że zdobyły one Juggernauta, zabiły wszystkich na jego pokładzie, a teraz jeszcze chciały wciągnąć w pułapkę pozostałych intruzów.



Ale nie, tak wcale nie jest, stwierdził, głęboko wzdychając z ulgą.

Z Juggernauta wyszli bowiem przyjaciele, wszyscy ci, za którymi tak gorąco tęsknili i o których tak strasznie się bali. Ale czy na pewno wszyscy? Kogoś wśród nich chyba brakowało?

I wyglądali tak dziwnie w tej drżącej mgłę, przypominali wibrujące, niewyraźne słupy energii, wydawali się bezcieleśni niczym poruszające się skrzydła motyla.

Ale przecież ich poznawał! Zapewne staną się coraz wyraźniejsi w miarę, jak będą się do nich zbliżać.

To Kiro, co do niego nie można się pomylić. Kiro, stary przyjaciel, który niedawno awansował, znał go przecież od tak wielu lat.

Jest też Jori, dzięki Bogu! I Indra! Ramowi dech z radości zaparło w piersiach, ogarnęła go nagła radość na widok dziewczyny. Znow poczuł, jak bardzo ją kocha, każdy najdrobniejszy nawet w niej szczegół, każdy gest. Jest i Yorimoto. I Chor wychodzi, a przecież on tak niechętnie opuszcza swoją maszynę.

A za nim?

Nikt więcej już za nim nie idzie?

Gdzie się podziała Sol? Gdzie Sassa i Oko Nocy?

Za serce znow ścisnął go strach.

Ale z J2 wszyscy już z wyjątkiem Tsi i Siski gromadą rzucili się na powitanie przyjaciół.

Ram był jednym z pierwszych.

Przez chwilę widział tylko Indrę, ona też biegła w jego stronę. Dlatego nie słyszał okrzyku zdumienia i lęku, wydobywającego się z ust tych, którzy zdołali go wyprzedzić i już spotkali tamtych. Dotarło to wprawdzie do jego podświadomości, lecz nie mógł oderwać oczu od Indry.

Dobiegli wreszcie do siebie, Ram wyciągnął ręce do dziewczyny - i na tym koniec. Indra wciąż była niewyraźna niczym słup energii.

Zatrzymał się o centymetr od jej rąk. Patrzyli na siebie przerażeni, radość z wolna zmieniała się w przeogromne zdumienie. Spojrzeli na innych i stwierdzili, że ten sam fenomen dotyczy również ich. Ram spostrzegł, że Indra woła go po imieniu, mówi też coś jeszcze, lecz nie docierał do niego żaden dźwięk. I on coś do niej powiedział, lecz dziewczyna z rozpaczą pokręciła tylko głową, nie słyszała go.

Marco stanął przy Ramie i bezbarwnym głosem oświadczył:

- Mieliśmy rację, oni znajdują się w innym wymiarze! Cieszymy się jedynie z tego, że nie możemy przenikać się nawzajem na wskroś. To byłoby już zbyt groteskowe.

Ram popatrzył na Indrę i poczuł, że płacz dławi go w gardle. Tak blisko! A mimo to dalej, niż gdyby znajdowali się każde na innym kontynencie. To dlatego nie mogli nawiązać łączności telefonicznej ani radiowej z J2. Nie potrafiły tego nawet duchy, ani Marco czy Dolg za pomocą telepatii.

Przez moment Ram zastanawiał się, która z grup znajduje się w zwykłym rzeczywistym wymiarze, a która w tamtym, nieznanym. Postanowił wreszcie spytać Marca.

- To oni są w jakimś obcym wymiarze.

- Dobrze, ale w jakim? W czym możemy wybierać, nie bardzo się na tym wyznaję.

- Nic ci o tym nie powiem. Istnieje wiele wymiarów, na przykład wymiar zmarłych, poza tym wymiar upiorów, duchów opiekuńczych, stworów należących do podziemnego świata i wiele, wiele innych ułożonych według hierarchii. Nie potrafię powiedzieć, w jakim wymiarze przebywają nasi przyjaciele, lecz właśnie to, że widzimy ich w postaci skupisk energii, dowodzi, że opuścili ten świat. Mam gorącą nadzieję, że tylko na pewien czas.

- A w jaki sposób ściągniemy ich z powrotem?

Marco popatrzył na niego z żalem w niezwykle pięknych oczach.

- Nie wiem tego, Ramie, doprawdy, nie wiem tego.

Ram, bliski rozpaczy, rozejrzał się wkoło. Spostrzegł, że Tich bez powodzenia usiłuje nawiązać kontakt z Chorem, że Faron woła do Kira: „Gdzie reszta? Gdzie Oko Nocy, nasza wielka nadzieja? I Sol? I mała Sassa?” Kiro odparł coś, chyba po prostu: „Nie słyszę”, a Ramowi wydało się, że Jori po drugiej stronie wypytuje o Siskę i Tsi. Niestety, przez niewidzialny mur rozdzielający oba wymiary nie zdołał przeniknąć żaden dźwięk. Zrozpaczona twarz Indry, zamglona, jakby wykrzywiona, będąca przecież tylko skupieniem energii... Jego próby, by dosięgnąć jej rąk, bez powodzenia...

Ram zanurzył palce w czarne włosy. W tym momencie bliski był rezygnacji ze wszystkiego.

Przecież to on był odpowiedzialny za uczestników ekspedycji, a nie dość, że kilkorga brakowało, to jeszcze pozostali nie mogli do siebie dotrzeć.

Czy można mówić o mniej udanej wyprawie do tej piekielnej krainy?

14

- Nie! - zawołała Sassa po norwesku. - Nie, nie możecie być aż tak okrutni! Sama zniosę wszystko, jestem pewna, ale tego nie wytrzymam! To takie niesprawiedliwe wobec niewinnych istot!

Tak samo jak Bóg postąpił wobec Hioba, pomyślała. Albo wobec Abrahama. Pozwolił, by ci niewinni ludzie cierpieli tylko po to, żeby się przekonać, czy mają w sobie dość bojaźni bożej.

Prześladowcy, nie rozumiejąc, co mówi Sassa, nie zważali na jej protesty. Zresztą zapewne w żadnych okolicznościach by się nimi nie przejęli.

Podczas gdy głęboki blask ognia płonął w pomieszczeniu, Nardagus oświadczył ponuro:

- Przekonamy się, czy nie rozumiesz po angielsku, ty niemądre stworzenie! Powiedz nam, kto z was jest w posiadaniu tak potężnych mocy?

Do swych kompanów zaś zwrócił się w ich własnym języku, sądził bowiem, że mogą się nim posługiwać swobodnie, gdyż Sassa go nie rozumie.

- Jeśli poznamy jego imię, będziemy mogli go unicestwić, wykorzystując magię imienia.

Nie macie pojęcia, jak wielu z nas posiada takie zdolności, pomyślała Sassa przez krótką chwilę triumfu, która jednak prędko minęła. Ach, Marco, Dolgu i wszyscy inni, co mam robić? Nie chcę was przecież zdradzić, ale to...

Jeden z niewolników z grymasem zadowolenia na wstrętnym obliczu przyniósł drewnianą klatkę. Leżała w niej kotka z czterema prześlicznymi, rozbawionymi kłębuszkami.

Potwory nie były na tyle głupie, by i tym razem wykorzystać Huberta Ambrozię, Sassa już by się na to nie nabrała. W dodatku wizja jej ukochanego kota przywołana została tylko i wyłącznie dzięki jej własnej tęsknocie. To był inny kot.

Sassa doskonale wiedziała, co zamierzają zrobić. Na poręczy jednego z krzeseł zmontowali szubienicę i zamierzali kolejno wieszać kocięta na oczach ich nieszczęsnej matki i oczywiście Sassy.

- Nie spieszcie się, niech trochę pocierpią! - ożywiła się kobieta. - Przeciągajcie czas, ta mała gęś musi w końcu przemówić po angielsku, a wtedy już ją będziemy mieli. Choć zupełnie tego nie rozumiem, ona ubóstwia koty. I w związku z tym prędzej czy później zacznie mówić.

Niewolnik z chichotem wyciągnął jednego kociaka z klatki. Sassa usiłowała wyrwać mu kotka, podejmując beznadziejną próbę uratowania zwierzątka, lecz niewolnik jej na to nie pozwolił. Upatrzył sobie tego kociaka na pierwszą ofiarę.

Ach, tak się przygotowywałam, zniosłabym ich tortury, czuję, że jestem silna, chociaż przez cały czas byłam tylko zapłakaną beksą. A teraz oni wymyślili coś takiego! Nie chcą skrzywdzić mnie, tylko te małe niewinne stworzenia, nie zniosę tego, nie zniosę!

Kotkom nie pomogłoby również, gdyby zamknęła oczy albo odwróciła głowę, by nie patrzeć na ich cierpienie. To zresztą oznaczałoby pełną zdradę. Owszem, Sassa była tchórzliwa, ale zwierzęta kochała nade wszystko. Nigdy nie mogłaby zdradzić zwierzęcia. Ani też swoich przyjaciół.

Co więc robić?

Kociakowi założono pętlę na szyję. Zwierzątko pisnęło.

- Przestańcie! - Sassa w rozpaczce zawołała po norwesku. - Będę mówić!

Sol niekiedy ogarniała irytacja na Oko Nocy. Uważała, że zbyt wiele czasu poświęcała na zlokalizowanie śladów oddalających się od Juggernauta. Oczywiście rozumiała, że konieczne jest zdobycie całkowitej pewności co do tego, czy są na właściwej drodze.

- Na szczęście te ślady cuchną - mruknął Oko Nocy do drepczącej z niecierpliwości czarownicy. - Łatwo jest po nich iść.

To dlaczego nie przyspieszasz, chciała już prychnąć Sol, miała jednak dość rozumu, by cierpieć w milczeniu. Ona sama nie była w stanie odnaleźć żadnych śladów ani za pomocą węchu, ani wzroku.

Ale Oko Nocy był w tym akurat doskonały.

Sol zatroskana zorientowała się, jak bardzo się już oddalili od J1. Indianin miał małą kieszonkową latarkę, jej wąski snop oświetlał jałową pustą ziemię. Nie było na czym zatrzymać wzroku.

Oko Nocy podniósł głowę.

- Nie podoba mi się, że idziemy w tym kierunku.

Sol także nie była zachwycona. Przed nimi wznosiła się wielka góra, ta, którą zaczęli nazywać „Górą Złą”. Nie wróżyło to niczego dobrego.

- J2 dotarł już na pewno do J1 - powiedziała cicho.

- Tak, chciałbym, abyśmy i my tam byli. Razem z Sassą.

- Oczywiście. Nie poddamy się, dopóki jej nie odnajdziemy.

- Zatrzymaj się - szepnął Oko Nocy. - Popatrz!

Zaświecił latarką. Teraz już także Sol zobaczyła jamę w ziemi.

- Ślady kończą się tutaj - stwierdził Oko Nocy. - I... - skrzywił się. - Cuchnie tu więcej niż jednym śmierdzącym futrem. To na pewno jedno z ich wejść.

- Sądziłam, że musimy się dostać na szczyt góry.

- Mnie też się tak wydawało, ale chyba jest inaczej. Starczy nam odwagi?

Sol zastanowiła się przez moment. Znajdowali się u stóp Złej Góry, prawdopodobnie korytarz prowadził do jej wnętrza.

- Skoro chodzi o uratowanie Sassy, to starczy.

Oko Nocy skinął głową i poświecił w dół. I słusznie, w dziurze ukazały się jeśli może nie schody, to przynajmniej zaokrąglone kamienie, które w ostateczności mogły służyć za stopnie.

Szedł pierwszy, Sol zaraz za nim. W jamie smród stał się wprost trudny do zniesienia.

- Czyżby oni używali tej dziury jako pisuaru? - szepnęła czarownica, ale Oko Nocy zaraz ją uciszył. Musieli być bardzo ostrożni.

Szli teraz po jako tako płaskim podłożu, znaleźli się widać na samym dole. Stamtąd kamienne schody prowadziły w górę.

Popatrzyli na siebie. Mogli się tu widzieć, bo w tym korytarzu płonęły niewielkie pochodnie, sporządzone z marnie wyglądających gałązek i śmieci.

- Ktoś tędy czasami chodzi - zauważył Oko Nocy nieswoim głosem. - Ktoś utrzymuje życie tych mizernych światel. Prędko, trzeba się spieszyć!

- To prawda, bo tu nie bardzo jest się gdzie schować - przyznała Sol. - Co powiesz na propozycję, abyśmy sforsowali te schody?

- A czy mamy jakiś inny wybór?

Oboje byli młodzi i silni. Z łatwością pobiegli w górę po niezliczonych stopniach, których zdawało się przybywać z każdą chwilą. W końcu nawet oni, Sol i Oko Nocy, musieli przystanąć i odpocząć.

- Jesteśmy już bardzo wysoko - powiedziała Sol zdyszana.

- Tak. Pamiętasz drzwi, które zauważyliśmy po drodze? Nie podobały mi się, dlatego tam nie weszliśmy. Zbyt mocno cuchnęły tymi potwornymi niewolnikami.

- Ale jeśli Sassa...?

- Wydaje mi się, że ona jest zbyt ważna, by umieszczano ją w tak podłym miejscu. Poza tym wciąż pamiętam zapach naszego nieprzyjaciela, który ją uprowadził. Pachniał bardzo specyficznie. Ktoś zresztą się do niego przyłączył.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - Sol nie kryła podziwu.

- Indianin musi nauczyć się takich rzeczy. Zapewniono mi także dodatkową pomoc tamtej nocy, gdy przebywałem w Ciemności, by stać się mężczyzną. Starszyzna plemienia twierdzi, że zostałem wtedy obdarzony specjalnymi zdolnościami.

- O, w to chętnie uwierzę.

- Pst! Czy coś nie...

- Tak, coś pod nami, chodź! Musimy iść dalej w górę!

Za późno jednak. Na schodach poniżej ukazali się jacyś niewolnicy, a jednocześnie tuż nad ich głowami otworzyły się drzwi, z których wyłonili się kolejni, tak więc wszelką drogę odwrotu mieli odcięta.

- Wybacz mi, że zniknę, ale w taki sposób funkcjonuję najlepiej - mruknęła Sol.

Oko Nocy nie widział, co robiła, dostrzegł natomiast rezultat. Ohydne bestie jedna po drugiej zginały się wpół, chwiejnie osuwały w tył lub po prostu waliły się jedna na drugą. On sam usiłował strząsać z siebie tych napastników, którzy go zaatakowali i próbowali udusić. Walczył zaciekle, wspomagany przez niewidzialną Sol.

Ale horda strażników napływała całym strumieniem i wreszcie nawet czarownica musiała się poddać.

- Oko Nocy, masz, połknij to, a przeżyjesz do mego powrotu. Sprowadzę pomoc, wydaje mi się, że zdołam dotrzeć do naszych przyjaciół z J1, choć pewnie nie nawiążę kontaktu z potężnymi z J2, z Markiem i duchami. Wytrzymaj!

Oko Nocy przyjął to, co wsunęła mu do ręki, i podniósł do ust. Miał wrażenie, że to jakieś wysuszone rośliny. Ktoś uderzył go w rękę, mało więc brakowało, by zgubił drogocenne okruszki, ale wreszcie zdołał jakoś je połknąć. Ufał Sol i jej znajomości czarów.

Teraz jednak został całkiem sam. Nie miał żadnej możliwości obrony i niewolnicy triumfalnym pochodem poprowadzili go w górę schodów.

Sol ku swej radości odkryła, że może przenieść się wprost do J1. Tam jednak czekał ją wielki wstrząs.

Zobaczyła, że J2 dojechał do J1, ale przyjaciele stoją po dwu stronach niewidzialnego muru, nie mogą się dosięgnąć.

- Wielki świecie, co tu się stało? - spytała Kira.

- Znajdujemy się w innym wymiarze już od momentu, gdy rozdzieliliśmy się z nimi w tunelu, oni nie mogą do nas dotrzeć.

- My? A skąd wiadomo, że nie oni?

- Nie, to my. Oni widzą nas tylko jako skupiska energii, ale udało nam się z nimi skomunikować za pomocą gestów i czytania z ust. A co ty tu robisz, gdzie Oko Nocy?

- Pojmany. - Sol wyrzucała z siebie słowa z oszalełą prędkością, bo liczyły się sekundy. - Dałam mu czarodziejski środek, żeby przeżył bez względu na to, co będą z nim robić. Poza tym został pobłogosławiony przez Święte Słońce, na pewno więc przetrwa, ale musimy go ratować, przeciwników było zbyt wielu jak dla mnie.

- A co z Sassą?

- Nie zdążyliśmy jej odnaleźć. Zaprowadzono ją do wnętrza Góry Zła. Właśnie tam szliśmy, gdy zaskoczyła nas wataha strażników. Oko Nocy wprost fenomenalnie wytopił jej prześladowcę.

Kiro zawołał do siebie przyjaciół z J2.

Zawołał? Dał znak, by podeszli.

Potem, artykułując głoski tak wyraźnie, jak tylko potrafił, przekazał im wszystko, co opowiedziała mu Sol. Wiedzieli już, że Sassa została uwięziona, a Oko Nocy i Sol usiłowali ją odnaleźć.

Marco zaczął dyskutować z Dolgiem, Faronem i Ramem. Potem odwrócił się do Kira i Sol, wszyscy pozostali pasażerowie obu Juggernautów zebrali się wokół nich, przejęci i wystraszeni.

- Największy problem tkwi w tym, że nie możemy się do was dostać - Marco starał się mówić jak najwyraźniej. - A wobec tego nie zdołamy też dotrzeć do Sassy ani do Oka Nocy. Heike i pozostałe duchy uważają, że być może są w stanie przenieść się do sal we

wnętrzu Złej Góry, lecz i tak w niczym nie pomogą, dopóki nie będą mogli przedostać się do naszych uwięzionych przyjaciół, a ponieważ my nie możemy przejść w ich wymiar, one także nie potrafią stwierdzić, gdzie przebywają Sassa i Oko Nocy.

Wszyscy pokiwali głowami.

- Musimy przełamać tę barierę - stwierdził Kiro. - Ale w jaki sposób?

Po obu stronach zapadła cisza.

Wreszcie Dolg rzekł po namyśle:

- Tsi-Tsungga.

Popatrzyli na niego zdziwieni.

- Tsi? - zdumiał się Armas. - On przecież leży w śpiączce.

- Właściwie nie jego miałem na myśli, tylko proszek elfów, który kiedyś dostał. To niezrównanie potężny środek.

Sol poprosiła, by mówił wyraźniej. Dolg powtórzył więc wszystko, by jego słowa dotarły również do przyjaciół po drugiej stronie.

- Co to za proszek elfów? - dopytywała się Sol.

Marco zmarszczył brwi.

- Można zniknąć, gdy się odrobinę położy na języku? Do czego może nam się to teraz przydać?

- Myślałem o jego drugiej właściwości. O tym, że można dzięki niemu przyciągnąć do siebie, kogo tylko się chce.

- Na przykład?

Dolg zwrócił się do Sol:

- Jak sądzisz, do kogo z nich jest łatwiejszy dostęp, do Oka Nocy czy do Sassy?

- O Sassie nie wiem nic, ale co do tego, że Oko Nocy poddawany jest teraz najstraszniejszym torturom, nie mam żadnych wątpliwości. Dlaczego my tak tu tylko stoimy? Czy nikt nie potrafi go ocalić?

- Pobiegnę i przyniosę proszek od Tsi - powiedział Dolg. - A potem za jego pomocą spróbujemy ściągnąć tu Indianina. A zresztą, to osobisty proszek Tsi, on dostał go od elfów, dlatego zapewne tylko on może się nim posługiwać. Sol, pójdiesz ze mną, postaramy się, żeby Tsi na tyle się obudził, żeby...

- Przecież ja nie mogę przejść do ciebie, bo znajduję się w jakimś bardzo wyjątkowym wymiarze!

- Ach, oczywiście, przepraszam! Marco, pójdiesz ze mną?

Obaj czym prędzej pobiegli do J2, do pomieszczenia, w którym leżał chory Tsi. Siska, siedząca na krześle przy łóżku, zdumiona podniosła głowę. Najwyraźniej trochę się przespała, wyglądała teraz bardziej świeżo, sprawiała też wrażenie nieco weselszej.

Dolg prędko wyjaśnił, co się dzieje, wytłumaczył jej też swój pomysł z proszkiem, należącym do Tsi i mogącym być może ocalić któreś z zaginionych.

- Można z nim rozmawiać - szepnęła dziewczyna. - Ale wolałam tego nie robić, chciałam, by jak najwięcej odpoczywał.

- Doskonale - ucieszył się Dolg.

Przysiadł na łóżku Tsi, wyjął skórzany woreczek z proszkiem elfów, a potem wolno i wyraźnie zaczął przemawiać do rannego:

- Wiem, jak powinieneś tego używać - powiedział na koniec. - Nie wolno kłaść ziarenka na języku, jak wtedy, gdy chce się stać niewidzialnym. Trzeba położyć trzy drobiny na piersi nad sercem, musisz je potem nakryć dłonią i wezwać Oko Nocy. Spróbujemy zacząć od niego, łatwiej go odszukać. Sol opisała miejsce. Oko Nocy jest prawdopodobnie za jakimiś drzwiami w głębi Złej Góry, za czwartymi drzwiami, licząc od dołu. Ona co prawda tylko zgaduje, lecz musimy to wypróbować. Czy widzisz jakieś zimne cuchnące stopnie z kamienia? Bardzo słabo oświetlone?

Tsi leżał z zamkniętymi oczami, z wielkim wysiłkiem wyszeptał wreszcie „tak”.

- Podejdź teraz do czwartych drzwi i stamtąd wezwij Oko Nocy, poproś, by tu przyszedł.

- Nie - przerwał mu Marco. - On tu nie może przyjść, znajduje się wszak w innym wymiarze. Poproś, by przyszedł do J1.

- Oczywiście.

Obaj nie byli niczego pewni. Jeśli telepatia Marca, Dolga czy duchów nie potrafiła zadziałać poprzez wymiary, to jak mógł tego dokonać proszek elfów?

Ale próbę podjąć musieli. Dolg ostrożnie wyjął trzy ziarenka ze skózanego woreczka i położył je na piersi Tsi. Potem podniósł dłoń leśnego elfa i nakrył je nią.

- Teraz twoja kolej, Tsi. Zażycz sobie, aby Oko Nocy powrócił do J1.

Tsi-Tsungga cichym głosem wydusił z siebie te słowa.

A więc stało się, czekali.

- Wyjdę się rozejrzeć - cicho powiedział Marco.

Pospieszył do niewidzialnego muru i stamtąd zawołał do Kira:

- Czy Oko Nocy wrócił?

Cała szóstka po drugiej stronie pokręciła głowami.

Marco wypuścił powietrze z płuc. Westchnął ciężko, rozczarowany.

Z rezygnacją wrócił do pokoju chorego.

- Nie udało się - oznajmił bezbarwnie.

Dolg i Siska spuścili głowy. Podjęli próbę, teraz nie wiedzieli już, co robić.

Tsi próbował coś powiedzieć.

- Co takiego, Tsi?

Leśny elf zdołał wydusić z siebie:

- Może to źle? Może tutaj?

- Chcesz powiedzieć, że powinieneś przywołać go do siebie, nie w jakieś inne miejsce? - spytał Dolg.

- Tak.

Popatrzyli na siebie zniechęceni. Nie chcieli odbierać Tsi nadziei, opowiadać o nieprzebytych murach, rozdzielających wymiary.

- Spróbuj - zdecydował z westchnieniem Marco.

No cóż, jeszcze jedna próba nie zawadzi.

Wargi Tsi-Tsunggi ułożyły się w słowa: „Oko Nocy, przybądź do mnie”.

W pokoiku zapadła cisza.

Jak długo powinniśmy czekać, zanim powiemy Tsi, że to do niczego nas nie doprowadzi? zastanawiał się Marco.

Nie zdążył jednak dokończyć tej myśli, bo w maleńkim pokoiku zrobiło się nagle bardzo ciasno. Pojawił się w nim jeszcze jeden człowiek.

- Oko Nocy! - wykrzyknęli wszyscy troje naraz. - Tsi, udało się!

A Marco dodał:

- Udało się też coś więcej, Oko Nocy przedostał się do innego wymiaru, rozumiecie chyba, co to znaczy.

Patrzyli na zmaltretowanego, zakrwawionego, poranionego Indianina, który wciąż jeszcze nie mógł pojąć, co się dzieje, i z wielką ulgą stwierdzili, że nie otacza go żadna rozedrgana mgiełka. Oko Nocy definitywnie powrócił do ich bardzo normalnego wymiaru.

15

- Wobec tego próbujemy teraz z Sassą - oświadczył Dolg rozjaśniony, kiedy już wytłumaczyli Oku Nocy, w jaki sposób odbyły się te przenosiny z prędkością błyskawicy. I Indianin podziękował Tsi gorąco za ocalenie go z rąk żądnych mordy strażników. Na pobladych wargach Tsi-Tsunggi dostrzegli coś w rodzaju uśmiechu.

- Nie - odparł Oko Nocy. - Chyba z Sassą wam się nie uda, bo o ile dobrze zrozumiałem, wiedzieliście mniej więcej, gdzie mnie szukać.

- To prawda - przyznał Marco. - Dzięki Sol mogliśmy cię niemal doskonale zlokalizować.

- Lokalizacja w istocie była doskonała - uśmiechnął się Oko Nocy, podczas gdy Dolg zajmował się jego ranami. - Jedna z tych bestii akurat podniosła nade mną topór, zdążyłem jeszcze zobaczyć uśmiech baraniego zdumienia na jej gębie i zaraz potem z hukiem zniknąłem. W następnej chwili znalazłem się tutaj. Mówi się o samolotach ponaddzwiękowych, a ja miałem do czynienia z lataniem z prędkością światła.

- Tak jak poruszają się elfy - mruknął Dolg. - Ale dlaczego twoim zdaniem nie możemy spróbować z Sassą?

- Ponieważ nie wiemy, gdzie jest. Możemy zgadywać, że przebywa gdzieś w jakimś miejscu powyżej tego, w które ja trafiłem, ale to zbyt mało. Musisz wiedzieć, gdzie masz jej szukać, prawda, Tsi?

Elf ziemi miał kłopoty z odpowiedzią, lecz Dolg potwierdził to, co Tsi usiłował z siebie wydusić.

- Owszem, masz rację. Jeśli chodziło o Oko Nocy, otrzymaliśmy konkretne informacje. Czwarte drzwi od dołu. Nie wiemy, jak wygląda wyżej wewnątrz Góry Zła.

- A więc dobrze, spróbujemy najpierw z innymi - oświadczył Marco niecierpliwie. - Trzeba jak najprędzej dotrzeć do Sassy. Może ktoś z nich nam pomoże, na przykład Sol. Spróbuj sprowadzić tu J1, Tsi!

Nie było to proste zamówienie. Najpierw zamierzali wyjaśnić elfowi, gdzie znajduje się J1 z resztą przyjaciół, lecz to okazało się zbyt kłopotliwe. Mężczyźni zabrali więc nosze z Tsi i wynieśli go do czarnej doliny, tak by sam mógł ją zobaczyć. Dolg uprzednio zaaplikował mu porcję promieni szafiru, by zdołał znieść taki wysiłek. Siska jak zwykle nie odstępowała go nawet na krok. A jej obecność jakby dodawała mu sił.

Tsi szepnął z wysiłkiem:

- Czy mam wezwać tu całego Juggernauta?

Zrozumieli jego wahanie.



- Nie, nie musisz, przynajmniej na początku - odparł Marco. - Jeśli sprowadzisz tylko ludzi, którzy tam się znajdują, jakoś poradzimy sobie z resztą.

Dolg jednak zaprotestował.

- A w jaki sposób sprowadzimy tu później J1? Nie, musimy zająć się wszystkim naraz. Przejął dowództwo w sposób dość naturalny, ponieważ to on najwięcej wiedział o elfach i ich możliwościach.

Umieścił Tsi tuż przy niewidzialnym murze, rozdzielającym wymiary, i wszyscy z J1 i z J2 stanęli po obu jego stronach. Potem Dolg poprosił załogę J1, by weszła do swego Juggernauta, a gdy już to zrobili, wyjaśnił Tsi, co powinien mówić. Elf miał poprosić o to, by wszyscy przeniknęli mur we wnętrzu J1, tak by i pojazd przeniósł się na drugą stronę.

- To brzmi całkiem jak szaleństwo - stwierdził Armas, kręcąc głową.

- Ale to nasza jedyna szansa - powiedział Dolg. - Tsi, jesteś gotowy?

Elf skinął głową.

Dolg tak ułożył zaklęcie, by nie musieli się przemieszczać, tylko po prostu powrócić do wymiaru Tsi.

Wreszcie Tsi-Tsungga szeptem wypowiedział rozkaz.

Rozległ się huk, który przeciągłym, grzmącym echem poniósł się przez dolinę.

Potem zapadła cisza.

- Jest całkiem wyraźny - szepnął Dolg, patrząc na J1.

Otworzyły się drzwi pierwszego Juggernauta i jego pasażerowie wysiedli. Widać ich było teraz całkiem normalnie. Tylko niektórzy wciąż przyciskali ręce do uszu.

- Tsi, czy naprawdę konieczny był taki hałas? - śmiała się Indra.

Wszyscy jej zawtórowali.

Już w następnym momencie Indra padła w ramiona Ramowi. Mówili jedno przez drugie, chcąc powiedzieć sobie to, co oboje już wiedzieli: mogą się kochać tak, jak tylko chcą.

- Tsi, jesteś fenomenalny! - oświadczyła Sol i mocno go ucałowała.

- Już, już! - dobrodusznie łajała ją Siska. - Zostaw choć trochę dla mnie!

- On jest twój, wszyscy już się z tym pogodzili - odparła Sol. - Ale teraz trzeba myśleć o Sassie. Co robimy?

Rozwiązanie było prostsze, niż im się wydawało, zapomnieli wszak prosić o pomoc Gerego i Frekego.

- Domyślamy się, że mogą ją więzić w specjalnej komorze tortur - stwierdził Freke. -

Nieco bardziej luksusowej od pozostałych, ale dotarcie do niej zajmie nam dużo czasu.

Zbyt dużo.

Duchy popatrzyły na siebie, oczy im rozgorzały.

- Masz siłę, żeby mnie unieść? - spytała Sol z błyskiem w oku.

- Oczywiście - odszczeknął Freke.

- A ty mnie? - zwróciła się Shira do Gerego.

- Jasne.

Sol roześmiała się.

- Wobec tego, moi przyjaciele, dosiada was teraz jeźdźcy, jakich wasze oczy nigdy jeszcze nie widziały. Będzie jazda, od której dech zaprze wam w piersiach. Pilnujcie

tylko, abyśmy zawsze siedziały na waszych grzbietach, inaczej zaraz zrobicie się widzialne, możecie też runąć w dół.

Cień, Heike i Mar natychmiast zgłosili się uradowani jako eskorta.

- To prawdziwa jazda na sposób elfów - uśmiechnął się Dolg.

Nardagus przeklinał. Brzmiało to dostatecznie strasznie w jego własnym języku, a jeszcze gorzej w „tłumaczeniu” Sassy.

- Przecież my nie rozumiemy, co ona mówi - warknął. - Chociaż wygląda na to, że dziewczyna się poddaje. Bierzcie pierwszego kociaka!

- Nie! - krzyknęła Sassa. - Powiedziałam przecież, że będę mówić!

Nardagus cisnął pucharem o podłogę.

- Do pioruna! Ona rozumie, co mówimy, ale nie chce odpowiadać w naszym języku!

- Nie jest wcale pewne, że pojmuje słowa - oświadczyła kobieta o żarłocznym spojrzeniu i ustach. - Wychwytuje zapewne jedynie sens. Nie rozumiem jednak, jak to możliwe, że tak długo się opiera, dlaczego już dawno nie stała się jedną z nas, dawno już powinna zmienić się w niewolnicę.

Taką jak ty, pomyślała Sassa. Nie, nie, ty tego na pewno nie zrozumiesz, nie wiesz nic o Świętym Słońcu, o szafirze ani o nas, specjalnie wybranych. Ojej, chyba zbyt się zapędziła. Owszem, jej przyjaciele zostali wybrani do tego, by zmierzyć się ze złem, lecz ona, Sassa, była tylko pasażerem na gapę. Te potwory, łapiąc ją, doskonale wiedziały, co robią, ale ona i tak da sobie radę. Była przecież teraz naprawdę silna.

- Nikt z nich nie popadł w niewolę - mruknął Nardagus. - Ani jeden. A tak by się nam przydali, mogliby się wdrzeć do Królestwa Światła, jak kiedyś Hannagar i Elja. Ciekawe, co się z nimi stało?

- W tej przeklętej grupie są dwa słabe ogniwa, ta dziewczyna i wojownik ze Wschodu, powinniśmy zamiast niej wybrać jego.

- Trudniej byłoby go zwabić. Wciąż jednak wiemy bardzo mało o tym drugim pojeździe i o tych, którzy się w nim znajdują.

- Obawiam się, że są silniejsi. Przypuszczam jednak, że potrafię odgadnąć, jakim językiem mówi ta dziewczyna.

Odwróciła się do siedzącego obok mężczyzny, tego, który świecił niczym rozżarzone żelazo, i coś do niego szepnęła. Sassa wychwyciła słowo „sprowadź”, dalej nie usłyszała.

Co sprowadzić, kogo? O co chodzi tej kobiecie?

Mężczyźni wyglądali na zdumionych. Wszyscy troje dyskutowali z odwróconymi głowami, aż wreszcie ten płonący kiwnął głową i wysłał dwóch ohydnych strażników przez wielkie drzwi widoczne z tyłu.

Sassa czekała, drżąc ze wzburzenia. Patrzyła na niewinne kocięta i oczy wypełniły jej się łzami. Kotki wciąż żyły i tak bardzo chciała je ocalić. Ale przecież nie mogła zdradzić przyjaciół.

Nardagus i kobieta, czekając na coś, przyglądali jej się z nienawiścią. Wkrótce potem mężczyźni powrócili. Prowadzili między sobą więźniarkę, ubraną w staroświeckie, lecz

bogate ubranie, charakterystyczne raczej dla mieszkańców wiosek. Z oczu wyczytał jej smutek.

Zła kobieta podniosła się ze swego miejsca i wymierzyła nowo przybyłej cios tak silny, że tamta upadła na podłogę. Ponieważ skuta była kajdanami, nie mogła się podnieść, lecz Sassa zaraz podbiegła do więźniarki, która okazała się dość nieładną dziewczyną.

- Puść ją! - wrzasnął Nardagus, lecz więźniarka już zdążyła spytać Sassę: „Czy jesteś Szwedką?”, a Sassa odszepnęła: „Norweżką, ale, proszę, nie zdradź mnie!”.

Jeden z niewolników brutalnie je rozdzielił. Nardagus kazał Sassie powtórzyć to, co powiedziała wcześniej. Dziewczynka dalej udawała, że nic nie rozumie, ale wtedy zła kobieta wzięła jedno z kociąt i przyłożyła mu nóż do gardła.

- Och, nie! - jęknęła Sassa. - Obiecałam już przecież, że będę mówić!

Zwracała się niby do Nardagusa, lecz tak naprawdę kierowała swe słowa do więźniarki, właściwie zaledwie młodej dziewczyny.

- Oni chcą, żebym zdradziła imiona moich przyjaciół, którzy znają się na magii, ale ja za nic nie chcę tego zrobić. Grożą, że zabiją kocięta, jeśli nie powiem prawdy, a na to nie mogę pozwolić.

- Widzieliśmy was. Mamy nadzieję, że nam pomożecie.

Odwróciła się do Nardagusa.

- Nie, nie rozumiem, co ona mówi - oświadczyła w języku władców, choć sama posługiwała się starym norweskim. Do Sassy zaś rzuciła pospiesznie: - Podaj inne imiona!

Potem zrezygnowana pokręciła głową i zwróciła się do Nardagusa:

- Nie, to się nie uda, nie potrafimy się porozumieć.

Sassa gorączkowo zastanawiała się, jakie imiona może podać zamiast Marca, Dolga i wszystkich innych. Przez głowę przelatowały jej tylko idiotyczne pomysły, takie jak Gary Cooper, James Dean, Maria Stuart. Uważała jednak, że nieładnie postąpi wobec tych osób, posługując się ich nazwiskami. Może jakieś fikcyjne, lecz jeśli one nie wystarczą? Nie dotarła dalej w swych rozważaniach, bo coś zaczęło się dziać. Z początku nikt nie potrafił pojąć, co się właściwie stało. Paru niewolników uniosło się nad ziemią i jakaś siła cisnęła ich na żarzące się męczyznę, zanieśli się krzykiem bólu, a wokół rozszedł się swąd palącego się mięsa. Nardagus przyciągnął do siebie więźniarkę i jak tarczą zasłaniał się nią przed tym, co w jakiś sposób zdołało przeniknąć przez ściany.

Usłyszawszy głębokie warczenie, wycofał się w stronę wielkiego wyjścia. Sassę natomiast ktoś podniósł i posadził na jakiejś zwierzę. Czyżby na wilka?

- Koty! - zawołała. - Trzeba je ratować!

- To nie są wcale koty - szepnęła jej Sol do ucha. - Popatrz tylko!

Zła kobieta także się wystraszyła, wypuściła kociątko, które trzymała w ręku, ale na podłogę upadł jedynie stary kawałek wygarbowanej skóry. W klatce leżał jeden większy kawałek skóry i parę mniejszych.

- A dziewczyna?

- Nie zdołamy jej teraz uwolnić, ale przybędziemy po nią trochę później.

Sassa natychmiast przekazała obietnicę Sol więźniarce, mocno przytrzymywanej przez Nardagusa. Dziewczynka wiedziała, że stała się niewidzialna już w momencie, gdy Sol

posadziła ją przed sobą na grzbiecie wilka. Wiedziała też, że nie są tu same, wyczuwała obecność drugiego wilka i innych duchów.

- Dziękuję, że przybyliście - powiedziała.

W następnej chwili poczuła na twarzy chłodny powiew górskiego powietrza i mogła spojrzeć w dół na czarną dolinę, która przesuwiała się przed jej oczami w tak szalonym pędzie, że wszystko zlewało się w jedno.

Wreszcie znaleźli się już przy obu Juggernautach, gdzie z otwartymi ramionami powitali ich przyjaciele.

16

Niewolnik, który sprowadził Sassę i czekał, by pozwolono mu się później z nią zabawić, nie znalazł się wśród tych, których jakaś siła cisnęła na ognistego człowieka. Stał wściekły na środku sali i obracał paskudnym łbem, podejmując próbę odszukania swej ofiary. Ona jednak przepadła gdzieś bez śladu. Ciało drżało mu z frustracji i rozczarowania, ogarnęło go bowiem podniecenie, a teraz seksualne pożądanie nie chciało ustąpić, jakby upierało się przy tym, by osiąść tę jakże młodą i czystą dziewczynę. Odebrać jej cnotę, szarpać i czerpać rozkosz. Oto jednak pozbawiono go uciechy. Gotował się z wściekłości, ale w Nardagusie obudził się jeszcze większy gniew. Wrzeszczał długo i przeraźliwie, ciskał naokoło rozmaitymi przedmiotami, aż inni musieli się uchylać. Zła kobieta prychała jak kotka.

- Te diabły! - wrzeszczała. - Oni tu byli, ośmielili się wejść!

Nardagus przerwał jej:

- Były tu również wilki, a to znacznie gorzej, musiały się z nas naśmiewać!

Podniósł ciężkie krzesło, by nim rzucić i w ten sposób dać upust swej wściekłości, człowiek-ogień uznał więc, że najlepiej będzie opuścić pomieszczenie.

Natychmiast zapadła ciemność, powoli zaczęło się też robić coraz zimniej.

- Wracaj! - zawołali chórem Nardagus i kobieta. - Wracaj tu, przeklęty niewolniku!

Człowiek-ogień był kimś więcej niż tylko zwykłym niewolnikiem, lecz tak czy inaczej postanowił zignorować rozkaz. Dawno już zniknął, ukrył się w niewielkiej jamie, w której natychmiast zapanowało piekielne gorąco.

Nardagus nie przestawał się ciskać.

- Wilki! Najwidoczniej udało im się wydostać z naszej krainy, a teraz ośmieliły się tu wrócić, i to razem z naszymi wrogami. I to jakimi wrogami! Nigdy jeszcze nie zetknęliśmy się z takim oporem!

Opuszczając mroczne, wychłodzone pomieszczenie, kobieta, wciąż biała na twarzy ze złości, powiedziała:

- Moje następne posunięcie, skoro nie udało nam się zrozumieć języka, jakim mówiła ta dziewczyna, byłoby dla niej śmiertelne. Zamierzałam wezwać tego, który nieodwołalnie zmienia nieproszonych gości w niewolników. Ale ta niewidzialna banda nam przerwała.

- Było ich kilkoro! - wykrzykiwał rozwścieczony Nardagus. - Wyczuwałem co najmniej kilka osób!

- Ja także.

Weszli do wielkiej sali, którą oświetlały porządne pochodnie. Nie zatroszczyli się o poparzonych niewolników, ci musieli więc radzić sobie sami, wycofać do swych

pomieszczeń w dół po tylnych schodach, za drzwi, które widzieli Sol i Oko Nocy i z którymi Indianin zawarł nieprzyjemnie bliską znajomość. Więźniarkę zaprowadzono z powrotem do więzienia.

- Czy wysłać na nich niezwyciężonego?

- Nie my o tym decydujemy.

Nardagus nie krył zaniepokojenia. Czekają go zadanie nie do pozazdroszczenia: przekazanie władcom nieprzyjemnych wiadomości. Dziewczynka, którą zdołali pojmać, wymknęła się im z rąk. I to w jaki sposób? Zabrana z wnętrza najpotężniejszej z gór przez siły, które zdawały się tylko z nich drwić.

- Pójdiesz ze mną? - spytał kobietę.

- O, nie, dziękuję - odparła błyskawicznie.

Nardagus zacisnął zęby i opuścił ją, by stawić czoło swemu losowi.

Potężni panowie chętnie by go unicestwili, gdyż dopuścił się doprawdy karygodnych zaniedbań. Nie mogli jednak tego zrobić, gdyby bowiem Nardagus zniknął, sami musieliby wziąć na siebie wszelkie nieprzyjemne zadania. A do tego wcale im się nie spieszyło.

Nardagus z głową wciśniętą w ramiona stał pod pręgierzem spojrzeń lodowatych oczu. Już go złajali, wolno, cicho i zabójczo, tak jak to tylko możliwe. Pogarda w ich ochryplych, z wysiłkiem pracujących głosach była doprawdy miazdząca. Nardagus jednak wiedział to, co i oni: jest niezastąpiony. Pełni funkcję ich najbliższego pomocnika. Tego określenia wprawdzie sam nie używał, w duchu nazywał się prezydentem albo premierem. Potężnych władców uważał za rodzinę królewską, będącą zbieraniną figur galeonowych, nie odgrywających żadnej istotnej roli.

Nie miał w tym racji. To oni dzierżyli władzę, lecz do tego Nardagus nigdy by się nie przyznał.

Omawiano nowy plan.

- Dopóki każda grupa przebywa w swoim wymiarze, są osłabieni - stwierdził ostrożnie. I znów musiał kulić się pod lodowatymi spojrzzeniami.

- Nie są już w osobnych wymiarach. Pokonali mur i na powrót są razem.

- Ależ to przecież niemożliwe!

- Nie pytaj nas, jak do tego doszło. Po prostu to zrobili.

- Musimy się dowiedzieć, kim są te niebezpieczne siły.

- Czy nie to właśnie przed chwilą ci się nie powiodło?

Nardagus zacisnął szczęki.

- Wobec tego wysyłamy niezwyciężonego.

- Na razie jeszcze nie. Istnieje wiele możliwości, by zwabić załogę tego drugiego nieznanego pojazdu.

Nardagus rozumiał ich niechęć do niezwyciężonego. Niechętnie go wypuszczali, nawet gdy chodziło o nich samych, a może właśnie dlatego się wahano.

- Ale znajdują się wciąż w dolinie straconych złudzeń, prawda? - chytrze spytał któryś z władców.

- Tak. Zostawiliśmy ich tam, sądziliśmy bowiem, że nigdy nie zdołają się połączyć.

- Czy wypuścimy to, co kryje się w tej dolinie?

Nardagus zadrzał.

- Tam jest wszak coś więcej niż same tylko omamy, wywołane ich własnymi nadziejami - rzekł wolno. - Ale czy dzięki temu można ich łatwiej pojmać?

- A na cóż nam tacy więźniowie? Niech zginą w tej dolinie! Należy ich rozdzielić, tak by poruszali się w małych grupkach, wówczas mieszkańcy doliny zajmą się resztą. Wierźcie mi, nikt żywy się stamtąd nie wydostanie.

Nardagus wciąż nie był zadowolony.

- Wszystko to pięknie się zapowiada, lecz w jaki sposób wyciągnąć ich z tych piekielnych machin?

- Wolno myślisz, Nardagusie. Słyszeliśmy wszak, że pragną dojść do przeklętego jasnego źródła. Nie pojmuję, dlaczego ono musi znajdować się właśnie tutaj, w naszych górach.

- To tylko zaleta - wtrącił się drugi z władców. - Mamy nad nim kontrolę, możemy pilnować, by nikt się do niego nie przedostał.

- No, owszem to prawda. Ale tak czy owak: jeśli zamierzają przedostać się do źródła, muszą teraz wyjść w dolinę. Ich niezgrabne wozy nie pojadą dalej.

- Nigdy nie odnajdą drogi do źródła - prychnął Nardagus.

- Nie? Nie zapominaj, że są z nimi te przeklęte wilki, Gere i Freke. Nie, najlepszym pomysłem jest wypuszczenie na nich prawdziwych mieszkańców doliny. Tym razem obejdzie się bez ułudy. Ich oczom ukaze się prawdziwa dolina.

Jedna z przerażających postaci, chyba ta najstraszniejsza z nich wszystkich, wstała wolno i podeszła do ściany, która zmieniała się zgodnie z życzeniami patrzącej na nią osoby. Całą ścianę wypełnił widok nieustannie zmieniającego się krajobrazu.

Wreszcie pojawiła się czarna dolina, a wraz z nią oba Juggernauty.

- A więc są tam - szepnął budzący grozę władca. - Spotkali się, ale my to odmienimy.

Wszyscy inni obecni na tej sali wycofali się, nie chcieli patrzeć, jak potężny pan podnosi ręce i wydaje rozkaz pozostającym w ukryciu upiorom z doliny, jednocześnie zachęcając do działania wrogów, którzy tak tchórzliwie kryli się we wnętrzu przeklętych machin.

Podpowiadał im, by natychmiast wyruszyli na poszukiwanie jasnego źródła.

W wysoko położonej sali potężnych władców wszyscy w milczeniu obserwowali to, co zaczyna się dziać w dolinie. Wyglądało to tak, jakby cała ziemia zaczęła się nagle poruszać.

Również istoty do cna przesycone złem zadrzały z odrazą, gdy zobaczyły to, co ukazało się na wielkim ekranie.

Czy zachęta potężnych władców dotarła do uczestników ekspedycji czy też nie, nie miało większego znaczenia, sami z siebie bowiem dyskutowali o drodze do źródła.

Najpierw jednak nie było końca radości, że oto znów są razem. Zasiadli wokół wielkiego stołu w J1, przyniesiono tu również na noszach Tsi, a Siska nie odstępowała go nawet na krok. Tich wybrał sobie miejsce, z którego miał widok na J2 tak, by żaden podejrzany typ nie zakradł się do pojazdu w czasie, gdy oni zajęci będą rozmową.

Sassa opowiedziała swoją historię. Pochwalono ją szczerze za to, że zachowała się tak wspaniale i nie zdradziła imion przyjaciół, Faron zaś koniecznie chciał się dowiedzieć, kim była pojmana wieśniaczka

- My ją znamy - odparł Freke.

Razem z Gerem leżeli na stojących obok siebie łózkach i pilnie wszystko obserwowali. Armas i Oko Nocy nie mieli nic przeciwko temu, a nawet radzi byli, że wilki grzeją im pościel. Teraz pytające spojrzenia zebranych zwróciły się na Frekego.

- Nazywa się ją Córka.

- Córka? - zdziwił się Jori. - To dopiero dziwne imię!

- Ale tak właśnie jest, po norwesku nawet Córka Żony. Ona rzeczywiście jest Norweżką.

- Zaczekaj chwilę - ożywiła się Indra, która siedziała tuż koło Rama. - Jest taka norweska bajka, która się nazywa „Córka męża i córka żony”. Nie chcesz chyba powiedzieć...

- To właśnie ona - kiwnął łbem Freke.

Popatrzyli na niego z niedowierzaniem, ale Marco podjął:

- Bajka znana jest w wielu krajach. Opowiada o dwóch córkach, rodzonej i przybranej, które kolejno są wystawiane na wiele trudnych prób, wpadają na przykład do studni. Córka męża ze wszystkich wychodzi zwycięsko dzięki swej życzliwości, natomiast córka żony jest zła, brutalna i wszystko psuje. Szwedzka bajka nosi tytuł „Dwa kufarki”, a rosyjska „O pięknej Wasylisie”, to inna wersja tej samej historii. Można właściwie powiedzieć, że „Kopciuszek” także się do nich zalicza.

- Och, nie, ależ posłuchaj, to przecież się nie zgadza! - powiedziała Indra z urazą. -

Sassa spotkała Córka Żony, tę złą! W bajce ona jest brzydka i złośliwa, a mimo to... Freke przerwał jej.

- Sądzę, że najwyższy czas, abyśmy z Gerem zdradzili wam powód rozpaczliwych krzyków dobiegających z Gór Czarnych.

- O, tak, prosimy - ucieszył się Faron. - Ale czy wcześniej na stole może się znaleźć trochę jedzenia? Wygląda na to, że w tym miejscu mamy jako taki spokój. Zostaniemy tu więc chyba przez jakiś czas. Musimy zebrać siły do kolejnego etapu.

Zrobiło się dość tłoczno, gdy pasażerowie obu Juggernautów biegali w koło, przygotowując posiłek. Ram z Indrą znaleźli jednak moment, by zostać choć na chwilę sam na sam w magazynie.

Nie było czasu na żadne romantyczne finezje.

- Indro, czy chcesz być moja, na zawsze?

Indra już miała zamiar palnąć jakąś bzdurę o uczynieniu z niej przyzwoitej kobiety, lecz wyjątkowo nie odczuwała szczególnej potrzeby, by obrócić sytuację w żart. Nigdy w życiu nie była taka poważna. Do oczu napłynęło jej tyle łez, że wreszcie się przelały, i ledwie zdołała wyjąkać:

- Tak. A ty, Ramie?

Ram objął ją mocno i Indra poczuła, jak otacza ją owa gorąca miłość, która mogła się wydawać płomieniem Wielkiej Światłości, będącej samą tylko miłością, i zapragnęła móc ofiarować ukochanemu również coś podobnego, bodaj ułamek takiego oddania, które teraz od niego biło.

Być może trochę jej się to udało, gdy bowiem znów na nią spojrzął, jemu także zwilgotniały oczy.

To znaczy, że Lemuryjczycy potrafią płakać, pomyślała Indra. Świetnie, a więc i ja mogę się odważyć. Patrzyła zatem na Rama, śmiała się i płakała na przemian, pociągała nosem i czuła się wprost do bólu szczęśliwa.

Musieli wreszcie czym prędzej powrócić do innych, Indra wydmuchała nos, dopytując się, jak wygląda, Ram zaś odparł:

- Jak gdybyś przed chwilą przyjęła bardzo wytęsknione oświadczyzny.

A wtedy Indra zaczęła szlochać jeszcze głośniejsze, ale płacz przerywały jej wybuchy śmiechu. Na szczęście każdy zajęty był swoimi problemami i nikt nie miał czasu, by obserwować szczęśliwą parę.

Dziewczynę przeniknął dreszcz.

A wciąż to, co najlepsze, jeszcze przede mną, pomyślała. Ten moment, kiedy będę należeć do niego po raz pierwszy i od tej pory już na całe, całe życie. Czy można umrzeć ze szczęścia? Bo tak właśnie teraz się czuję.

Jasne się stało, że wszystkim potrzebne było jedzenie. Dookoła panowała głęboka cisza, gdy posilali się tym, co znalazło się na stole. Kiro, odpowiedzialny za magazyn spożywczy, starał się odpowiednio dzielić porcje, jedzenia mogło więc wystarczyć jeszcze na wiele posiłków. Mieli też ze sobą rezerwową prowiant w maleńkich paczuszkach, lecz on był ostatnią deską ratunku, na wypadek gdyby skończyło się zwykłe jedzenie. Ekspedycja trwała już znacznie dłużej, niż to planowano, i nic na razie nie zapowiadało jej końca, Kiro więc był bardzo ostrożny, na razie jednak wszyscy mogli najadać się do syta.

Wreszcie Faron usadowił się wygodnie.

- Opowiadajcie teraz, Gere i Freke, co się kryje za tymi krzykami skargi, które docierają do nas od tak dawna? Czy one mają coś wspólnego z tą młodą więźniarką?

- Tak, ona należy do skarżącego się chóru. Podobnie jak my kiedyś - dodał Gere.

- Co takiego?

Freke potwierdził.

Indra odezwała się cierpko:

- Wobec tego chór utracił parę znakomitych wyjców w waszych osobach.

Jeśli wilki potrafią się uśmiechać, to właśnie zrobiły teraz Gere i Freke.

- Masz słuszność - odpowiedziały.

- Opowiadajcie już! - ponaglał ich Marco. - Albo nie, zaczekajcie. Coś mi mówi, że w istocie jesteście wilkami Odyna.

- Znów masz słuszność - przyznał Freke.

Aż słyhać było, jak wszystkim zgromadzonym wprost dech zaparło w piersiach.

Marco gwizdnał cichutko.

- A więc tak to się wiąże!

- Co takiego zrozumiałeś lepiej niż my? - niecierpliwiła się Indra.

Ale Marco jej nie słuchał. Całą swą uwagę skierował na wilki.

- Czy jest wśród was Grendel?

- Tak - wykrzyknęły, radośnie zaskoczone.



- A Minotaur?

- To nasz przywódca.

- Nie psuj teraz wszystkiego, pozwól, by Gere i Freke opowiadały. - Indra bez cienia szacunku napadła na swego krewniaka Marca.

- Pst - szepnął nagle Oko Nocy, który siedział zapatrzony w okno. - Widziałem coś...

- Mnie też się tak wydawało - przyznała Siska, również siedząca tak, że miała widok na skamieniały las. - Ale jakoś prędko zniknęło.

- Co zauważyliście? - spytał Ram.

- Tylko jakiś ruch - odparł Oko Nocy, a Siska przyświadczyła skinieniem głowy.

Okazało się, że ulotne zjawisko zaobserwowano w różnych miejscach. Ram zabrał więc ze sobą Marca i Oko Nocy i otworzył drzwi.

Uderzyło ich powietrze wiecznej nocy. Przez chwilę stali w milczeniu, lecz wszędzie dookoła panowała cisza. Chora dolina leżała pogrążona w swej zwyczajnej ciemności.

Niczym echo ich własnego nastroju rozległo się przeciągłe wołanie żalu i rozpacz, dochodzące od strony gór. Mężczyźni poczuli, że przenika ich dreszcz.

Wrócili do środka.

Marco przestrzegł wszystkich przed wychodzeniem w pojedynkę, prosząc, by mieli w pamięci przeżycia Sassy. Indrze jednak wydawało się, że w jęku skargi usłyszała ton rozpaczliwej nadziei.

Marco oddał głos wilkom.

Mówił Freke:

- Owszem, prawdą jest to, czego domyśla się nasz wielce szanowny przyjaciel, książę Marco. Jesteśmy więźniami Gór Czarnych, wszyscy my, będący czarną stroną wszelkich mitów, podań i baśni, wymyślonych przez ludzi.

- I w ten sposób zostaliście ożywieni? - spytał Dolg.

- Tak właśnie jest.

Zapadła chwila ciszy, podczas której zebrani usiłowali przyzwyczaić się do tej myśli.

Marco przypomniał sobie pewną rozmowę, którą odbył chyba z matką, Sagą. Czyż ona nie mówiła mu czegoś podobnego? Że to wcale nie Bóg stworzył ludzi, tylko ludzie stworzyli bogów, a gdy w bogów przestawano wierzyć, umierali.

Czy to samo może dotyczyć postaci z baśni? Czy w ten sposób one ożywają?

A dlaczego nie?

Indra, która jako jedna z niewielu tu obecnych mieszkała na powierzchni Ziemi, zaczęła protestować.

- Ale przecież wilki Odyna nie były złe?

- My stanowiliśmy przypadek graniczny, postrzegano nas nie jako złe stworzenia, raczej po prostu niebezpieczne. Dlatego też zdołaliśmy się uwolnić i uciec stamtąd - wyjaśnił Freke.

- Ale Loki jest wśród was?

- Oczywiście.

- I Judasz? - podsunęła Sassa.

- Nie, Judasz był prawdziwą postacią, żywą osobą. Tu znajdują się jedynie istoty rodem z ludzkiej wyobraźni.

- Meduza? - spytał Jori.

- Oczywiście.

Indrze przysłała do głowy zaiste przerażająca myśl:

- Tengel Zły?

- Nie - włączył się Marco. - Po pierwsze, on został unicestwiony, a po drugie dla nas, Ludzi Lodu, był postacią jak najbardziej rzeczywistą...

Freke uzupełnił:

- A po trzecie, napływ złych sił tu, do Gór Czarnych, zakończył się w czterdziestych latach osiemnastego wieku.

- Wtedy gdy przybyła tu rodzina Czarnoksiężnika? - czujnie spytał Dolg.

- Owszem, zgadza się. Właśnie przez tamte wrota, którymi przeszła twoja rodzina, mroczne siły z baśni i podań przedostawały się tutaj. Jak pamiętacie, wtedy wrota zostały zamknięte na zawsze.

- To znaczy, że reszta złych mocy pozostała później na ziemi wśród ludzi?

- Nie wydaje mi się, aby tak było. Sądzę, że wraz z epoką oświecenia mitologia po prostu przestała istnieć na ziemi. W dodatku nie powstawało już tak wiele bajek.

- Ale dlaczego tak się skarżycie? Czy to przez tę niewolę?

- Nie, gdyby było to tylko z tego powodu, nasze wołanie nie miałyby takiej mocy. Nie, są inne powody...

- Tam! - wrzasnął nagle Jori i rzucił się do okna. - Teraz i ja coś zauważyłem, ale zaraz znów zniknęło.

- Co widziałeś? - spytał Ram.

- Jakiś cień, ale zniknął błyskawicznie. Przypuszczam jednak...

- Tak?

Jori sprawiał wrażenie zmieszanego.

- Jeśli jest tak, jak mi się wydaje, to mam rację. Chociaż nie całkiem tak, jak mi się wydaje.

- Niezwykle precyzyjne i wiele mówiące sformułowanie - złośliwie zauważyła Indra. - A co takiego ci się wydaje?

- Nie wiem.

- No cóż, to wszystko wyjaśnia.

Przerwał im Marco.

- Nie mamy czasu na to, by siedzieć tu i się przekomarzać. Freke, czy ten żałobny chór może nam się przydać w drodze do źródła?

- Nie wiem, jak zdołalibyście dojść tam bez tego, jak to nazywasz, chóru.

- Tak właśnie myślałem. Wobec tego najpierw pójdziemy do niego - zdecydował Marco.

Wilki westchnęły z ulgą.

- A już myśleliśmy, że nigdy na to nie wpadniecie - stwierdził Gere.

17

Zapanowała gorączkowa aktywność, przygotowywano się do wyruszenia w dalszą drogę. Tym razem na wszystko patrzono inaczej.

Armas nie krył wzburzenia:

- Chcesz powiedzieć, Marco, że mój ojciec, Strażnik Góry, który strzegł przecież tamtych wrót, miałby wpuścić tutaj wszystkie złe istoty z mitów?

Zamiast Marca odpowiedział Freke:

- Nie, nie, to nie jego wina. Ale wierzcie mi, na Ziemi również istniały złe moce kalibru Tengela Złego. Nie wiemy, czy to on, czy ktoś inny zdołał przemyścić tutaj najmroczniejsze postaci z mitów. Stało się to bez wiedzy twego ojca, za jego plecami, oni mieli inny sposób na otwarcie wrót po kryjomu. Zrozumcie! - W głosie Frekego brzmiała gorycz. - Ludzie oczywiście nie chcieli znać wytworów fantazji, które sami stworzyli i w które tchnęli życie. Wszystkie nieprzyjemne istoty usunięto więc tutaj, do Gór Czarnych.

- To Dolg położył temu kres, gdy odnalazł Święte Słońce, które wciąż pozostawało na powierzchni Ziemi - dodał Gere. - Wówczas tamte wrota definitywnie zamknięto.

- Ale ja... - zaczęła Indra, w której aż gotowało się od pytań.

- Później - uciszył ją Faron. - Teraz nadszedł czas, by zdecydować, kto wyruszy dalej, a kto zostanie tutaj. Zakładam bowiem, że Juggernauty nie pojedą, czy nie tak, Chorze i Tichu?

- Przejazd przez dolinę jest niemożliwy - uznali Madragowie.

- I nie wrócimy tutaj, zanim nie odnajdziemy drogi do źródła?

Freke przytaknął. Po odnalezieniu jęczącego chóru najlepiej, byłoby bez zwłoki wyruszyć po jasną wodę.

Postanowiono więc, że obaj Madragowie zostaną, by przypilnować pojazdów. Wydawało się, że przyjęli takie rozwiązanie z ulgą. Zostać miała także Siska razem z Tsi, Sassie też nie pozwolono wybrać się nigdzie dalej. Faron chciał, by Indra również czekała w J1, ale spotkał się z protestami. Dziewczynę uratował Ram.

- Drugi raz nie rozstanę się z Indrą. Zbyt straszne było przeświadczenie, że ją utraciłem. Będę za nią odpowiadał.

- Jak chcesz - Faron nie krył goryczy. Potem wyprostował się w całej swej okazałej postaci. - Drodzy przyjaciele, dotychczas obserwowałem tylko wszystkie wasze czyny i osiągnięcia, zaiste radziliście sobie chyba najlepiej jak można. Teraz zaś kolej na mnie. Poprowadzę was dalej przy pomocy naszych wspaniałych wilków. Ci jednak, którzy tu zostaną, muszą mieć jakąś ochronę...

Popatrzyli na niego lękliwie, nikt nie chciał zostać.

A Faron kolejno przyglądał się uczestnikom wyprawy.

- Zobaczmy, czyja obecność jest konieczna, jeśli chodzi o dotarcie do źródła. Oko Nocy, to jasne. I Shira. Mar, ty jesteś jej towarzyszem i pomocnikiem. Marco i Dolg. Cieniu, twoim zadaniem będzie pilnować, by nic złego nie przytrafiło się Dolgowi i jego kamieniom. Ram, ty będziesz odpowiedzialny za Indrę. Gerego i Frekego nie możemy zostawić...

Pozostająca grupka stale się zmniejszała. Jori i Armas wyraźnie pobledli.

- Heike, ciebie potrzebowałibyśmy i tu, i tu.

- Chętnie zostanę - odparł olbrzym z rodu Ludzi Lodu. - Jakiś duch przydałby się tutaj, niech wobec tego będę to ja.

- Dziękuję - powiedział Faron. - Armas... idziesz z nami.

Młody chłopak odetchnął z ulgą i uśmiechnął się.

- Jednego wojownika już mamy - podjął Faron. - A mianowicie Mara, powiedzmy więc, że ty, Yorimoto, zostaniesz. Wydaje mi się, że Siska i Sassa będą się przy tobie czuły bezpieczniejsze.

Z twarzy Yorimoto nie dało się wyczytać, czy przyjął to jako zaszczyt czy upokorzenie. Ukłonił się tylko prędko, głęboko, jak samurajowi przystało, i nie protestował przeciwko swemu losowi.

Pozostali jeszcze Kiro, Sol i Jori.

Faron patrzył na nich swymi niezwykle, głęboko osadzonymi owadzimi oczyma. To ostatnie określenie nie było chyba całkiem słuszne, lecz tak właśnie nazywała je Indra.

- Sol będzie nam potrzebna - rzekł Faron po namyśle. - A tu przy pojazdach musi też być przywódca...

Ujrawszy jednak wzburzenie na twarzach obojga, dodał prędko:

- Ale obecność Kira jest niezbędna w dalszej podróży.

I Sol, i Kiro mieli wrażenie, jakby olbrzymi kamień spadł im z serca.

Faron wahał się. Sytuacja była dość trudna. Zamierzał powierzyć dowództwo Joriemu, lecz to mogłoby doprowadzić do wielkich konfliktów, bo czy samuraj może przyjmować rozkazy od młodego chłopaka?

Zdecydował więc prędko:

- Yorimoto, czy podejmiesz się zadania głównego dowodzącego w grupie, która zostanie tutaj?

Samuraj wciąż nawet się nie skrzywił, ukłonił się tylko głęboko.

- Doskonale - rzekł Faron. - Jori, ty będziesz odpowiadać za Saszę, swoją własną głową.

- Och, nie! - jęknął do głębi zawiedziony chłopak. Faron jednak mówił dalej:

- Ktoś musi być odpowiedzialny za pasażerów J1 i będziesz to właśnie ty. Połączycie oba pojazdy. Chor zostanie w J1 i przypilnuje samej maszyny, a ty, Jori, czuwaj nad wszystkimi, którzy znajdują się w jej wnętrzu. Tich zajmie się J2, a Yorimoto będzie opiekował się Tsi i Siską. Heike przystąpi do działania, gdy jego pomoc okaże się potrzebna. Możecie poruszać się swobodnie między oboma pojazdami, a jeśli chcecie, wolno wam przebywać w jednym z nich razem, dopóki na zewnątrz będzie spokojnie. Przy najmniejszej oznace zbliżającego się niebezpieczeństwa znacie swoje miejsca. Jakich pytań?

Jori westchnął tylko ciężko, jak gdyby na jego barki złożono wszelkie troski świata. Faron zauważył to i rzekł niemal łagodnie:

- Kto wie, chłopcze, może to właśnie was czekają najgorsze kłopoty? Poza tym podczas tej wyprawy wykazałeś się już taką mądrością, zręcznością i odwagą, że połowa tego by wystarczyła.

Jori usiłował sobie przypomnieć, co też mądrego, zręcznego i odważnego zrobił, lecz nie bardzo mu to wychodziło. Znadto mu było przykro. Ale słowa Farona dodały mu otuchy.

- I bez względu na to, co się będzie działo, wy, którzy zostanieie tutaj, nie opuszczajcie pojazdów - prosił Faron.

Obiecali, że będą posłuszni.

Zaraz potem Faron wziął Joriego na stronę.

- Wiem, że bardzo chciałbyś pójść z nami - rzekł przyjaźnie. - Obiecałem jednak twoim rodzicom, że nie zabiorę cię aż do końca. Jesteś też na to nieco za młody, tylko Siska i Sassa są młodsze od ciebie, a one zostają tutaj.

Żaden z nich nie wspomniał, że zarówno Indra, jak i Armas są rówieśnikami Joriego. Chłopak doskonale zdawał sobie sprawę, że on jest najbardziej dziecinny i najbardziej zuchwały z nich wszystkich, zdecydował więc wreszcie, że z honorem przyjmie wyznaczoną mu rolę. Tu na pewno też przeżyje niejedno. Właściwie nawet się cieszył. Pokusił się jednak na ostatnią próbę:

- Czy nie byłoby dobrym pomysłem wykorzystanie gondoli? Ja w każdym razie mógłbym, jako doświadczony kierowca...

Ale Faron nie dał się przekonać, pokręcił głową.

- Gondola jest zbyt delikatna, mieliśmy już okazję się o tym przekonać. Ale przez cały czas będziemy z wami utrzymywać łączność radiową, teraz gdy znajdujemy się już w tym samym wymiarze, nie powinno być z tym kłopotów. Aparat będziesz miał ty i po jednym obaj Madragowie. Pozostali nie będą mieli żadnego.

To pomogło trochę podtrzymać prestiż Joriego. Wciąż jednak był zdania, że ludzie wędrujący pieszo przez dolinę będą jeszcze bardziej pozbawieni ochrony, niż gdyby lecieli gondolą. Lecz w niej oczywiście wszyscy by się i tak nie zmieścili.

- Utrzymujcie z nami kontakt przez cały czas - poprosił.

- Możesz nam zaufać - odparł Faron. - A gdyby coś zaczęło się dziać tu, przy pojazdach, natychmiast daj znać. Informuj nas o wszystkim.

Jori złożył obietnicę.

Wreszcie się rozdzielili. W Juggernautach zostało osiem osób, dwanaścioro innych wraz z dwoma wilkami wyruszyło w chłodny mrok. Indra zaraz zatęskniła za bezpiecznymi objęciami J1, za jego ciepłem i światłem.

Pragnęła jednak tam być, gdzie Ram. Wstyd przyznać, lecz to właśnie było dla niej najważniejsze.

Faron ustawił ich w szyku.

- Ram i Kiro, pójdziecie na samym końcu, będziecie pilnować, by nikt nie zaatakował nas od tyłu. Gere i Freke, wy będziecie iść przodem, razem ze mną...

Wilki natychmiast zajęły miejsce po jego bokach.

- Marco, ty przypilnujesz Oka Nocy, ruszycie zaraz za mną. Potem Dolg i Cień, a za wami Shira i Mar. Armasie, ty pójdiesz przed Indrą i Sol, a na samym końcu Strażnicy, Ram i Kiro. Czy o nikim nie zapomniałem?

Nie, nikt nie został pominięty.

A potem stało się coś, czego nikt się nie spodziewał. Wszyscy zajęli swoje miejsca w szyku, gotowi do wymarszu. Wtedy Faron wyprostował się tak, że wydawał się jeszcze wyższy niż zwykle, wznosił się nad nimi niczym wieża, a potem jego postać w jasnych szatach roz błysła, zaczęło bić od niego światło.

Ruszył.

Za nim cały oddział.

- Marco, ty chyba też to potrafisz? - spytała Indra.

Odwrócili się obaj, Marco i Faron.

- Owszem - odparł książę. - Ale jedna gwiazda przewodnia wystarczy.

Indra zauważyła, że Faron z wielkim zainteresowaniem rozprawia o czymś z Markiem, nie miała jednak czasu się nad tym zastanowić, odkryła bowiem, że poruszają się we wprost oszałamiającym tempie. Ona również, tak jak wszyscy. Przemieszczali się tak prędko, że przestraszyła się, iż nie zdoła dotrzymać towarzyszom kroku, lecz nie czuła się ani trochę zmęczona. Pokonali połowę odległości dzielącej ich od Góry Zła w niezmiernie krótkim czasie.

Indra odwróciła się do Rama.

- Faron to Obcy, nie zapominaj o tym - odpowiedział Ram na jej niewypowiedziane pytanie.

Indra oczywiście nie mogła utrzymać języka za zębami.

- Faronie, dlaczego tak długo ukrywałeś wszystkie swoje zdolności? - zawołała.

- Dotychczas nie były mi potrzebne - odparł, nie odwracając się.

- Czyżbyśmy tak świetnie sobie radzili?

- Owszem, przynajmniej niektórzy z was.

- O, zasłużyłam sobie na to - roześmiała się Indra zawstydzona.

Wcale nie poruszali się biegiem, szli całkiem normalnie, a mimo to ziemia umykała im spod stóp. Indra nie mogła się temu nadziwić, ale też i nigdy nie jeździła konno na sposób elfów. Teraz mieli do czynienia z bardzo podobnym zjawiskiem.

Przez cały czas czuli, że nie są sami. Ktoś ich obserwował, ktoś stał ukryty za każdą mijaną przez nich skałą. Raz jedna z migotliwych postaci znalazła się tak blisko, że Indra mogła jej wręcz dotknąć.

Odwróciła się do Rama z pytaniem:

- Czy właśnie dlatego poruszamy się tak prędko?

- Prawdopodobnie. Przypuszczam, że spotkanie z tym czymś, co nas obserwuje, nie byłoby przyjemne.

- Jest ich wielu.

- Tak, jeden... albo wielu.

Zastanowiła się nad tym, co powiedział Ram. Czy naprawdę mogło chodzić o jedną istotę, która przemieszczała się błyskawicznie od skały do skały, od jednego skamieniałego drzewa do drugiego?

Nie przypuszczała, by tak właśnie było.

- Wydaje mi się, że to nie są ci potworni niewolnicy - mruknęła Sol.

- Ja też tak myślę. Ci tutaj są bardziej rozmyni.

- Są chyba bardzo wrogo nastawieni.

- O, tak, bez wątpienia.

Prawdą było to, co mówiła Sol. Można by przypuszczać, że potajemna obserwacja wypływa jedynie z ciekawości bądź niepewności, lecz kryło się za tym coś jeszcze. I Sol trafiła prosto w dziesiątkę, istota bądź istoty rzeczywiście były wrogo nastawione.

Na cóż wobec tego czekały? Czyżby mimo wszystko bały się czegoś?

Błyskawiczny przemarsz całego oddziału z jaśniejącym Faronem na czele każdego zdołałby wystraszyć.

Wysoko w sali władców oglądano obrazy na ekranie.

- Są niesłychanie potężni - mruknął jeden z obecnych.

- Wcale nie potężniejsi od nas - warknął inny. - Teraz ich rozdzielimy, a wtedy nic już ich nie uratuje. Otworzyć tamy! Są teraz w odpowiednim miejscu!

W dolinie Faron wsłuchiwał się w narastający szum, który z wolna zmieniał się w huk, rozlegający się coraz bliżej. Wszystko działo się tak szybko, że nikt w grupie nie zdążył zidentyfikować tego zjawiska. Zdążyli tylko pomyśleć: czyżby to masy wody? Myśl była jednak na tyle nieprawdopodobna, że nikt nie zareagował w czas.

W następnej sekundzie załała ich brudna fala powodzi. Pochwyliła ich, cisnęła daleko, nikt nie miał możliwości, by jakkolwiek ją powstrzymać. Armas, ciśnięty na skałę, zaczął tracić przytomność od mocnego uderzenia, zdołał jednak uchwycić się kamienia i starał się wstrzymać oddech tak długo, jak tylko mógł, pod zalewającą go błotnistą wodą. Przez moment widział nad powierzchnią głowę Indry i Rama, który usiłował rzucić się dziewczynie na ratunek. Potem zniknęli. Nikogo innego nie zauważył, widocznie prąd poniósł ich gdzieś dalej.

Równie niespodziewanie jak nadeszła, tak samo prędko fala powodzi się cofnęła. Armas znów mógł zaczerpnąć powietrza.

Próbował wstać, poślizgnął się na gładkim kamieniu, spróbował jeszcze raz. Nigdzie ani śladu przyjaciół.

Już otworzył usta, by ich zawołać, gdy jakiś ruch tuż obok zwrócił jego uwagę. A więc ktoś jednak czaił się w pobliżu!

Podniósł głowę i poczuł, jak całe ciało zmienia się w lód. Wywołał to nie tylko szok, jakiego doznał, lecz także prawdziwe zimno, otaczające niczym zmrożona mgła potworną istotę, która zmierzała w jego stronę.

18

Oko Nocy porwała fala pędząca z oszałamiającą prędkością. Walczył jak szaleniec, by wysunąć głowę nad powierzchnię, momentami mu się to udawało, łapczywie wtedy wciągał oddech, tylko po to, by kolejny haust błotnistej wody wdarł mu się do gardła. Próbował zachowywać się tak, jak go uczono: gdy wpadnie się do wody, należy pozwolić nieść się prądowi na plecach, nogami do przodu. W tych pędzących rozszalałych masach wody okazało się to jednak niemożliwe. Nie mógł nawet ułożyć się w odpowiedniej pozycji.

Płuca zaczęły go boleć, bał się już teraz naprawdę, a do głowy wpadały niemądre myśli: „Wybaczcie mi, matko, ojczyźnie i całe plemię, że nie powiodło mi się to wielkie wyznaczone mi zadanie, wybacz mi, Mały Ptaszku, i ty, Berengario, obie was skrzywdziłem, choć przecież nie chciałem, a teraz nie mam nawet czasu, żeby...”

Dotąd dotarł, gdy nagle potworna siła cisnęła go na jakieś zbocze, a jednocześnie dostrzegł, że brudna fala znika gdzieś w dole.

Kaszlał najpierw długo, myśląc już, że od samego kaszlu pękną mu płuca. Później długo leżał na plecach, usiłując odzyskać normalny rytm oddechu. Uniósł się na łokciu i wypluł wodę, czarną, brudną, a potem rozejrzył się wkoło.

Znalazł się w dzikiej, obcej części doliny. Wprawdzie doliny tej nie znali, bo wtedy, gdy kazano im wierzyć, że jest ona prawdziwym rajem, pełnym światła i blasku słońca,

wszystko okazało się jedynie ułudą. Teraz dookoła panował mrok i okolica wydawała się straszna. Ale z górami, otaczającymi dolinę, zdążył się przecież zapoznać, a tych tutaj nie poznawał. Zrozumiał, że ogląda wszystko patrząc pod zupełnie innym kątem, bo przecież tak daleko nie zdążył się chyba przemieścić.

Poderwał się nagle na widok stworzenia przypatrującego mu się pełnym nienawiści spojrzeniem. Istota zaczęła się zbliżać, Indianin na wpeł siedząc starał się przed nią wycofać.

Ratunku, gdzie są inni, pomyślał. Ach, niechże mi ktoś pomoże!

Tajemniczy obserwatorzy, ci, którzy towarzyszyli członkom ekspedycji w podróży przez dolinę, postanowili się wreszcie im ukazać.

Dolga, odrzuconego daleko od innych, najbardziej gnębiła myśl o szlachetnych kamieniach, które nosił u pasa.

Jeśli je teraz stracę, będziemy zgubieni. Bez żadnej możliwości ratunku, rozpaczął. O własnym bezpieczeństwie nie myślał. Tak mocno zaciskał ręce na skórzanych woreczkach z szafirem i farangilem, że nie miał możliwości myśleć o własnym ocaleniu, i dlatego z ogromną siłą uderzał o dno, to znaczy o ziemię, a także o kamienie i skały, które znalazły się na jego drodze. Usiłował się skulić na ile mógł, lecz jeśli nawet ochroniło go to przed uderzeniami, to wcale nie ułatwiło oddychania. Pojął wreszcie, że musi wydostać się na powierzchnię, to jednak zagrażało bezpieczeństwu kamieni, ale nie miał wyboru. Płuca nie radziły sobie już dłużej bez powietrza.

Puścił woreczki i ruchami ramion usiłował utorować sobie drogę do wolności. Niestety, zaraz uderzył głową o skalny blok, aż przed oczami zawirowały mu gwiazdy, i stracił przytomność.

Pochwyciła go jakaś dłoń i postawiła na nogi.

- No, jesteś wreszcie, chłopcze - odezwał się Cień z ponurą miną.

Stał, jak gdyby kompletnie nie zauważał rwącego nurtu. Do dzisiaj nazywał Dolga chłopcem, nigdy nie zapomniał zapłakanego chłopaczka, który pomimo wielkiego strachu zdołał wypełnić swe pierwsze ważne zadanie: odnalazł niebieski szafir.

Cień przyglądał się nieprzytomnemu mężczyźnie, którego trzymał w objęciach, lecz widział w nim tylko małego chłopca, nad którym czuwał od jego narodzin, a nawet jeszcze wcześniej. Wszak matka chłopca, Tiril, widywała niekiedy jakiś wielki cień w kącie, jeszcze zanim Dolg przyszedł na świat. Dolg, wybrany, ten, który miał zdobyć szafir i farangil, a później Słońce, wciąż wówczas pozostające na Ziemi, zdołał odnaleźć wszystkie trzy kamienie i przynieść je do Królestwa Światła, teraz został ranny, nie wiadomo, na ile poważnie.

Cień sprawdził, czy szlachetnym kamieniom nic się nie stało, a potem wyjął szafir, podświadomie rejestrując, że fala powodzi się cofa. Ułożył Dolga na występie skalnym, ukląkł przy nim i przysunął niebieską kulę do jego piersi. Cień nie bał się tego robić, wiedział, że gdy chodzi o zdrowie samego Dolga, kamień zgodzi się na to, by ktoś obcy wziął go w ręce.

Mężczyzna jakby wyjęty wprost z obrazu Botticellego lub innego malarza z jego szkoły otworzył swe całkiem czarne oczy. Szepnął coś.



Cień pochylił się niżej i teraz usłyszał słowa:

- Cieniu, coś stoi za tobą.

Powódź dla duchów nie stanowiła żadnego problemu. Natychmiast przybrały niewidzialną postać, wszystkie, zarówno Shira i Mar, jak i Sol. Ta ostatnia miała wprawdzie nieco więcej kłopotów, trwało to trochę dłużej niż zwykle i z właściwą sobie niekonsekwencją rzuciła jakieś brzydkie słowo pod adresem Marca. Przypomniało jej się jednak zaraz, że to ona chciała być na pół człowiekiem, pokornie więc mruknęła: „Przepraszam, Marco”, uwalniając się od napływającej wielką falą brudnej bagnistej wody.

Marco i Faron wspólnymi siłami zdołali wydostać się na skałę. Obaj byli dostatecznie potężni, by oprzeć się wściekłości żywiołów.

Gorzej było z pozostałymi. Fala porwała w głąb Rama, Kira i Indrę, a także oba wilki. Na szczęście Mar znajdował się w pobliżu Frekego i zdołał go wyciągnąć, Gere jednak przepadł. Wreszcie wielka fala ustąpiła.

Duchy zebrały się koło Marca i Faron. Dotarł tu również Freke i podziękował Marowi za wybawienie.

- Co teraz zrobimy? - pytała Shira.

- Spróbujemy odnaleźć resztę - odparł Faron. - Zauważyłem, że Cień trzymał się w pobliżu Dolga, sądzę więc, że o opiekuna kamieni nie musimy się martwić. Wydaje mi się też, że nikt nie zdążył utonąć...

- Bo też wcale nie miało tak być - stwierdził Marco po namyśle. - Wygląda na to, że zaplanowano dla nas zupełnie co innego.

Rozejrzeli się wokół. Niską półką skalną, na której stali, otaczały przerażające istoty, wywodzące się rodem z najstraszniejszego chyba koszmaru.

Rama ogarnęła rozpacz. Uderzył o skałę i zdołał jakoś wydostać się na suchy ląd, widział jednak, że fala wciągnęła Indrę, i z powrotem rzucił się w wodę, spiesząc jej na ratunek. Niestety, przestał widzieć dziewczynę. Jedyne, co mógł dostrzec, gdy unosił się na powierzchni, to spienione ciemne masy wody, walące o głazy i kamienie, rozbijające je na drzazgi, pieniające się wokół przeszkód, byle tylko utorować sobie drogę dalej przez dolinę. Nie widział nikogo innego, czuł się samotny i bezradny. Nikomu nie mógł pomóc, nawet sobie. Potem woda uniosła go w górę i wreszcie zdołał uchwycić się jakiegoś starego, zniszczonego drzewa, poczeriałego i wykrzywionego.

Gdy fala brudnej wody cofała się, przyglądał się zniszczeniom.

- Och, Indro, Indro - szeptał. - Znów się rozdzieliliśmy, ale tym razem odnajdę cię prędzej niż ostatnio, przyrzekam.

Sprawdził, czy nic mu się nie stało. Miał wrażenie, że jest dokładnie obity, lecz okazało się, że nie jest wcale tak źle, jakoś da sobie radę.

Gorzej było z Indrą, zniknęła w ciemnej nieprzejrzywej dolinie, w płątaninie, w tym prawdziwym labiryncie wysokich, ostro zakończonych skał, martwych drzew i jakby bezładnie porzuczanych wzniesień.

A gdzie podziiali się inni?

Nagle włosy stanęły mu na karku. Poczł, że jest obserwowany. Coś stało za jego plecami. Ktoś, kto nie życzył mu dobrze.  
Ram niechętnie się odwrócił.

Indra czołgała się, trochę pełzła na czworakach, potykała w obrzydliwym błocie, które pokryło ziemię, gdy fala powoli się cofnęła. Paskudnie przy tym przeklinała, wypluwając brudne kamyki i śmieci, naniesione przez masy wody.

Gdy już zabrakło jej przekleństw i gdy obejrzała swoje bezwstydnie zniszczone ubranie, zaczęła bać się o pozostałych. Mignął jej przed oczami Ram, akurat wtedy, gdy porwała go woda. Widziała, że wyciągał do niej rękę, lecz to było jak... Och, cóż za porównanie przyszło jej do głowy, to było niczym próba powstrzymania biblijnego potopu! Dlaczego nie umiała wymyślić czegoś bardziej oryginalnego?

Bała się o Rama, o wszystkich innych. Ona przecież siedziała tutaj cała i zdrowa, a tamci być może są poważnie ranni albo zginęli...

Ach, nie, to niemożliwe!

Musi zacząć ich szukać, być może tylko ona jest w stanie to zrobić, być może życie i zdrowie przyjaciół zależy wyłącznie od niej!

Najpierw jednak musi znaleźć jakiś punkt, z którego będzie mogła rozejrzeć się po okolicy...

Tam jest jakieś drzewo. Sprawia wrażenie, że da się na nie wspiąć, lecz czy zdoła ją utrzymać? No cóż, jeśli uległo petryfikacji, na pewno wszystko będzie dobrze. Ojej, ależ mądrego słowa użyła na skamienienie, pomyślała lekko zirytowana na samą siebie.

Zaczęła się wspinać.

Nie dotarła szczególnie wysoko, gdy nagle drgnęła. Tam, w pobliżu tego niedużego wzniesienia, na którym się znajdowała, coś leżało na ziemi, na wpół ukryte w szlamie. Coś ciemnego, unurzanego w błocie, postrzępionego, co musiało być...

Tak! To jeden z wilków!

Natychmiast zeszła na dół i zaczęła przedzierać się ku czworonożnemu przyjacielowi. Buty zapadały się w miękką glinę, ledwie zdołała utrzymać równowagę. Wreszcie stwierdziła, że dużo szybciej przemieszcza się na czworakach.

Tym, którzy na mnie patrzą, muszę wydawać się bardzo komiczna, pomyślała.

I wtedy się zatrzymała.

Tym, którzy na mnie patrzą?

Rozejrzała się dokoła. Najwidoczniej podświadomie zarejestrowała, że ktoś jest w pobliżu.

Jakież to okropne! Ale teraz nikogo tu nie zauważyła. Wmówiła sobie to wszystko, w tej ponurej dolinie były na pewno jedynie czarne drzewa.

Czym prędzej popęzła naprzód. Wyglądam pewnie jak wariatka, pomyślała. Jestem brudniejsza niż starodawni kominiarze. Teraz kominiarzom żyje się łatwiej niż kiedyś.

Właściciele domów wystawiają drabiny, wiadra i załatwiają wszystko, może nawet muszą spuszczać się do komina, a potem jeszcze płacą.

Ach, kochane myśli, nie krąście jak szalone. Ram, Ram, gdzie jesteś, jęknęło jej w duszy. Wreszcie dotarła do wilka. Czy on oddycha?

Chyba tak.

- Cześć, jesteś Gere czy Freke? Trochę trudno to stwierdzić przy tym twoim nowym makijażu.

Wilk leżał z zamkniętymi oczami, lecz Indra wychwyciła jego myśl: „Gere”.

- Jak się miewasz? - spytała życzliwie, zatroskana.

Indra miała słabość do dumnych wilków, którym sięgała akurat do szyi. Zawsze patrzyły na nią z góry, lecz nigdy z pogardą, po prostu rozmawiając z nią, musiały spuścić głowy. Kolejna myśl zwierzęcia: „Oczyść mi gardło”.

- I płuca, o, tak, oczywiście, rozumiem. W tej okropnej dolinie zostaliśmy chyba tylko ty i ja, Gere, musimy sobie jakoś pomóc, a potem szukać, szukać, musimy ich odnaleźć! Gadając tak, usiłowała podnieść przednią połowę ciała wilka, nie było to jednak wcale łatwe.

- Musiałeś wybrać akurat najgorsze błoto? No, hej, hop - dodawała sobie sama otuchy. Mocniej obejmując i ściskając z całej siły ciało wilka, próbowała wycisnąć resztki wody z jego płuc.

Udało się. Charczący kaszel rozszerzył płuca, szarpnął przy tym ciałem wilka tak, że Indra poleciała w tył prosto w błoto, i Gere wreszcie mógł normalnie oddychać.

Podniósł się i zaraz znów upadł.

- Chyba mam złamaną nogę - przekazał jej myślą. - Może... ojej!

Wilk nie miał siły nawet podnieść łba. Wydał z siebie tylko warczenie, tak ciche, że nie dotarło do dwóch istot, które stały teraz w ich pobliżu i czekały. Tylko na co?

Nikt nie wiedział, gdzie znajduje się Kiro, nawet on sam. Dość prędko bowiem zdołał uchwycić się jakiegoś drzewa i mocno się go trzymał aż do chwili, gdy lawina wielkich kamiennych bloków porwała go, już nieprzytomnego, i poniosła daleko od przyjaciół.

19

W Juggernautach widzieli i słyszeli gwałtowną falę powodzi, która gnała przez dolinę. Nie kierowała się w ich stronę; wprawdzie w niewielkiej odległości, lecz ich wyminęła.

Patrzyli, jak woda pieni się wśród skał. Płynęła z tak szaloną siłą, że piana wzbijała się wysoko w powietrze, a wielkie kamienie wywracały.

Ósemka pozostała w Juggernautach ogromnie się niepokoiła. Czy powinni wyjść i odszukać przyjaciół? A jeśli fala trafiła na nich?

Ale Yorimoto, którego wyznaczono na dowódcę, odradzał takie posunięcie, a Madragowie go poparli. Mieli rozkaz nie opuszczać pojazdów, bez względu na wszystko. Nie brano jednak pod uwagę tego, co miało stać się później...

Jori wezwał Marca i otrzymał od niego uspokajającą odpowiedź. Fala cofnęła się, razem z nim był Faron, Shira i Mar, a ponadto wiedzieli, że Dolg i Cień są bezpieczni. Nie przypuszczali, by inni musieli zмагаć się z jakimś ogromnym problemem, właśnie mieli wyruszyć na poszukiwania. Na szczęście łączność znów działała.

Jori usłyszał jeszcze, jak Marco rozmawia z Faronem, wychwycił coś, co brzmiało: „Wygląda na to, że zaplanowano dla nas zupełnie co innego”, a potem Marco mówił dalej:

- Zaraz, zaraz, co to takiego? Nie, Jori, bez obawy, z tym sobie poradzimy.

Potem zapadła cisza.

Czy uspokoiło to nas, czy...? zastanawiał się Jori. Przyjaciele patrzyli na niego pytająco. Wciąż nie mieli pojęcia, że właśnie ich czeka najstraszniejsza próba.

- Ho, ho - powiedziała Indra, siedząc w błocie z łbem Gerego na kolanach. - Nieproszeni goście? Doprawdy, moglibyście wykazać się nieco większą elegancją! W rzeczywistości dwie istoty wyglądały wstrętnie, jak gdyby tygodniami leżały w ziemi, a teraz wydobyły się spod niej, trupio blade, z zapadniętymi oczami, w zgniłych ubraniach, odslaniających odpadającą płacami skórę. Z ich spojrzeń biła agresja, miały żarłoczne oczy i otwarte usta.

Palcami trzęsącymi się ze zdenerwowania Indra usiłowała włączyć aparacik, który sprawiłby, że ją rozumieją. Powietrze w mrocznej dolinie zgęstniało od złowróżbego wyczekiwania. Dookoła zapadła cisza, od której aż huczało w uszach.

- Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt, jakim jest wasza wizyta? - spytała Indra, choć tak naprawdę daleko jej było do śmiałości, jaką próbowała się wykazać. Te stworzenia bowiem przybyły tu w wojennych zamiarach.

To mężczyzna i kobieta. Tak przypuszczała, niełatwo było się zorientować, swoim wyglądem przywodzili przede wszystkim na myśl rozkładającą się przymę kompostową, gdyby nie świdrujące oczy patrzące z tak wielką nienawiścią, że Indrze ciarki przeszły po plecach. Mężczyzna wydał z siebie jakieś bezdźwięczne głuche odgłosy, dobywające się z głębi ciała, którego być może wcale nie miał. Zabrzmiało to tak, jakby chciał powiedzieć:

- Zajęliśmy naszą dolinę. Nareszcie możemy się na was zemścić.

- Och, ależ to wcale nie my! - zaczęła Indra urażona, lecz gdy straszyci się zbliżyli wolnym, kołyszącym ruchem, z rękami opuszczonymi wzdłuż boków, usunęła się.

Wtedy podniósł się Gere. Do tej pory zlewał się w jedno z błotem, w którym leżał, nie miał siły podnieść zadu, lecz mimo to był wyższy od dwojga napastników, a warczenie, jakie z siebie wydał, by bronić Indry, przeraziło postacie z otchłani.

- To jeden z n i c h! - rozległ się głuchy głos drugiego stwora, najprawdopodobniej kobiety. - Jeden z wilków! Musimy stąd odejść, jak najszybciej!

Istoty oddalały się wolno, z wysiłkiem, poruszając się niezwykle kołobieżnym krokiem.

- Dziękuję ci, Gere - szepnęła Indra słabym głosem. - To dopiero prawdziwe straszyci. A teraz zobaczymy, czy uda nam się znaleźć kogoś, kto mógłby się zająć twoją nogą.

Grupka skupiona wokół Faroną usłyszała wściekłe warczenie Gerego. Wciąż stali ogarnięci przerażeniem i wpatrzni w stwory, które pojawiły się przed nimi. Między obiema stronami trwała niema duchowa walka.

- Gere musi być gdzieś tam, w tym kierunku, pójdę go odszukać - odezwał się Freke.

- Idę z tobą - natychmiast zgłosiła się Sol. - Tam może być ktoś jeszcze.

Przerażające istoty sprawiały wrażenie, jakby odczuły ulgę, gdy wilk zniknął. Faron i Marco zrozumieli więc, że to właśnie obecność Frekego trzymała do tej pory zjawy w szachu. Teraz przysunęły się nieco bliżej, wciąż jednak okazywały pewną powściągliwość.

- Marco - szepnęła Shira. - Staliśmy się niewidzialni, lecz one mimo to nas widzą.  
- To prawda - przyznał Mar. - Patrzą nam prosto w oczy.  
- Do diaska - zaklął Marco. - Czego one od nas chcą?  
- Niczego przyjemnego, zapewniam cię - odparł Mar.  
Nagle jedna z istot odezwała się grobowym głosem:  
- Wreszcie zjawił się ktoś z przerażającej góry. Od dawna już na to czekamy. Pożałujecie tego.  
- Zaraz, zaraz - rzucił Faron z całą władczością, na jaką tylko było go stać, a to doprawdy niemało. - Nie przybывamy stamtąd, przyszliśmy, by pokonać tamte złe moce. Istoty z koszmaru wbiły w niego wzrok. Stały teraz tak blisko, że Marco mógłby je dotknąć, lecz wygląd stworów wcale do tego nie zachęcał.  
- Chyba już rozumiem, kim i czym one są - mruknął Marco. - To upiory. Zjawy, innymi słowy. Dlatego potrafią zobaczyć również was, duchy, bo choć was nie można nazwać zjawami, to poruszacie się w tym samym wymiarze.  
- Bardzo dziękuję - powiedziała Shira - Nie chcę być spokrewniona z tymi tutaj.  
- I wcale nie jesteś. Między duchem a upiorem jest wielka różnica.  
- Och, zaczynają robić się natrętni. Rozmawiaj z nimi dalej, Faronie, one cię słuchały. Och, ależ co one robią?

Ram również usłyszał warknięcie Gerego.

Stojąca przed nim postać była mężczyzną w stanie tak obrzydliwym, że wprost nie dawało się na nią patrzeć. A na widok jej oblicza pogromca duchów uciekłyby albo zemdłał. Istota wydawała z siebie dźwięki, które zdawały się dochodzić z zasypanego grobu. Ram nie pojmował słów, widział tylko, że maskara się zbliża. Szła, prawdę mówiąc, wprost na niego, z takim zdecydowaniem, jak gdyby postanowiła przeniknąć w Lemuryjczyka. Nie uniosła bowiem rąk, by go złapać czy choćby uderzyć, wciąż zwiślały po bokach.

Ale Ram nie miał czasu dla tego stwora, nasłuchiwał głosu wilka. To w każdym razie jakaś oznaka życia, może wilk, wszystko jedno, który to był, wie coś o Indrze? Uciekł więc, w ostatniej chwili uskoczył w bok i wywinął się od powolnych, jakby lepkich ruchów, kierujących się wprost na niego. Nie uciekał ze strachu, który przecież byłby w pełni usprawiedliwiony, Ram myślał jedynie o Indrze. Musiał odnaleźć tego wilka. Za plecami usłyszał okrzyk zawodu. Przykro mi, pomyślał, brak mi teraz czasu na zawieranie bliższych znajomości.

Nie miał, na szczęście, pojęcia, jak bliska mogła to być znajomość.

Czy Cienia należało nazwać duchem czy upiorem, pozostawało pytaniem otwartym. Prawdopodobnie był i tym, i tym, albo raczej w jego przypadku nie było to takie istotne. Był ostatnim z dawnych, szlachetnych Lemuryjczyków na Ziemi, pozostał tam z własnej woli i zawsze tego żałował. Wciąż krążył, nigdzie nie zaznajając spokoju, w poszukiwaniu kogoś, kto zdołałby odnaleźć skarby Lemurii, Święte Słońce i szlachetne kamienie. Wreszcie trafił na Dolga, po części nawet przyczynił się do jego stworzenia, a w końcu odnalazł spokój w Królestwie Światła. Stał teraz, trzymając w ramionach na wpół

przytomnego Dolga, bliżej chyba niż ktokolwiek inny spokrewniony z dwoma upiorami, które czaiły się groźnie,

- Czego chcecie? - spytał surowo.

Roześmiały się cicho, a Cieniowi wzdłuż kręgosłupa przebiegły lodowate ciarki strachu.

- Pragniemy zemsty - odparły głucho, ich głos dobywał się z tajemniczej, jakby cmentarnej głębi. - Teraz my wejdziemy do twierdzy zła, a wy nas tam zaprowadzicie.

Drugi upiór lekko trącił towarzysza.

- On z nami rozmawia.

Dyskutowali o czymś między sobą. Ich głosy brzmiały tak, jak gdyby na głowach mieli wielkie słoje.

- Ten wielki jest zbyt trudny, nie pojmuję, co to za jeden. Skupmy się raczej na tym, który śpi. Ja się nim zajmę.

- Ale ja też chcę jednego.

Co by się stało, gdyby Sol z Frekem się nie pojawili, nikt się nie dowiedział. Na widok wilka oba upiory ogarnięte strachem rzuciły się do ucieczki, choć poruszały się tak wolno, jak gdyby musiały przedzierać się przez gęsty syrop.

Sol popatrzyła na nie z podziwem.

- Cóż za wspaniałe ślimacze tempo! Czyżby przestraszyły się czarownicy?

- Raczej nie - sucho odparł Cień. - To na pewno Freke je stąd przepędził.

- Czy zawsze musisz pozbawiać mnie wszelkich złudzeń? Ale to prawda, dobrze cię mieć jako eskortę, Freke. - Sol, powiedziawszy to, znów zwróciła się do Cienia: - Co z Dolgiem?

Cień wyjaśnił.

- Dobrze, że dochodzi do siebie. Czy widzieliście gdzieś innych? Kira, na przykład?

- Nie, słyszałem tylko wilka.

- To był Gere, właśnie do niego idziemy.

Pokazała mu, gdzie znajdują się Marco i Faron, a potem oddaliła się wraz ze zniecierpliwionym już Frekem. Wkrótce odnaleźli Indrę i Gerego w najokropniejszym błocie, jakie Sol kiedykolwiek widziała. A gdy niemal jednocześnie z innej strony pojawił się Ram, nie było końca radosnym powitaniom. Wszyscy byli zabłoceni i przemoczeni, lecz stan Indry i Gerego był zdecydowanie najgorszy. Wspólnie postanowili, że wraz z rannym Gerem wrócą do Marca i tam ułożą plan bitwy.

Zanim jednak zdążyli ruszyć z miejsca, w telefonie Rama zgłosiła się załoga J1.

Dzwonił Jori.

- Mamy tu Oko Nocy i Armasa - oświadczył ku uldze wszystkich. - O ile dobrze rozumiem, znajdujecie się tak blisko nas, że równie dobrze możecie tu wrócić.

Ram przyznał mu rację i wezwał Farona.

Tamci jednak, jak się okazało, byli zajęci.

- Nie mam czasu na rozmowę, Ram - cicho powiedział Faron.

- Zaraz tam będziemy - odparł Ram równie cicho.

Wyłączył telefon.

- Musimy się pospieszyć, zdaje się, że są w tarapatkach.

Wspólnymi siłami starali się podtrzymać Gerego, który był poważniej ranny, niż się to wydawało z początku. Najwidoczniej solidnie uderzył się w biodro, sprawiało wrażenie wręcz zmiądnzonego. Otrzymał jednak taką pomoc, jakiej tylko sobie życzył. Freke szedł tuż przy nim, a pozostali starali się z całych sił, by za mocno nie obciążał tylnych nóg. Byle tylko dotarli do Dolga z szafirem... Posuwali się wolno, lecz nikt nie chciał pobiec przodem i zostawić Gerego na pastwę losu.

Byli już prawie na miejscu, gdy niespodziewanie ujrzeli Cienia, na którym wspierał się dość bezradny Dolg. Cień dał im znak, by milczeli. Zatrzymali się więc w miejscu.

Przed ich oczami roztoczył się niezwykle widok.

Faron przystąpił do akcji z całą swą potęgą Obcego. Górował nad wszystkimi jak kolos, oświetlając zebranych wokół, przemawiał do ohydnych upiorów, które zdawały się ulegać czarowi jego głosu.

Nowo przybyli usłyszeli zaledwie końcówkę długiego przemówienia.

- ...rozumiemy więc wasz gniew, lecz, jak już mówiłem, wcale nie my zrujnowaliśmy waszą dolinę. Przeciwnie, przybывamy z Królestwa Światła w tym samym celu co wy, pragniemy zniszczyć złą potęgę, lecz przede wszystkim pragniemy się przedostać do jasnego źródła.

Jeden z upiorów, najwyraźniej ktoś w rodzaju przywódcy, odparł:

- W tym ostatnim nie możemy wam pomóc, lecz nie będziemy już więcej przeszkadzać wam w marszu. Wycofam swoje siły, choć niestety nie nad wszystkimi mam kontrolę.

- Atakujecie w bardzo nieprzyjemny sposób - mówił Faron surowo. - Rozumiem jednak, że jesteście uczciwymi, dobrymi ludźmi.

- Byliśmy - poprawił go głuchy głos. - Lecz nasz gniew jest wielki. Pojawiliśmy się tu pierwsi, zanim przybyli ci źli i zniszczyli wszystko dookoła. Postanowili zawładnąć naszą doliną, wykorzystać ją do swych złych czarów, chcieli się też nas pozbyć i to im się udało. Nasze plemię zginęło dawno, bardzo dawno temu. Od tamtej pory czekamy, aż nadejdzie możliwość zemsty, lecz tamci w Górach Zła doskonale o tym wiedzą i nikt jeszcze nie ośmielił się tutaj pojawić. Wybaczcie więc nam pomyłkę.

- Wybaczyliśmy wam już dawno.

Upiór postanowił ich przestrzec:

- Gorycz odcisnęła swoje ślady w naszych sercach i jak już mówiłem, niektórzy z nas zarazili się otaczającym nas złem, a nawet przeszli na stronę złych władców. Już dawno się tego obawialiśmy. Jeśli w dolinie macie więcej swoich, odnajdźcie ich czym prędzej, ja bowiem utraciłem już władzę nad niektórymi z moich ludzi, nie mogę im ufać.

Faron odparł:

- Widzę, że większość naszych właśnie tu idzie.

Ram wystąpił naprzód i odpowiedział:

- Otrzymaliśmy wiadomość, że i Oko Nocy, i Armas wrócili do wozów. Brakuje jedynie Kira.

- Postarajcie się czym prędzej go odnaleźć - nakazał grobowy głos.

- Tak, bo wy macie zwyczaj wdzierania się w ciało człowieka, prawda? - spytał Marco.

- Tak, teraz możemy to przyznać. Naszym celem było przedostanie się poprzez was do Złej Góry, skoro jednak wy się tam nie wybieracie...

- Właściwie pójdziemy tam - odparł Faron. - Przede wszystkim po to, by uwolnić więźniów, którzy, zdaniem wilków, mogą nam pomóc odnaleźć źródło. Duchy, wyruszcie natychmiast na poszukiwanie Kira. My pójdziemy za wami, a potem wracamy do Juggernautów.

Duchy z Sol na czele natychmiast zniknęły.

Faron odwrócił się do upiora.

- Jeśli uda nam się odnaleźć źródło, będziemy również mieli moc, by przywrócić waszej dolinie jej dawne piękno. I obiecujemy, że tak właśnie się stanie.

- Dzięki wam za to, życzymy wam powodzenia w podróży, choć nam wydaje się to niemożliwe.

Skłonili się sobie dwornie i rozeszli się, każdy w swoją stronę.

Zadzwoił telefon Rama, to Mar chciał się z nim skontaktować.

- Zlokalizowaliśmy Kira, nie jest daleko. Za tą wielką skałą, przypominającą koński łeb. Pospieszcie się, tu mogą się liczyć sekundy.

Musieli zostawić Gerego wraz z Cieniem i Dolgiem, który natychmiast wyjął niebieski szafir, by ratować zmaltretowanego wilka. Pozostali pobiegli dalej, kierując się wskazówkami Mara.

- Nie! - zawołał Marco, widząc, co się dzieje za końską skałą.

Nieprzytomny Kiro leżał na ziemi, przy nim klęczała jakaś postać. Widzieli, że jedno ramię w łachmanach już przeniknęło w rękę Kira i że cały upiór ma zamiar się w niego wdrzeć. Jednym bokiem usiłował już wsunąć się w ciało nieprzytomnego Lemuryjczyka. Sol rzuciła się z pięściami na ducha z otchłani, krzycząc i wrzeszcząc, on jednak tylko zerkał na nią spode łba i nie przerywał swych przerażających poczynań.

- Freke! - rozkazali jednogłośnie Faron, Ram i Marco.

Wilk nie kazał się prosić dwa razy. Z warczeniem, które echem poniosło się przez dolinę i odbiło od skał, nie wahając się nawet przez moment, rzucił się na upiora. Oczywiście dla wszystkich było, że mają do czynienia z jednym z tych niebezpiecznych.

Upiór przestraszył się do szaleństwa. Najwidoczniej wszystkie zjawy czuły respekt przed wilkami Odyne. Dlaczego, tego ludzie nie wiedzieli, w każdym razie upiór oderwał się od Kira i rzucił do ucieczki, zanim dosięgły go kły Frekego. Gdy tylko zjawa się oddaliła, Faron wezwał wilka i nie szczędził mu słów pochwały. Sol ukłękła przy Kirze, podniosła mu głowę.

- Czy on żyje? Czy myślicie, że tamten coś mu zrobił? Zbadajcie go - prosiła na wpół z płaczem.

Marco kucnął przy niej i zbadał Strażnika.

- Sprawa nie wygląda beznadziejnie - pocieszył ją.

- A oto i Cień, Gere i Dolg z szafirem. Przekonajmy się, co kamień może dla niego zrobić. Gere ozdrowiał już na tyle, że mógł o własnych siłach utrzymać się na nogach. Nie było czasu na to, by wyleczyć jego i Dolga całkowicie. Tym można się zająć w Juggernaucie, teraz pragnęli tam wrócić, i to jak najszybciej.

Zarówno Gere, jak i Freke usłyszeli wiele pochwał i serdecznych podziękowań.

- To wy nas ocaliłyście - oświadczył Faron, a wszyscy pozostali przyznali mu rację. -

Winni wam jesteśmy naprawdę wielką wdzięcznością, nigdy o tym nie zapomnimy.



- Wobec tego jesteście kwita - oświadczył Freke. - Wreszcie mogliśmy się odwzajemnić, przecież wy uratowaliście nas przed Górami Czarnymi.

No cóż, to akurat się nie stało, uprzytomnił sobie Marco, przecież zabraliśmy was z powrotem w Góry i trudno powiedzieć, żeśmy się z nich wydostali. Faktem jest, że nie posuwamy się ani o krok naprzód, cały czas drepczemy w miejscu.

Ram wezwał Joriego w J1.

- Wracamy - poinformował go. - Cudownie będzie znów znaleźć się w bezpiecznych Juggernautach. Jakie to szczęście, że one są z nami! Ale może to trochę potrwać, bo mamy trzech ciężko rannych, zresztą każdy z nas jest mniej lub bardziej poturbowany. Wszystko na szczęście dobrze się skończyło. A co u was?

- No cóż - rzekł Jori jakimś dziwnie obojętnym głosem. - U nas wszystko w porządku, przygotowujemy się na wasz powrót, chcemy wydać małą ucztę, zasłużyliście na nią po tej pierwszej nieudanej próbie dotarcia do więźniów. Ale Sassa jest jakaś niespokojna, zresztą nie tylko ona...

- Co takiego? A to dlaczego?

- Nie wiemy, coś jakby czaiło się po kątach, chociaż tak wcale nie jest. I nie najlepiej się czujemy, chociaż wszystko jest w porządku. Nie wiem, Ram, wracajcie jak najprędzej!

- Tak prędko, jak tylko zdołamy. Ale pamiętajcie, że Juggernauty to nasze jedyne bezpieczne oparcie. Odprężcie się więc, to na pewno grożące nam niebezpieczeństwo wpłynęło i na was, ot i wszystko.

- Pewnie tak - odparł Jori, lecz nie zabrzmiało to wcale przekonująco.

Po zakończeniu rozmowy przeszedł do magazynu z żywnością poszukać jakiegoś smakołyka dla wspaniałych wilków, które najwyraźniej wszystkich ocaliły. Nie mógł jednak pozbyć się przeświadczenia, że czyjeś złe oczy bezustannie go śledzą. Miał wrażenie, jakby coś chciało przeniknąć w jego ciało, czego doznał przecież Kiro i reszta. O wszystkim mu już opowiedzieli. A może rzeczywiście gdzieś w jakimś kącie czaił się ktoś, kto chciał się go pozbyć? Podkraść się do niego i usunąć go jako osobę, która stoi mu na drodze?

Odwrócił się prędko i zajrzał w kąt, w którym, jak był przekonany, kryje się coś żadnego krwi i wyczekującego tylko na okazję.

Oczywiście niczego tam nie było.

Już nawet w biały dzień zwidują mi się duchy, pomyślał zły na samego siebie.

Wreszcie stoły były nakryte i wszystko zostało przygotowane na powrót przyjaciół. Jori zorientował się jednak, że nie tylko on i Sassa mają wrażenie nadciągającego ukrytego zagrożenia. Coś znajdowało się w ich bezpiecznym Juggernaucie.

Nareszcie wrócili. Dzięki Bogu, Jori nigdy chyba jeszcze nie odczuł takiej ulgi. Nastąpiły ceremonie powitalne, uściski i objęcia. Wylano trochę łez, trwały krótkie rozmowy, opowiadanie przy pięknie nakrytych stołach z zapalonymi świecami. Nic nie szkodziło, że właściwie znajdowali się w punkcie wyjścia, bo teraz dolina była bezpieczna i gdy wyruszą w nią następnego dnia, nic już nie stanie im na przeszkodzie.

Faron zaprosił wszystkich do stołu. Należało uczcić tak szczęśliwe ocalenie.

Ale gdzieś w kącie czaiły się chytre oczy. To w oczach Armasa i Oka Nocy błyskało zło.

Te oczy wypatrywały swoich ofiar. Mrugały, z lękiem patrząc na wilki Odyana...

Jako upiory nie zdołałyby niczego osiągnąć, ani zemścić się, ani zabić. Teraz jednak zdobyły też ciała.